

Sobowtór

Dostojewski Fiodor



calibre 0.9.27

Tytuł: „Sobowtór”

Autor: FIODOR DOSTOJEWSKI

PRZEŁOŻYŁ SEWERYN POLLAK

POEMAT PETERSBURSKI

ROZDZIAŁ I

Była prawie ósma rano, gdy radca tytułarny Jakub Pietrowicz Goladkin ocknął się po długim śnie, ziewnął, przeciągnął się i wreszcie całkiem otworzył oczy. Zresztą ze dwie minuty leżał jeszcze nieruchomo na łóżku jak człowiek niezupełnie jeszcze przekonany, czy się obudził, czy dalej jeszcze śpi, czy wszystko, co się koło niego teraz dzieje, jest na jawie i w rzeczywistości, czy też to dalszy ciąg jego bezładnych sennych marzeń. Jednakowoż wkrótce już zmysły pana Goladkina zaczęły dokładniej i wyraźniej odbierać zwykłe codzienne wrażenia. Po dawnemu spojrzały na niego brudnawozielone, zakopcone i zakurzone ściany jego małego pokoiku, jego mahoniowa komoda, krzesła pod mahoń, stół pomalowany na czerwono, ceratowa czerwona turecka kanapa z zieloniutkimi kwiatuskami i w końcu ubranie, zdjęte wczoraj w pośpiechu i rzucone bezładnie na kanapę. Zresztą szary jesienny dzień, zamglony i błotnisty, tak ponuro i z tak krzywym uśmiechem zajrzał przez mętną szybę do pokoju, że pan Goladkin całkiem już nie mógł wątpić, że nie znajduje się w jakimś tam królestwie za siedmioma górami, lecz w mieście Petersburgu, w stolicy, na ulicy Sześciu Sklepów, na trzecim piętrze pewnego bardzo dużego, solidnego domu, we własnym mieszkaniu. Uczyniwszy tak ważne odkrycie pan Goladkin mimo woli zamknął oczy, jak gdyby żałując minionego snu i pragnąc go na chwilę przywrócić. Ale po chwili wyskoczył z łóżka, bo zapewne wpadł wreszcie na ten pomysł, koło którego do tej chwili krążyły jego rozproszone, nie uporządkowane namiętności

785

myśli. Wyskoczywszy z łóżka natychmiast podbiegi do niewielkiego okrągłego lusterka stojącego na komodzie. Aczkolwiek odbita w lustrze zaspana, z kaprawymi oczkami i dość już łysawa postać była właśnie tak niewielkiego znaczenia, że na pierwszy rzut oka nie zwracała na siebie absolutnie niczyjej wyłącznej uwagi, posiadacz jej był widać całkiem zadowolony z tego wszystkiego, co ujrzał w lustrze. „Ale to byłby kawał - rzekł do siebie półgłosem pan Goladkin - ale to byłby kawał, gdybym się dzisiaj w czymkolwiek zaniedbał, gdyby na przykład wyszło coś nie tak jak trzeba - powiedzmy, gdyby wyskoczył mi jakiś niepotrzebny pryszczyk albo też wynikła jakaś inna nieprzyjemna historia; zresztą na razie jest całkiem nieźle; na razie wszystko w porządku.” Bardzo zadowolony z tego, że wszystko jest w porządku, pan Goladkin odstawił lustro na miejsce i nie bacząc na to, że był boso i wciąż miał na sobie ten sam strój, w którym zazwyczaj kładł się spać, podbiegł do okna i z wielkim zainteresowaniem zaczął szukać czegoś wzrokiem na podwórzu, na które wychodziły okna jego mieszkania. Zapewne również i to, co zobaczył na podwórzu, całkowicie go zadowoliło, twarz jego bowiem rozjaśniła się pełnym satysfakcji uśmiechem. Potem - zajrzawszy zresztą uprzednio za przepierzenie, do komórki Pietrka, swego kamerdynera, i przekonawszy się, że Pietrka w niej nie ma - podszedł na palcach do stołu, otworzył szufladę, poszperał w najdalszym jej kącie, wreszcie wyciągnął spod starych pożółkłych papierów i jakichś tam szpargałów zielony wytarty pugilares, otworzył go ostrożnie i - uważnie a z zadowoleniem zajrzał do najgłębszej, ukrytej jego przedziałki. Prawdopodobnie plik zieloniutkich, szarych, niebiesciuch-nych, czerwoniutkich i różnych barwnych banknotów również bardzo uprzejmie i zachęcająco spojrzął na pana Goladkina, ów bowiem z rozjaśnioną twarzą położył przed sobą na stole otwarty pugilares i mocno zatarł ręce na znak najwyższego zadowolenia. Wreszcie wyciągnął ten swój dający pocieszenie plik asygnat

państwowych i po raz setny zresztą, licząc od dnia wczorajszego, zaczął je przeliczać, starannie pocierając każdy banknot wielkim i wskazującym palcem. „Siedemset pięćdziesiąt rubli asygnatami! - zakonkludował wreszcie pół-szeptem. - Siedemset pięćdziesiąt rubli... niegorsza sumka! To mila sumka! - ciągnął drżącym, nieco osłabionym z za-

dowolenia głosem, ściskając plik w rękę i uśmiechając się znacząco-to bardzo miła sumka! Dla każdego miła sumka! Chciałbym widzieć teraz człowieka, dla którego ta suma byłaby nędzną sumą! Taka suma może daleko zaprowadzić...”

„Jednakże cóż to znaczy?-pomyślał pan Goladkin- gdzie się podział Pietrek?” Wciąż jeszcze w tym samym stroju, zajrzał po raz drugi za przepierzenie. Pietrka znów za przepierzeniem nie było i tylko postawiony tam na podłodze samowar złościł się, irytował i tracił panowanie nad sobą, nieustannie grożąc, że wykipi, i szybko, gorączkowo w swoim zawiłym języku, grasejąc i sepleniąc, mamrotał coś do pana Goladkina - zapewne coś w tym sensie: weźcie mnie nareszcie, dobrzy ludzie, przecież jestem już zupełnie gotów.

„Diabli nadali - pomyślał pan Goladkin. - Ta leniwa bestia może każdego wyprowadzić z cierpliwości, gdzie to on się włóczy?” Pełen słusznego oburzenia wyszedł do przedpokoju - był to mały korytarzyk, w którego końcu znajdowały się drzwi do sieni - lekko uchylił te drzwi i ujrzał swego służącego w otoczeniu sporej grupki wszelkiej lokaj skiej miejscowej i przypadkowej hałastry. Pietrek coś im opowiadał, reszta słuchała. Zapewne ani temat rozmowy, ani sama rozmowa nie spodobały się panu Goladkinowi. Natychmiast zawołał Pietrka i wrócił do pokoju ogromnie niezadowolony, a nawet zirytowany. „Ta bestia gotowa za grosz sprzedać człowieka, a tym bardziej swojego pana - pomyślał - i sprzedał, na pewno sprzedał, gotów jestem się założyć, że sprzedał za złamany grosz. No, co?...”

- Przynieśli liberię, wielmożny panie.

- Włóż i przyjdź tutaj.

Włożywszy liberię Pietrek z głupim uśmiechem wszedł do pokoju pana. Przebrany był w sposób wprost nieprawdopodobny. Miał na sobie zieloną, mocno podniszczoną lokajską liberię ze złotymi wytartymi galonami, sztyłą zapewne na kogoś o cały arszyn wyższego. W rękę trzymał kapelusz, również z galonami i z zielonymi piórami, a u biodra miał lokajski miecz w skórzanej pochwie.

Wreszcie, dla dopełnienia obrazu, Pietrek zgodnie ze swoim zwyczajem chodzenia zawsze w negliżu, po domowemu, i teraz był bosy. Pan Goladkin obejrzał Pietrka dokoła i widocznie został usatysfakcjonowany. Liberia była niewątpliwie

wynajęta na jakąś uroczystą chwilę. Widać było przy tym, że w czasie oględzin Pietrek patrzył na pana z jakimś dziwnym wyczekiwaniem i z niezwykłą ciekawością śledził każdy jego ruch, co pana

Goladkina bardzo konfundowało.

- No, a kareta?
- Kareta też przyjechała.
- Na cały dzień?
- Na cały dzień. Dwadzieścia pięć asygnatami.
- Buty też przynieśli?
- Buty też przynieśli.
- Bałwanie! Nie możesz powiedzieć: przynieśli, wielmożny panie. Dawaj je tu zaraz.

Wyraziwszy zadowolenie, że buty pasowały jak ulał, pan Goladkin zażądał herbaty i oświadczył, że chce umyć się i ogolić. Ogolił się bardzo starannie i równie starannie się umył, naprędce łyknął trochę herbaty i przystąpił do najważniejszego, do ubierania się: włożył prawie zupełnie nowe spodnie, potem półkoszulek z mosiężnymi guziczkami, kamizelkę w bardzo jaskrawe mile kwiatuszki, szyję obwiązał barwnym jedwabnym halsztukiem i wreszcie włożył przepisowy mundur, również nowiutki i starannie oczyszczony. Ubierając się kilkakroć z lubością spoglądał na swoje buty, co chwila podnosił to jedną, to drugą nogę, podziwiał fason i ustawicznie szeptał coś sobie pod nosem, co pewien czas przytwierdzając swoim myślom wyrazistym grymasem. Zresztą tego ranka pan Goladkin był ogromnie roztargniony, ponieważ prawie nie zauważył uśmiezków i grymasów, jakie pod jego adresem robił pomagający mu ubierać się Pietrek. Wreszcie poradziwszy sobie należycie ze wszystkim, całkiem ubrany, pan Goladkin włożył do kieszeni swój pugilares, jeszcze raz z lubością spojrzął na Pietrka, który włożył buty i w ten sposób był też całkiem gotów, i zauważywszy, że wszystko zostało dokonane i nie ma już na co czekać, pospiesznie, niecierpliwie, z lekkim drżeniem serca zbiegł ze schodów. Niebieska wynajęta kareta z jakimiś herbami zajechała z turkotem przed ganek. Pietrek, mrugając do stangreta i do jeszcze jakichś tam gapiów, podsadził swego pana, nienawykłym głosem i ledwo powstrzymując głupi śmiech zawołał: „Jazda!”, wskoczył na tylny stopień i wszystko to z hukiem i turkotem, brzęcząc i trzeszcząc potoczyło się na Newski Prospekt.

Ledwo błękitny powóz zdążył wyjechać za bramę, pan Goladkin nerwowo zatarł ręce i zaniósł się cichym, niedosłyszalnym śmiechem, jak ktoś o wesołym usposobieniu, komu udało się zrobić świetny kawał, a kto z tego kawału sam jest niesłuchanie rad. Zresztą natychmiast po ataku wesołości twarz pana Goladkina nabrała jakiegoś dziwnie zatroskanego wyrazu. Chociaż dzień był wilgotny i ponury, opuścił oba okna karety i skrzętnie zaczął wypatrywać na prawo i lewo przechodniów przybierając godną i stateczną minę, skoro tylko zauważył, że ktoś na niego patrzy. Gdy kareta skręciła z Li-tiejnej w Newski Prospekt, drgnął, przejęty jakimś nader niemiłym wrażeniem, i krzywiąc się jak nieszczęśnik, któremu nadepnięto przypadkiem na odcisk, gwałtownie, a nawet z pewnym lękiem wcisnął się w najciemniejszy kącik pojazdu. Rzecz polegała na tym, że zauważył swoich dwóch kolegów biurowych, dwóch młodych urzędników z tego samego urzędu, w którym pracował. Urzędnicy zaś, jak to się wydało panu Goladkinowi, też z kolei byli nader zdumieni spotkawszy w ten sposób swego współkolegę; jeden z nich wskazał nawet palcem na pana Goladkina. Panu Goladkinowi wydało się nawet, że drugi zawołał go głośno po imieniu, co oczywiście na ulicy było bardzo niestosowne. Bohater nasz ukrył się i nie odezwał. „Cóż to za smarkacze! - zaczął mówić sam do siebie. - No i co w tym dziwnego? Człowiek w powozie, człowiek musi być w powozie, no to sobie wynajął powóz. Po prostu święństwo! Ja ich znam - to po prostu smarkacze, którym jeszcze trzeba sprawiać lanie! Marzą tylko, aby otrzy-mawszy pensję zagrać w orla i reszkę i gdzieś tam się włóczyć, tylko to ich obchodzi. Powiedziałbym ja im wszystkim, tylko że...” Pan Goladkin nie skończył i zdrętwiał. Para bystrych kazańskich koników, dobrze znana panu Goladkinowi, zaprzężona do wytworzonego powoziku, szybko mijając z prawej strony jego karety. Pan siedzący w powoziku, przypadkiem ujrawszy twarz pana Goladkina, który dość nieostrożnie wysunął głowę przez okno karety, też był zapewne ogromnie zdumiony tym niespodzianym spotkaniem i wychyliwszy się, jak tylko mógł, z nadzwyczajną ciekawością i zainteresowaniem zaczął zaglądać w ten kąt karety, gdzie pośpiesznie ukrył się nasz bohater. Panem w powoziku był Andrzej Filipowicz, naczelnik wydziału w tym urzędzie, gdzie pan Goladkin pra-

cował jako pomocnik referenta. Pan Goladkin widząc, że Andrzej Filipowicz niewątpliwie go poznał, że patrzy uporczywie i że nie sposób ukryć się przed nim, poczerwieniał aż po uszy. „Uklonić się czy nie? Odezwać się czy nie? Przyznać się czy nie?-myślał w nieopisanej rozterce nasz bohater. - A może udać, że to nie ja - że to ktoś inny, uderzająco do mnie podobny, i patrzeć jak gdyby nigdy nic? Właśnie nie ja, nie ja, i tyle! -mówił pan Goladkin zdejmując kapelusz przed Andrzejem Filipowiczem i nie spuszczać z niego wzroku. - Ja, ja nic takiego - szeptał przez siłę - ja całkiem nic, to w ogóle nie jestem ja, Andrzej Filipowiczu, to w ogóle nie ja, nie ja, i tyle.” Wkrótce jednak powozik przegonił karety i skończył się magnetyzm wzroku naczelnika. Mimo to pan Goladkin wciąż jeszcze rumienił się, uśmiechał, mruczał coś do siebie... „Byłem głupi, że się nie odezwałem - pomyślał wreszcie - trzeba było po prostu, na całego i szczerze, ze szlachetną dumą: że to niby, Andrzej Filipowiczu, tak i tak, i ja też zostałem zaproszony na obiad, i tyle!” Potem przypomniawszy sobie, że się zblamował, bohater nasz zapłonął się jak róża, nasepił brwi i rzucił straszne, wyzywające spojrzenie na przedni kąt karety, spojrzenie po prostu przeznaczone, aby

obrócić naraz w proch wszystkich jego wrogów. Wreszcie, jak gdyby w jakimś natchnieniu, pociągnął nagle za sznurek przywiązany do łokcia wynajętego stangreta, zatrzymał karete i kazał zawrócić z powrotem na Litiejną. Rzecz polegała na tym, że pan Goladkin musiał natychmiast, zapewne dla własnego spokoju, zakomunikować coś bardzo interesującego swemu doktorowi, Kristianowi Iwanowiczowi. I chociaż z Kristianem Iwanowiczem znał się od bardzo niedawna, dokładniej mówiąc dla jakichś tam przyczyn odwiedził go raz jeden w zeszłym tygodniu, ale przecież doktor, jak powiadają, to prawie spowiednik - ukrywać coś przed nim byłoby głupio, a znajomość pacjenta jest jego obowiązkiem. „Czy tak zresztą będzie dobrze - ciągnął nasz bohater wysiadając z karety przed podjazdem pewnego czteropiętrowego domu na Litiejnej, przy którym kazał zatrzymać swój powóz - czy tak zresztą będzie dobrze? Czy to będzie przyzwoicie? Czy to będzie miało sens? A zresztą o co chodzi - ciągnął idąc na górę po schodach, łapiąc oddech i wstrzymując bicie serca, które miało zwyczaj mocno bić na wszystkich obcych

schodach - o co chodzi? przecież chcę mówić o swoich sprawach, a w tym nie ma nic nagannego... Ukrywać coś byłoby głupio. Właśnie w ten sposób udam, że to nic ważnego, że tak sobie, przejeżdżając obok... A wtedy on zobaczy, że tak właśnie powinno być.”

Rozważając w ten sposób pan Goladkin wszedł na pierwsze piętro i zatrzymał się przed mieszkaniem numer pięć, na którego drzwiach wisiała ładna mosiężna tabliczka z napisem:

. Kristian Iwanowicz Rutenszpic, · Doktor Medycyny i Chirurgii.

Stanąwszy przed drzwiami nasz bohater postarał się nadać swojej fizjonomii wygląd solidny, swobodny, nie pozbawiony pewnej uprzejmości, i gotów już był pociągnąć za sznurek dzwonka. Będąc już gotowym pociągnąć za sznurek dzwonka, natychmiast i w samą porę osądził, że może byłoby lepiej zrobić to jutro i że tymczasem nie ma chyba na razie potrzeby tego robić. Ale ponieważ pan Goladkin nagle usłyszał na schodach czyjeś kroki, natychmiast więc zmienił swoje nowe postanowienie, a zarazem zadzwonił, zresztą z miną pełną zdecydowania, do drzwi Kristiana Iwanowicza.

ROZDZIAŁ II

Doktor medycyny i chirurgii, Kristian Iwanowicz Rutenszpic, bardzo krzepki, choć już starszy człowiek, obdarzony gęstymi siwiejącymi brwiami i bakami, wyrazistym, ostrym spojrzeniem, którym zapewne przepędzał wszystkie choroby, a wreszcie wysokim orderem - siedział tego ranka w gabinecie w wygodnym fotelu, pił kawę przyniesioną mu własnoręcznie przez doktorową, palił cygaro i od czasu do czasu wypisywał recepty pacjentom. Zapisawszy ostatnią fiolkę pewnemu cierpiącemu na hemoroidy staruszkowi i wyprowadziwszy cierpiącego staruszka przez boczne drzwi, Kristian Iwanowicz usiadł w oczekiwaniu na następną wizytę. Wszedł

pan Goladkin.

Prawdopodobnie Kristian Iwanowicz bynajmniej nie spodziewał się, a nawet chyba nie pragnął ujrzeć przed sobą pana Goladkina, gdyż nagle zmieszał się na mgnienie i mimo woli

791

na jego twarzy ukazał się jakiś dziwny grymas, a nawet można by powiedzieć niezadowolenie. Ponieważ pan Goladkin z kolei prawie zawsze jakoś nie w porę tracił kontenans i mieszał się w chwilach, kiedy zdarzało mu się angażować czyjś czas w swoich własnych sprawach, to i teraz, nie przygotowawszy pierwszego zdania, które w takich wypadkach bywało dla niego istną zaporą, zmieszał się niesłychanie, coś tam wymamrotał - zresztą, jak się zdaje, jakieś tam usprawiedliwienie - i nie wiedząc, co czynić dalej, wziął krzesło i usiadł. Przypomniawszy sobie jednak, że usiadł bez zaproszenia;

od razu uświadomił sobie swój nietakt i pospieszył naprawić to wykroczenie przeciw znajomości światowych manier i dobrego tonu, wstając natychmiast z zajętego bez zaproszenia miejsca. Potem opamiętawszy się i mimochodem uświadomiwszy sobie, że zrobił dwa głupstwa naraz, ani chwili nie zwló-cząc zdobył się na trzecie, to znaczy spróbował się usprawiedliwić, z uśmiechem coś tam wymamrotał, zaczerwienił się zmieszał, wyraziście zamilkł, a wreszcie rozsiadł się na dóbr i nie wstał już, a tylko tak na wszelki wypadek zabezpieczył sil? owym wyzywającym spojrzeniem, które miało niezwykłą moc rozgramiania w pył i proch i spopielenia w myśli wszystkich wrogów pana Goladkina. Ponadto spojrzenie owo w pełni wyrażało niezależność pana Goladkina, to znaczy mówiło wyraźnie, że pan Goladkin nic nie potrzebuje, że jest niezależny i że na wszelki wypadek do niczego się nie wtrąca. Kristian Iwanowicz chrząknął, zapewne na znak aprobaty i zgody na to wszystko i skierował inspektorski, pytający wzrok na pana Goladkina.

- Przyszedłem, Kristianie Iwanowiczu - zaczął pan Goladkin z uśmiechem - po raz drugi pana niepokoić, a teraz po raz drugi ośmielam się prosić pana o łaskawą uwagę... - Panu Goladkinowi wyraźnie brakło słów.

- Hm... tak!-odezwał się Kristian Iwanowicz wypuściwszy z ust strugę dymu i kładąc cygaro na stół - ale pan musi stosować się do zaleceń; tłumaczyłem panu przecież^;

że pańskie leczenie powinno polegać na zmianie przyzwyczajień... no, jakieś rozrywki, no, powiedzmy, trzeba odwiedzać przyjaciół i znajomych, a jednocześnie nie być wrogiem butelczyny, a zarazem przebywać w wesołym towarzystwie.

Pan Goladkin, wciąż jeszcze się uśmiechając, pospieszył

792

zauważyć, iż wydaje mu się, że jest taki jak inni, że ma swój dom, że rozrywki ma takie' jak wszyscy inni... że oczywiście może chodzić do teatru, albowiem tak samo jak inni ma na to środki, że w ciągu dnia bywa w urzędzie, a wieczorem u siebie w domu i jeśli chodzi o niego, on... tego... owszem; nawet zauważył mimochodem, że o ile mu się wydaje, nie jest gorszy od innych, że przebywa we własnym mieszkaniu i wreszcie, że ma Piotrka. W tym miejscu pan Goladkin zająknął się.

- Hm, nie, nie o to chodzi i całkiem nie o to chciałem pana pytać. A w ogóle chciałbym wiedzieć, czy z pana jest wielki amator wesołego towarzystwa, czy wesoło pan czas wykorzystuje. No, powiedzmy, czy melancholijny, czy wesoły tryb życia prowadzi pan teraz?

- Ja, Kristianie Iwanowiczu...

- Hm... powiadam - przerwał doktor - że powinien pan gruntownie całe swoje życie przekształcić i w pewnym sensie przełamać swój charakter. (Kristian Iwanowicz mocno zaakcentował słowo „przełamać” i na chwilę przerwał z nader znaczącą miną.) Nie unikać wesołego życia, na spektakle i do klubu chodzić, a w każdym razie nie być wrogiem butelki. W domu siedzieć nie należy... pan stanowczo w domu siedzieć nie powinien.

- Ja, Kristianie Iwanowiczu, lubię ciszę - odezwał się pan Goladkin, rzucając znaczące spojrzenie na Kristiana Iwanowicza i wyraźnie szukając słów dla najzręczniejszego wyrażenia swoich myśli - w mieszkaniu jestem tylko ja i Pietrek... chcę powiedzieć: mój lokaj, Kristianie Iwanowiczu. Chcę powiedzieć, Kristianie Iwanowiczu, że idę własną drogą, odrębną drogą, Kristianie Iwanowiczu. Jestem sam dla siebie i, jak mi się wydaje, od nikogo nie zależę. Poza tym, Kristianie Iwanowiczu, chodzę na spacer.

- Co?... Tak! No, teraz spacer nie sprawia żadnej przykrości, pogoda jest paskudna.

- Tak jest, Kristianie Iwanowiczu, choć jestem, Kristianie Iwanowiczu, człowiekiem spokojnym, jak to już miałem zdaje się zaszczyt panu wyjaśnić, to jednakże droga moja jest odrębna, Kristianie Iwanowiczu. Droga życia jest szeroka... Chcę... przez to, Kristianie Iwanowiczu, powiedzieć... proszę mi wybaczyć, Kristianie Iwanowiczu, nie umiem się pięknie wyrażać.

- Hm... powiada pan.;

- Powiadam, że proszę o wybaczenie, Kristianie Iwano-wiczu, ponieważ, jak mi się wydaje, nie umiem wyrażać się pięknie - rzekł pan Goladkin na wpół obrażonym tonem, płacząc się nieco i tracąc wątek. - Pod tym względem, Kristianie Iwanowiczu, nie jestem taki jak inni - dodał z jakimś szczególnym uśmiechem - i nie umiem dużo mówić, nie uczyłem się pięknego stylu. Za to ja, Kristianie Iwanowiczu, działałam, za to ja działałam, Kristianie Iwanowiczu!

- Hm... Jakże to... pan działa?-odezwał się Kristian Iwanowicz. Po czym na krótką chwilę zaległo milczenie. Doktor jakoś dziwnie i nieufnie spojrział na pana Goladkina. Z kolei pan Goladkin, również dość nieufnie zerknął na doktora.

- Ja, Kristianie Iwanowiczu - ciągnął wciąż dawnym tonem pan Goladkin, nieco podrażniony i zaskoczony skrajnym uporem Kristiana Iwanowicza - ja, Kristianie Iwanowiczu, lubię spokój, a nie światowy gwar. Tam u nich, powiadam, w wielkim świecie, powiadam, Kristianie Iwanowiczu, trzeba umieć butami szlifować parkiety... (tu pan Goladkin szurnął lekko nóżką po podłodze), tam tego żądają, kalamburów też żądają... wonne komplementy trzeba umieć układać... o, tego właśnie tam żądają. A ja się tego nie uczyłem, Kristianie Iwanowiczu - nie uczyłem się tych wszystkich wymyślności, nie miałem czasu. Jestem człowiekiem prostym, nieskomplikowanym, nie mam zewnętrznego poloni. Pod tym względem, Kristianie Iwanowiczu, składam broń, składam ją mówiąc w tym sensie. - Wszystko to pan Goladkin oczywiście wypowiedział z taką miną, która wyraźnie dawała do poznania, że nasz bohater nie żałuje tego, iż pod tym względem składa broń i że nie uczył się tych wymyślności, lecz że wprost przeciwnie. Kristian Iwanowicz słuchając go oczy miał spuszczone, a na twarzy nieprzyjemny grymas, jak gdyby z góry coś przeczuwał. Po tyradzie pana Goladkina nastąpiło dość długie

i znaczące milczenie.

- Pan, zdaje się, nieco odbiegł od tematu - rzekł wreszcie półgłosem Kristian Iwanowicz - przyznam, że zupełnie nie

mogłem pana zrozumieć.

- Nie umiem się pięknie wyrażać, Kristianie Iwanowiczu, miałem już zaszczyt panu oświadczyć, Kristianie Iwanowiczu, że nie umiem się pięknie wyrażać - rzekł pan Goladkin, tym razem tonem ostrym i stanowczym.

- Hm...

- Kristianie Iwanowiczu! - zaczął znów pan Goladkin cichym, lecz znaczącym głosem, nieco uroczyście, zatrzymując się przy końcu każdego zdania. - Kristianie Iwanowiczu! Wchodząc tutaj zacząłem od usprawiedliwień. Teraz powtarzam, co powiedziałem uprzednio, i na nowo proszę o łaskawą uwagę na krótki czas. Ja, Kristianie Iwanowiczu, nie mam nic do ukrywania przed panem. Jestem człowiekiem mało znaczącym, sam pan o tym wie, ale na moje szczęście nie żałuję tego, że jestem człowiekiem mało znaczącym. Wprost przeciwnie, Kristianie Iwanowiczu, żeby już wszystko powiedzieć, to nawet dumny jestem z tego, że nie jestem człowiekiem wybitnym, lecz mało znaczącym. Nie jestem intrygantem - z tego też jestem dumny. Działam nie cichaczem, lecz otwarcie, bez żadnych podstępów i chociaż mógłbym i ja z kolei komuś zaszkodzić, i to jeszcze jak mógłbym, a nawet wiem komu i jak to zrobić, to jednak, Kristianie Iwanowiczu, nie chcę się za-babrać i pod tym względem umyvam ręce. Pod tym względem, powiadam, umyvam je, Kristianie Iwanowiczu! - Pan Goladkin na krótką chwilę wyraziście zamilkł; mówił z łagodnym ożywieniem.

- Idę, Kristianie Iwanowiczu - ciągnął nasz bohater - prosto i otwarcie, omijając boczne ścieżki, ponieważ gardzę nimi i pozostawiam je innym. Nie staram się poniżać tych, którzy są być może ode mnie i od pana ważniejsi... to znaczy chcę powiedzieć, że ode mnie i od nich, Kristianie Iwanowiczu, nie chciałem powiedzieć, że od pana. Półśłówek nie lubię, nędznej dwulicowości nie uznaję, oszczerstwami i plotkami brzydzę się. Maskę wkładam jedynie na maskaradę, a nie chodzę w niej przed ludźmi na co dzień. Chciałbym tylko pana zapytać, Kristianie Iwanowiczu, jak by się pan mścił na swoim wrogu, na swoim najokrutniejszym wrogu-na tym, kogo by pan za takiego uważał?-zakończył pan Goladkin rzucając wyzywające spojrzenie na Kristiana Iwanowicza.

Chociaż pan Goladkin wypowiedział to wszystko niesłychanie wyraziście, jasno, z pewnością siebie, ważąc słowa i licząc na niezawodny efekt, to jednak z niepokojem, z wielkim niepokojem, ze skrajnym niepokojem patrzył teraz na Kristiana Iwanowicza. Zamienił się teraz cały we wzrok i nieśmiało, z przykrą, markotną niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi

795

Kristiana Iwanowicza. Lecz ku zdziwieniu i najwyższemu zdumieniu pana Goladkina Kristian Iwanowicz wybąkał coś pod nosem, potem przysunął krzesło do stołu i dość oschle, ale zresztą uprzejmie oświadczył coś w tym sensie, że czas jego jest drogi, że jakoś nic z tego nie rozumie, że zresztą, jeśli chodzi o niego, gotów jest wedle możliwości do usług, ale że nie wtrąca się do wszystkich innych rzeczy, które go nie dotyczą. Tu wziął pióro, przysunął arkusz papieru, odciął od niego kartkę formatu recepty i oświadczył, że natychmiast

zapisze co trzeba.

- Nie, nie trzeba, Kristianie Iwanowiczu! Nie, tego bynajmniej nie trzeba!-rzekł pan Goladkin, wstając i chwytając Kristiana Iwanowicza za prawą rękę - to, Kristianie Iwanowiczu, jest tu absolutnie niepotrzebne...

A tymczasem, kiedy pan Goladkin mówił to wszystko, zaszła w nim jakaś dziwna przemiana. Szare jego oczy zabłysły jakoś dziwnie, wargi mu zadrżały, wszystkie mięśnie, wszystkie rysy twarzy zaczęły mu drgać, poruszać się. Cały drżał. Uległszy pierwszemu odruchowi i powstrzymawszy rękę Kristiana Iwanowicza, pan Goladkin stał teraz nieruchomo, jak gdyby sam sobie nie dowierzał i oczekiwał natchnienia do dalszych poczynań.

A wtedy nastąpiła dość dziwna scena.

Kristian Iwanowicz, nieco zaskoczony, na mgnienie jak gdyby przyrósł do swego fotela i, zdetonowany, patrzył uporczywie w oczy panu Goladkinowi, który patrzył na niego w ten sam sposób. Wreszcie Kristian Iwanowicz wstał przytrzymując się z lekka wyłogu munduru pana Goladkina. Przez kilka chwil stali tak obaj nieruchomo, nie spuszczać oczu jeden z drugiego. A wtedy, w niezwykle zresztą dziwny sposób, zjawił się drugi odruch pana Goladkina. Wargi mu zadrżały, podbródek zaczął skakać i nasz bohater zupełnie niespodzianie rozplakał się. Pochlipując, kiwając głową i bijąc się w pierś prawą ręką, a lewą również uchwyciwszy się wyłogu domowego stroju Kristiana Iwanowicza, chciał coś powiedzieć i coś natychmiast wyjaśnić, ale nie potrafił wyrzec ani słowa. Wreszcie Kristian Iwanowicz otrząsnął się ze zdumienia.

- Niechże pan przestanie, niech się pan uspokoi, niech pan siada! - rzekł wreszcie usiłując posadzić pana Goladkina w fotelu.

- Mam wrogów, Kristianie Iwanowiczu, mam wrogów, mam zaciekłych wrogów, którzy zaprzysięgli się mnie zniszczyć... - lękliwie i szeptem odpowiadał mu pan Goladkin.

- Niechże pan przestanie, niech pan przestanie, co tam wrogowie,) Nie trzeba wspominać wrogów! Nie trzeba wspominać wrogów, absolutnie nie trzeba. Niech pan siada, niech pan siada - ciągnął Kristian Iwanowicz, usadawiając w końcu pana Goladkina w fotelu.

Pan Goladkin usiadł wreszcie nie spuszczać wzroku z Kristiana Iwanowicza. Kristian Iwanowicz z nader niezadowoloną miną zaczął chodzić z kąta w kąt po swoim gabinecie. Nastąpiła długa cisza.

- Jestem panu wdzięczny, Kristianie Iwanowiczu, ogromnie wdzięczny i ogromnie wzrusza mnie to, co pan dla mnie teraz zrobił. Aż do śmierci nie zapomnę pańskiej uprzejmości, Kristianie Iwanowiczu - wyrzekł wreszcie pan Goladkin wstając z krzesła z obrażoną miną.

- Niechże pan przestanie, niech pan przestanie! Mówię panu, niech pan przestanie! - dość surowo odpowiedział Kristian Iwanowicz na wyskok pana Goladkina, jeszcze raz usadawiając go na dawnym miejscu. -No, co tam u pana? Proszę mi opowiedzieć, co tam pan ma za nieprzyjemności - ciągnął Kristian Iwanowicz - i o jakich to wrogach pan mówi? Co tam u pana takiego?

- Nie, Kristianie Iwanowiczu, teraz dajmy lepiej temu spokój - odpowiedział pan Goladkin, wlepiając wzrok w ziemię - odłóżmy to lepiej do czasu... do innych czasów, Kristianie Iwanowiczu, do bardziej odpowiednich czasów, gdy wszystko wyjdzie na jaw i z niektórych twarzy spadnie maska, i co nieco się obnaży. A tymczasem po tym, co zaszło między nami... zgodzi się pan sam, ma się rozumieć, Kristianie Iwanowiczu... Pozwoli pan, że pana pożegnam, Kristianie Iwanowiczu - rzekł pan Goladkin, tym razem stanowczo i na serio, wstając i chwytając za kapelusz.

- Ano... jak pan chce... hm... (nastąpiła chwila ciszy). Jeśli chodzi o mnie, to wie pan, czym mogę... i szczerze życzę panu wszystkiego dobrego.

- Rozumiem pana, Kristiariie Iwanowiczu, rozumiem, doskonale pana teraz rozumiem... Tak czy inaczej, proszę mi wybaczyć, że pana niepokoiłem, Kristianie Iwanowiczu.

- Hm... Nie, nie to chciałem panu/powiedzieć. Zresztą, jak pan woli. Lekarstwa niech pan zażywa nadal...

- Będę zażywał lekarstwa tak, jak pan mówi, Kristianie Iwanowiczu, będę zażywał i będę kupował w tej samej aptece... W dzisiejszych czasach, Kristianie Iwanowiczu, nawet aptekarz to już jest poważne zajęcie...

- Co? W jakim sensie pan to mówi?

- W całkiem zwyczajnym sensie, Kristianie Iwanowiczu. Chcę powiedzieć, że w dzisiejszych czasach życie wzięło taki obrót...

- Hm...

- I że byle smarkacz, nie tylko chłopak z apteki, zadziera teraz nosa przed porządnym człowiekiem.

- Hm... Jak to pan rozumie?

- Mówię, Kristianie Iwanowiczu, o pewnym panu... O naszym wspólnym znajomym, Kristianie Iwanowiczu, na przykład chociażby o Włodzimierzu Siemionowiczu...

- AL.

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, i znam pewnych ludzi, Kristianie Iwanowiczu, którzy nie zawsze stosują się do powszechnej opinii, że czasem należy mówić prawdę.

- A!... Jakże to tak?

- Ano już tak, to zresztą sprawa uboczna, umięją, że tak powiem, czasami przypiąć komuś łatkę.

- Co? Co przypiąć?

- Łatkę, Kristianie Iwanowiczu, to takie rosyjskie przysłowie. Umięją czasami w porę, na przykład, komuś powinszować; są tacy ludzie, Kristianie Iwanowiczu.

- Powinszować?

- Tak, powinszować, Kristianie Iwanowiczu, jak to zrobił w tych dniach pewien mój bliski znajomy...

- Pewien pański bliski znajomy... A! Jakże to?-rzekł Kristian Iwanowicz spojrzawszy uważnie na pana Goladkina.

- Tak jest, pewien mój bliski znajomy winszował awansu, awansu na asesora, innemu również bardzo bliskiemu znajomemu, a w dodatku przyjacielowi, jak to się mówi, najbliższemu przyjacielowi. Tak jakoś się zgadało. „Serdecznie, powiada, cieszę się z okazji, że mogę złożyć panu, Włodzimierzu Siemionowiczu, moje powinszowania, moje szczerze powinszowania z powodu awansu. Cieszę się tym bardziej,

że w dzisiejszych czasach, jak o tym wiadomo całemu światu, powymierały babki mające lekką rękę do dobrych wróżb.” - W tym miejscu pan Goiadkin chytrze kiwnął głową i przymrużywszy oko spojrzał na Kristiana Iwanowicza...

- Hm... Więc tak powiedział...

- Tak powiedział, Kristianie Iwanowiczu, powiedział i od razu spojrzał na Andrzeja Filipowicza, na wuja naszego ga-gatka, Włodzimierza Siemionowicza. A co mnie obchodzi, Kristianie Iwanowiczu, że zrobiono go asesorem? Co mnie do tego? Ano, żenić się chce, chociaż mu jeszcze mleko, że tak powiem, wybaczy pan, me obeschło na wargach. Tak właśnie powiedział. Że niby, powiadam, Włodzimierz Siemionowicz! Teraz już wszystko powiedziałem, pan pozwoli, że odejdę.

- Hm...

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, niechże pan teraz pozwoli, powiadam, że odejdę. A wtedy, żeby już jednym kamieniem zabić dwa wróble - gdy tamten dociął owemu zuchowi babkami, zwracam się do Klary Ołsufiewny (działo się to przedwczoraj u Ołsufia Iwanowicza), a ona właśnie przed chwilą odśpiewała tkliwy romans - i powiadam, że niby „raczyła pani czule śpiewać romanse, tylko że słuchają panią z nieczystymi intencjami”. I w ten sposób wyraźnie daję do zrozumienia, rozumie pan, Kristianie Iwanowiczu, daję w ten sposób wyraźnie do zrozumienia, że chodzi tu nie o nią, lecz o coś innego...

- A! I co on na to?!...

- Przełknął gorzką pigułkę, Kristianie Iwanowiczu, jak mówi przysłowie.

- Hm...

- Tak jest, Kristianie Iwanowiczu. Samemu staremu też powiadam, że, niby, Ołsufiu Iwanowiczu, powiadam, wiem, co panu zawdzięczam, w pełni doceniam pańskie dobrodziejstwa, którymi obdarzał mnie pan prawie od lat dziecinnych. Ale, powiadam, Ołsufiu Iwanowiczu, niechże pan otworzy oczy. Niech pan się przyjrzy. Jeśli chodzi o mnie, to postępuję po prostu i otwarcie, Ołsufiu Iwanowiczu.

- A, to tak!

- Tak, Kristianie Iwanowiczu. To właśnie tak...

- A co on na to?

- Ano cóż, Kristianie Iwanowiczu, jak to on, coś tam bel-

koce; i to, i owo, i znam cię przecież, i że niby jego ekscelencja to człowiek życzliwy; i nagadał, i naglądzil... ano cóż? Ze starości, jak to się mówi, stracił rozum do reszty.

- A! To tak teraz jest!

- Właśnie, Kristianie Iwanowiczu. I wszyscyśmy w ten sposób, co m gadać! Staruch! Jedną nogą w grobie, patrzy na księżą oborę, jak się to mówi, a jak ktoś namota jakieś babskie plotki, to natychmiast się przysłuchuje; bez niego nie sposób...

- Plotki, mówi pan?

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, namotali plotkę. Maczał w tym palce i nasz niedźwiedź, i jego siostrzeniec, nasz gaga-tek; spiknęli się, ma się rozumieć, ze starymi ciotami i obga-dali sprawę. Jak pan sądzi, co też mogli wymyślić, żeby zabić człowieka?...

- Żeby zabić człowieka?

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, żeby zabić człowieka, moralnie zabić. Rozpuścili... wszystko to mówię o moim dobrym znajomym...

Kristian Iwanowicz kiwnął głową.

- Rozpuścili o nim wieść... Przyznam się panu, że aż mi przykro mówić, Kristianie Iwanowiczu...

- Hm...

- Rozpuścili wieść, że podpisał już był zobowiązanie ożenku, że jest już narzeczoną innej... Jak pan myśli, Kristianie Iwanowiczu, czym jest narzeczoną?

- Czyżby?

- Kuchmistrzynie, pewnej nieobyczajnej Niemki, u której jada obiady; ofiarowuje jej rękę w zamian za swoje długi.

- To oni tak mówią?

- Czy pan uwierzy, Kristianie Iwanowiczu? Niemka, podła, obrzydliwa, bezwstydną Niemka, Karolina Iwanowna, jeśli panu wiadomo...

- Przyznam, że co do mnie...
- Rozumiem pana, Kristianie Iwanowiczu, rozumiem, i jeśli chodzi o mnie, odczuwam to...
- Niech mi pan łaskawie powie, gdzie pan teraz mieszka?
- Gdzie ja teraz mieszkam, Kristianie Iwanowiczu?
- Tak... chciałbym... pan zdaje się dawniej mieszkał...
- Mieszkałem, Kristianie Iwanowiczu, mieszkałem, mieszkałem i dawniej. Jakżebym mógł nie mieszkać! - odrzekł pan

Goladkin, a słowom jego towarzyszył cichy śmieszek; odpowiedź jego nieco zdetonowała Kristiana Iwanowicza.

- Nie, pan mnie źle zrozumiał; co do mnie, chciałem...

- Ja też chciałem, Kristianie Iwanowiczu, jeśli chodzi o mnie, to ja też chciałem—ciągnął śmiejąc się pan Goladkin. - Jednakże, Kristianie Iwanowiczu, okropnie się u pana zasiedziałem. Mam nadzieję, pozwoli pan teraz, że pana pożegnam...

- Hm...

- Tak, Kristianie Iwanowiczu, rozumiem pana, całkowicie teraz pana rozumiem - rzekł nasz bohater pozując nieco przed Kristianem Iwanowiczem. - Pozwoli więc pan, że pana pożegnam...

Tu nasz bohater szurnął nóżką i wyszedł z pokoju zostawiając Kristiana Iwanowicza w skrajnym zdumieniu. Kiedy schodził ze schodów, uśmiechał się i radośnie zacierał ręce. Na ganku, odetchnąwszy świeżym powietrzem i czując się wolnym, istotnie był gotów uznać się za najszcześniejszego ze śmiertelników, a potem ruszyć prosto do departamentu- gdy naraz przed podjazdem zaterkotała jego kareta; spojrzął i przypomniał sobie wszystko. Pietrek otwierał już drzwiczki. Jakieś dziwne i zdecydowanie przykre uczucie ogarnęło pana Goladkina. Na chwilę jak gdyby się nawet zaczerwienił. Coś go tknęło. Zaczął już stawiać nogę na stopniu karety, gdy naraz się obejrzał i spojrzął na okno Kristiana Iwanowicza. Ano tak! Kristian Iwanowicz stał przy oknie, prawą ręką przyglądał bokobrody i z niejakim zainteresowaniem patrzył na naszego bohatera.

„Głupiec z tego doktora-pomyślał pan Goladkin kryjąc się w głębi karety - ostatni głupiec. Może dobrze leczy swoich chorych, a jednak... głupi jest jak pień.” Pan Goladkin siadł, Pietrek zawołał: „Jazda!”-i kareta znowu potoczyła się na Newski Prospekt.

ROZDZIAŁ III

Cały ten poranek minął panu Goladkinowi na załatwianiu licznych spraw. Zajechawszy na Newski Prospekt nasz bohater kazał stanąć przed Gościnnym Dworem. Wskoczył ze swego powozu, pobiegł w towarzystwie Pietrka pod arkadę

801

i wszedł prosto do sklepu jubilerskiego. Już z samej miny pana Goladkina widać było, że ma co niemiara różnych spraw i całe mnóstwo zajęć. Upatrzywszy pełny serwis do obiadu oraz do herbaty za z górą tysiąc pięćset rubli w banknotach i wytargowawszy sobie jeszcze w tej samej cenie wymyślnego kształtu cygarniczkę i srebrny komplet do golenia, wypytawszy wreszcie o ceny jeszcze jakichś tam skądinąd pożytecznych i miłych przedmiocików, pan Goladkin skończył na tym, że przyrzekł, iż niezawodnie nie później niż jutro wstąpi, a może jeszcze dzisiaj przyśle po wybrane rzeczy i zapytawszy o numer sklepu, a także uważnie wysłuchawszy kupca, który prosił o zadatek, przyrzekł, że w swoim czasie będzie i zadatek. Po czym pospiesznie pożegnał zaskoczzonego kupca i prześladowany przez całe stado sprzedawców ruszył wzdłuż sklepów, co chwila oglądając się na Pietrka i pilnie szukając jakiegoś nowego sklepu. Mimochodem wstąpił do kantoru wymiany i zmienił wszystkie swe grube banknoty na drobne i chociaż stracił na wymianie, lecz za to tak czy inaczej wymienił je, jego pugilares znacznie pogrubiał, co wyraźnie sprawiało mu dużą satysfakcję. Wreszcie stanął przed składem różnych damskich materiałów. Pan Goladkin porobiwszy znowu zakupy na solidną sumę i tutaj przyrzekł kupcowi, że na pewno wstąpi, zapytał o numer sklepu, a na pytanie o zadatek znowu powtórzył, że w swoim czasie będzie i zadatek. Potem odwiedził jeszcze kilka sklepów; we wszystkich coś zamawiał, wypytywał o ceny różnych przedmiotów, czasami długo targował się z kupcami, wychodził ze sklepu i po trzy razy wracał - słowem, wykazywał niezwykłą aktywność. Z Gościnnego Dworu nasz bohater udał się do pewnego znanego składu mebli, gdzie zamówił meble do sześciu pokojów. Przez dłuższą chwilę podziwiał jakąś modną i nader wymyślną damską toaletkę w najnowszym stylu i zapewniwszy kupca, że z pewnością po wszystko przyśle, wyszedł ze składu, swoim zwyczajem obiecując zadatek, potem wstąpił jeszcze gdzieś tam i jeszcze coś tam zamówił. Słowem, jak widać było, miał niezliczone mnóstwo spraw. Wreszcie wszystko to, zdaje się, zaczęło mocno nudzić samego pana Goladkina. Bóg wie z jakiego powodu, ni z tego, ni z owego, zaczęły go nawet dręczyć wyrzuty sumienia, za żadne skarby nie zgodziłby się teraz spotkać z Andrzejem Filipowiczem czy choćby z Kristianem Iwano-

wiczem. Na miejskim zegarze wybiła trzecia po południu. Kiedy pan Goladkin ostatecznie siadł do karety, ze wszystkich zakupów, które poczynił tego ranka, rzeczywistą okazała się jedynie para rękawiczek i buteleczka perfum za półtora rubla asygnatami. Ponieważ dla pana Goladkina było jeszcze dość wcześnie, kazał więc stangretowi zatrzymać się przed pewną znaną restauracją na Newskim Prospekcie, o której do tej pory wiedział tylko ze słyszenia, wysiadł z karety i pobiegł coś przekąsić, odpocząć i przeczekać do właściwej chwili.

Przekąsiwszy tak, jak czyni to człowiek, który ma w perspektywie wytworny proszony obiad, czyli przegryzłszy coś niecoś, aby, jak się mówi, położyć coś na ząb, i wypiwszy jeden kieliszek wódki, pan Goladkin rozsiadł się w fotelu i skromnie rozejrzawszy się dokoła, spokojnie zagłębił się w lekturze pewnej kiepskiej nacjonalistycznej gazetki. Przeczytawszy ze dwie linijki wstał, przejrzał się w lustrze, poprawił ubranie i przygładził włosy; potem podszedł do okna i popatrzał, czy stoi jego kareta... potem znów siadł na dawnym miejscu i znów wziął gazetę. Widać było, że nasz bohater był mocno zdenerwowany. Spojrzał na zegarek i widząc, że jest dopiero piętnaście po trzeciej, a więc, że pozostaje jeszcze dużo czasu na czekanie, a jednocześnie biorąc pod uwagę, że tak siedzieć nie wypada, pan Goladkin kazał podać sobie czekoladę, na którą zresztą w tej chwili nie miał większej ochoty. Wypił czekoladę i gdy zauważył, że czas nieco się posunął, wyszedł, aby zapłacić. Wtem ktoś uderzył go po ramieniu.

Obejrzał się i ujrzał przed sobą dwóch swoich kolegów biurowych, tych samych, których spotkał rano na Litiejnej - byli to chłopcy jeszcze bardzo młodzi, zarówno wiekiem, jak i rangą. Nasz bohater był z nimi ni tak, ni owak, ani w przyjaźni, ani też w jawnie wrogich stosunkach. Oczywiście, obie strony zachowywały względy przyzwoitości, dalsze zbliżenie natomiast nie nastąpiło i zresztą nastąpić nie mogło. W danej chwili spotkanie to było dla pana Goladkina bardzo nieprzyjemne. Skrzywił się nieco i na chwilę się zmieszał.

- Jakubie Pietrowiczu, Jakubie Pietrowiczu!-zaćwier-kali obaj registratorzy-pan tutaj? Z jakiego...

- A! To panowie!-przerwał im spieszenie pan Goladkin, nieco skonfundowany i zgorszony zdumieniem urzędników, a jednocześnie ich poufałym zachowaniem, lecz udając,

51. 803

zresztą z konieczności, zuchowatość i swobodę. - Zdezterowaliście, panowie, hę, hę, hę!...-Tu, aby nie poniżyć swej godności, a nawet okazać łaskawość wobec kancelaryjnej młodzi, z którą zawsze przestrzegał należnych granic, spróbował poklepać jednego z młodzieńców po ramieniu, ale w tym wypadku protekcyjnalne zachowanie nie udało się panu Goladkinowi i zamiast przyzwoitego a poufałego gestu wyszło mu zupełnie co innego.

- No co, siedzi nasz niedźwiedź?...

- Kto taki, Jakubie Pietrowiczu?

- No, niedźwiedź, jakbyście nie wiedzieli, kogo nazywają niedźwiedziem?...-Pan Goladkin roześmiał się i odwrócił się do bufetowego, aby wziąć resztę. - Mówię, panowie, o Andrzeju Pilipowiczu - ciągnął skończywszy z bufetowym i tym razem z bardzo poważną miną zwracając się do urzędników. Obaj registratorzy znacząco mrugnęli jeden do drugiego.

- Jeszcze siedzi i pytał o pana, Jakubie Pietrowiczu - odrzekł jeden z nich.

- Siedzi, a! W takim razie niech siedzi, panowie. A o mnie pytał, co?

- Pytał, Jakubie Pietrowiczu, ale cóż to się z panem dzieje, taki pan wyperfumowany, wypomadowany, taki elegant?...

- Tak, panowie, tak! Dajcie spokój...-odparł pan Goladkin patrząc w bok i uśmiechając się z wysiłkiem. Widząc, że pan Goladkin się uśmiecha, urzędnicy roześmiali się. Pan Goladkin nieco się nadąsał.

- Powiem wam, panowie, po przyjacielsku - rzeki po chwili milczenia nasz bohater, jak gdyby (a niech już tam) postanowił wyznać coś urzędnikom - wy mnie, panowie, wszyscy znacie, ale do tej pory znaliście tylko jednostronnie. W tym wypadku nie należy mieć do nikogo pretensji i przyznam, że poniekąd sam byłem temu winien.

Pan Goladkin zacisnął wargi i znacząco spojrział na urzędników. Urzędnicy znów mrugnęli do siebie.

- Do tej pory żeście mnie, panowie, nie znali, wyjaśniać to teraz i tutaj byłoby całkiem nie na miejscu. Powiem wam tylko co nieco nawiasem i mimochodem. Istnieją, wiecie panowie, ludzie, którzy nie lubią okrężnych dróg i maskują się tylko na maskaradę. Istnieją ludzie, którzy nie dopatrują się bezpośredniego celu istnienia człowieka w zręcznej umiejętności szlifowania butami parkietów. Istnieją również tacy ludzie, proszę panów, którzy nie będą mówili, że są szczęśliwi i że używają w pełni życia, jeżeli, powiedzmy, noszą dobrze skrojone spodnie. Istnieją wreszcie ludzie, którzy nie lubią podskakiwać, ubiegać się o względy i podlizywać, a przede wszystkim, proszę panów, pchać się tam, gdzie ich bynajmniej nie proszą... Powiedziałem, moi panowie, prawie wszystko;

pozwolicie, że teraz odejdę.

Pan Goladkin przerwał. Ponieważ panowie registratorzy byli teraz w pełni usatysfakcjonowani, wobec tego nagle obaj nader nieuprzejmie zaczęli się zataczać ze śmiechu. Pan Goladkin wybuchł.

- ŚmieJCie się, panowie, śmieJCie, do czasu! Jak pożyjecie, to zobaczycie - rzekł z uczuciem

obrażonej godności, biorąc kapelusz i cofając się ku drzwiom.

- Ale powiem więcej, panowie - dodał zwracając się po raz ostatni do panów registratorów !- powiem więcej - obaj jesteście tu ze mną oko w oko. Mam takie zasady, proszę panów: jak się nie uda - to wytrzymam, kiedy się uda - to się trzymam, ale w żadnym wypadku pod nikim dołków nie kopię. Nie jestem intrygantem - i tym się szczycę. Na dyplomate nie nadałbym się. Powiadają też, proszę panów, że ptak .sam leci na myśliwego. To prawda i gotów jestem się z tym zgodzić; ale kto tu jest myśliwym, a kto ptakiem? To jeszcze, panowie, pytanie!

Pan Goladkin wymownie zamilkł i z nader znaczącą miną, to znaczy unosząc brwi i zaciskając do niemożliwości wargi, pożegnał się z panami urzędnikami, a potem wyszedł pozostawiając ich w skrajnym zdumieniu.

- Dokąd pan każe jechać? - zapytał dość oschle Piotrek, któremu już zapewne znudziło się włączyć na zimnie. - Dokąd pan każe jechać?-zapytał pana Goladkina, ale natknął się na jego straszne, zabójcze spojrzenie, którym nasz bohater już dwa razy zabezpieczał się tego ranka, a do którego uciekł się teraz po raz trzeci schodząc ze schodów.

- W stronę mostu Izmailowskiego.

- W stronę mostu Izmailowskiego! Jazda! „Obiad zacznie się u nich nie wcześniej niż przed piątą, a może nawet o piątej - myślał pan Goladkin - czy to jeszcze nie za wcześnie? Zresztą, mogę nieco wcześniej, przecież to

804

805

obiad rodzinny, mogę przecież tak sam fafon*, jak to się mówi w przyzwoitym towarzystwie. Dlaczego nie wolno by mi było sans fafonf Nasz niedźwiedź też mówił, że wszystko będzie sansfafon i wobec tego ja też...” Tak myślał pan Golad-kin, a tymczasem zdenerwowanie jego rosło coraz bardziej. Widać było, że szykował się do czegoś bardzo kłopotliwego, żeby nie określić tego mocniej, szeptał sam do siebie, gestykulował prawą ręką, nieustannie wyglądał przez okienka karety, toteż patrząc teraz na pana Goladkina nikt nie mógłby doprawdy powiedzieć, że wybiera się na dobry obiad, zwyczajnie, po prostu, i to jeszcze w rodzinnym gronie-sans fafon, jak to się mówi w przyzwoitym towarzystwie. Wreszcie tuż przed mostem Izmailowskim pan Goladkin wskazał pewien dom; kareta z turkotem wtoczyła się w bramę i zatrzymała się przed podjazdem z prawej strony. Zauważywszy w oknie pierwszego piętra jakąś postać, pan Goladkin posłał jej ręką całusa. Zresztą sam nie wiedział, co robi, ponieważ w tej chwili był stanowczo półżywy. Z karety wyszedł blady, roztargniony;

wszedł na ganek, zdjął kapelusz^ machinalnie poprawił ubranie i czując zresztą lekkie drżenie w kolanach, wszedł na schody.

- Czy Olsufij Iwanowicz w domu?-zapytał służącego, który mu otworzył.
- Jest, to znaczy nie ma, nie ma go w domu, łaskawy panie.
- Jak to? Co ty mówisz, mój kochany? Ja, bracie, przychodzę na obiad. Przecież mnie znasz?
- Jakżebym miał nie znać! Nie kazano pana przyjmować, łaskawy panie.
- Ty... ty, braciszku... ty się pewno mylisz, braciszku. To ja jestem. Jestem, braciszku, zaproszony, przychadzę na obiad - mówił pan Goladkin zdejmując płaszcz i wyraźnie zamierzając ruszyć na pokoje.
- Pan wybaczy, nie wolno, łaskawy panie. Kazano pana nie przyjmować, kazano pana odprawić. Tak jest!

Pan Goladkin pobladł. W tej chwili otworzyły się drzwi od mieszkania i wyszedł Gierasimowicz, stary kamerdyner Olsufia Iwanowicza.

- Ten pan, Jemielianie Gierasimowiczu, chce wejść, a ja...

* bez ceremonii

- Aż was głupiec, Aleksieiczu. Idźcie na pokoje, a tutaj przyślijcie łajdaka Siemionycza. Nie wolno, łaskawy panie - rzekł uprzejmie, ale stanowczo zwracając się do pana Goladkina. - W żaden sposób nie wolno. Pan prosi wybaczyć, nie może przyjąć łaskawego pana.
- Tak właśnie powiedział, że nie może przyjąć?-niepewnie zapytał pan Goladkin. - Wybacz, Gierasimycz. Dlaczego w żaden sposób nie wolno?
- W żaden sposób nie wolno, łaskawy panie. Meldowałem, łaskawy panie; pan powiedział, że prosi wybaczyć. Że nie może pana przyjąć.
- Dlaczegoż to? Jakże to tak? Jak...
- Pan pozwoli, pan pozwoli!...
- Ale jakże to tak? Tak nie można! Proszę zameldować... Jakże to tak? Przychodzę na obiad...
- Pan pozwoli, pan pozwoli!...
- A zresztą, jeśli prosi o wybaczenie - to inna sprawa. Jednakże pozwól, Gierasimycz, jakże to tak, Gierasimycz?
- Pan pozwoli, pan pozwoli!...-odparł Gierasimycz, bardzo stanowczo odpychając rękę pana Goladkina i dając szerokie przejście dwóm panom, którzy właśnie w tej chwili wchodzili do przedpokoju.

Byli to: Andrzej Filipowicz i jego bratanek, Włodzimierz Siemionowicz. Obaj ze zdumieniem popatrzyli na pana Goladkina. Andrzej Filipowicz chciał coś powiedzieć, ale pan Goladkin już się zdecydował; wychodził z przedpokoju Ołsufia Iwanowicza zaczerwieniony, opuściwszy wzrok, uśmiechając się z nader zakłopotaną miną.

- Wstąpię tu później, Gierasimycz; wyjaśnię tę sprawę;

mam nadzieję, że wszystko w swoim czasie się wyjaśni - rzekł na progu, a częściowo już na schodach.

- Jakubie Pietrowiczu, Jakubie Pietrowiczu! - rozległ się głos Andrzeja Filipowicza, który podążył za panem Golad-kinem.

Pan Goladkin znajdował się już na pierwszym podeście. Odwrócił się szybko do Andrzeja Filipowicza.

- Czego pan sobie życzy, Andrzeju Filipowiczu?-odezwał się dość stanowczym tonem.
- Cóż to się z panem dzieje, Jakubie Pietrowiczu? Jakim cudem?...

807

- Nic takiego, Andrzeju Filipowiczu. Jestem tu z własnej woli. To moje prywatne życie, Andrzeju Filipowiczu.

- Co takiego?

- Mówię, Andrzeju Filipowiczu, że to moje prywatne życie i że w tym, jak mi się wydaje, nie można się dopatrzeć niczego naganego w sensie moich oficjalnych stosunków.

- Jak pan mówi? W sensie oficjalnych... Co się z panem dzieje?

- Nic takiego, Andrzeju Filipowiczu, absolutnie nic; bezczelne dziewczynisko i nic więcej...

- Co?... co?...-Andrzej „Filipowicz stracił głowę ze zdumienia. Pan Goladkin, który dotąd rozmawiając z dołu schodów z Andrzejem Filipowiczem, patrzył tak, jak gdyby gotów był mu skoczyć prosto do oczu, widząc, że naczelnik wydziału nieco się zmieszał, zrobił prawie nieświadomie krok naprzód. Andrzej Filipowicz cofnął się. Pan Goladkin wstąpił na jeszcze jeden i jeszcze jeden schodek. Andrzej Filipowicz rozejrzał się dokoła niespokojnie. Pan Goladkin naraz szybko wszedł na schody. Andrzej Filipowicz jeszcze szybciej skoczył do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Pan Goladkin został sam. W oczach mu pociemniało. Zupełnie stracił głowę i stał teraz w jakimś bezsensownym zamyśleniu, jak gdyby przypominał sobie jakąś również bezsensowną okoliczność, która się niedawno wydarzyła. „Ech-ech!”- wyszeptał uśmiechając się z wysiłkiem. Tymczasem na schodach, w dole, rozległy się głosy i kroki zapewne nowych gości Ołsufia Iwanowicza. Pan Goladkin nieco się opamiętał, szybko podniósł swój szopowy kołnierz, zasłonił się nim jak tylko mógł i potykając się i drepcząc zaczął spieszyć schodzić ze schodów. W całym ciele czuł jakieś osłabienie i zdrętwiałość... Był tak okropnie zmieszany, że gdy wyszedł na ganek, nie czekał na karete, lecz sam poszedł przez zabłocone podwórze do swojego powozu. Zbliżywszy się do powozu i szykując się do wejścia pan Goladkin uświadomił sobie, że chętnie by wraz z kareta zapadł się pod ziemię albo skrył się w mysią norę. Wydawało mu się, że wszyscy obecni w domu Ołsufia Iwanowicza nie robią nic innego, tylko przyglądają mu się ze wszystkich okien. Czuł, że tu, niewątpliwie tu na miejscu, padłby trupem, gdyby się odwrócił.

- Czego się śmiesz, bałwanie?-wyrzekł szybko do Pietrka, który zamierzał podsadzić go do karety.

- A co mam się śmiać? Wcale się nie śmieję. Dokąd teraz jechać? :- Jazda do domu, wal...
- Jazda do domu! - wrzasnął Pietrek gramoląc się na tylny stopień karety.

„Ależ wrzeszczy!”-pomyślał pan Goladkin. Tymczasem kareta odjechała już dość daleko poza most Izmailowski. Naraz bohater nasz z całej siły pociągnął za sznurek i krzyknął stangretowi, aby natychmiast wracał. Stangret zawrócił konie i po jakichś dwóch minutach wjechał znowu na dziedziniec Ołsufia Iwanowicza. „Nie trzeba, głupcze, nie trzeba, wracaj!” - zawołał pan Goladkin; stangret jak gdyby oczekiwał takiego rozkazu: bez słowa sprzeciwu, nie zatrzymując się przed podjazdem i okrążywszy cały dziedziniec, wyjechał znów na ulicę.

Do domu pan Goladkin nie pojechał, lecz gdy minął most Siemionowski, kazał skręcić w pewien zaułek i zatrzymać się przed dość skromnie wyglądającą traktiernią. Wszedłszy z karety bohater nasz zapłacił należność stangretowi i w ten sposób pozbył się nareszcie swego powozu. Piotrkowi kazał iść do domu i czekać na swój powrót, a sam wszedł do trak-tierni, zajął oddzielny gabinet i zamówił obiad. Czuł się bardzo źle, w głowie miał okropny zamęt i chaos. Długo chodził zdenerwowany po pokoju, wreszcie siadł na krześle, podparł czoło dłońmi i usilnie próbował rozważyć i ocenić swoją obecną sytuację...

ROZDZIAŁ IV

Dzień, uroczysty dzień urodzin Klary Olsufiewny, jedynej córki radcy stanu Bieriendiejewa, ongiś dobroczyńcy pana Goladkina - dzień, który się upamiętnił wspaniałym, świetnym obiadem proszonym, takim obiadem, jakiego dawno nie widziano w murach mieszkań urzędniczych przy moście Izmaïłowskim i w okolicy - obiadem, który raczej podobny był do jakiejś uczyty Baltazarowej niż do obiadu - który przypominał coś babilońskiego swą świetnością, wspaniałością i elegancją, z szampanem Clicquot, z ostrygami i owocami ze sklepów Jelisiejewa i Milutinów, ze wszystkimi utuczonymi

809

cielcami i urzędniczą tabelą rang - ten uroczysty dzień, który upamiętnił się tak uroczystym obiadem, zakończył się wspaniałym balem: niewielkim, w gronie rodzinnym, a jednak wspaniałym pod względem smaku, dobrego wychowania i pięknych manier. Oczywiście całkiem podzielałam to zdanie, że takie bale zdarzają się, ale rzadko! Takie bale, podobne raczej do rodzinnych uciech niż do balów, mogą wydawać jedynie takie domy, jak na przykład dom radcy stanu Bieren-diejewa. Powiem więcej: wątpię, czy wszyscy radcowie stanu mogliby wydawać takie bale. O, gdybym był poetą! - oczywiście przynajmniej takim jak Homer lub Puszkina - z mniejszym talentem nie ma się co pchać - to niewątpliwie odmalowałbym wam jaskrawymi barwami i szerokim pędzlem, o czytelnicy! - cały ów nader uroczysty dzień. Nic, rozpocząłbym swój poemat od obiadu, położyłbym szczególny nacisk na ową zadziwiającą, a jednocześnie podniosłą chwilę, kiedy wzniesiono pierwszy toast za zdrowie i na cześć królowej uroczystości. Odmalowałbym wam po pierwsze tych gości, pogrążonych w oczekiwaniu i pełnym czci milczeniu, podobnym raczej do demostenesowej wymowy niż do milczenia. Odmalowałbym wam potem Andrzeja Filipowicza, jako najstarszego z gości, mającego nawet pewne prawo do pierwszeństwa, zdobnego w siwiznę i w należne siwiznie order, jak wstał z miejsca i uniósł nad głowę kielich ze skrzącym się iskrami winem - winem umyślnie przywożonym z pewnego dalekiego królestwa, aby zapijać nim podobne chwile - winem podobnym raczej do boskiego nektaru niż do wina. Odmalowałbym wam gości i szczęśliwych rodziców królowej uroczystości, jak za przykładem Andrzeja Filipowicza również wzniesli swoje kielichy i skierowali nań wzrok pełen oczekiwania. Odmalowałbym wam, jak ów często wspomniany Andrzej Filipowicz, uroniwszy najpierw łzę do kielicha, wypowiedział powitanie i życzenia, wygłosił toast i wypił za jej zdrowie... Ale muszę przyznać, że nie potrafiłbym odmalować całego majestatu owej chwili, gdy sama królowa uroczystości, Klara Olsufiewna, rumieniąc się jak wiosenna róża rumieńcem szczęścia i wstydlivosti, przepelniona uczuciami, padła w objęcia tkliwej matki, jak rozrzewniła się tkliwa matka i jak rozplakał się z tej okazji sam ojciec, szacowny starzec i radca stanu Olsufij Iwanowicz, który w trakcie wieloletniego urzędowania

utracił władzę w nogach, a którego los za taką gorliwość wynagrodził kapitałkiem, domkiem, wioskami i piękną córką - rozplakał się jak dziecko i przez łzy powiedział, że jego ekscelencja jest człowiekiem wielkiej łaskawości. Nie potrafiłbym, tak, właśnie nie potrafiłbym odmalować wam również powszechnego zapału serc, który nastąpił po tej chwili - zapału, któremu dał bezpośredni wyraz swoim zachowaniem pewien młody registrarator (który w tej chwili przypominał raczej radcę stanu niż registraratora), również rozrzucony słowami Andrzeja Filipowicza. Z kolei Andrzej Filipowicz w tej uroczystej chwili bynajmniej nie przypominał radcy kolegiального i naczelnika wydziału pewnego departamentu - nie, wydawał się kimś innym... nie wiem tylko, kim właściwie, ale bynajmniej nie radcą kolegialnym. Był znaczniejszy! Wreszcie... o! dlaczegoż to nie władam tajemnicą stylu wzniosłego, mocnego, stylu uroczystego, aby móc odmalować wszystkie te wspaniałe i pouczające chwile ludzkiego życia, stworzone jak gdyby umyślnie na dowód, jak to cnota osiąga niekiedy zwycięstwo nad nielojalnością, wolnomyślnością, występkiem i zawiścią! Nie powiem nic, lecz w milczeniu - co będzie lepsze od wszelkiej wymowy - wskażę wam tego szczęśliwego młodzieńca, wstępującego w dwudziestą szóstą wiosnę życia, Włodzimierza Siemionowicza, bratanka Andrzeja Filipowicza, jak z kolei wstaje ze swego miejsca, jak wygłasza kolejny toast, i jak na niego zwrócone są pełne łez oczy rodziców królowej tej uroczystości, dumne oczy Andrzeja Filipowicza, zawstydzone oczy samej królowej uroczystości, pełne zachwyty oczy gości, a nawet zazdrosne w dopuszczalnych granicach oczy niektórych młodych kolegów biurowych tego olśniewającego młodzieńca. Nie powiem nic, choć nie mogę się powstrzymać od uwagi, że wszystko w tym młodzieńcu - który raczej podobny jest do starca niż do młodzieńca, mówiąc w sensie dla niego dodatnim - wszystko, począwszy od kwitnących policzków aż do zdobiącej go rangi asesora, wszystko to w owej uroczystej chwili świadczyło nieomal głośno, jak daleko może doprowadzić człowieka obyczajność! Nie będę opisywał, jak wreszcie Antoni Antonowicz Sietoczkina, referent w pewnym departamencie, kolega biurowy Andrzeja Filipowicza, niegdyś - Ołsufia Iwanowicza, a jednocześnie stary przyjaciel domu i ojciec chrzestny Klary Ołsufiewny - sta-

ruszek siwiuteńki jak gołąbek, wznosząc z kolei toast zapiał jak kogut i wygłosił wesołą rymowaną orację, jak owym przyzwoitym, jeśli można się tak wyrazić, poniechaniem dobrych manier do łez rozśmieszył całe towarzystwo i jak sama Klara Ołsufiewna za tę wesołość i uprzejmość z rozkazu rodziców pocałowała go w czoło. Opowiem jedynie, jak w końcu goście, którzy po takim obiedzie oczywiście powinni byli czuć się przyjaciółmi i braćmi, wstali od stołu; jak potem co starsi i solidniejsi, po chwili przyjacielskiej rozmowy, a nawet niejaki, naturalnie bardzo przyzwoitych i uprzejmych zwierzeń, godnie przeszli do drugiego pokoju, nie tracąc cennego czasu rozdzielili się na partie i z poczuciem własnej godności usiedli za stoły obciążone zielonym sukniem; jak damy, rozsiadłszy się w salonie, stały się nagle wszystkie niezwykle uprzejme i zaczęły rozmawiać na różne tematy; jak wreszcie sam nader szacowny gospodarz domu, który stracił władzę w nogach przy urzędowaniu z całych sił i możliwości, o czym była już powyżej mowa, zaczął przechadzać się o kulach pomiędzy swoimi gośćmi podpierany przez Włodzimierza Siemionowicza i Klarę Ołsufiewną i jak naraz, stając się również niezwykle uprzejmym, postanowił zaimprovizować, nie bacząc na koszty,

mały skromny balik; jak w tym celu odkomenderowano pewnego roztropnego młodzieńca (tego, który przy obiedzie przypominał bardziej radcę kolegiąlnego niż młodzieńca) po muzykantów; jak potem przyszli muzykanci w liczbie aż jedenastu osób i jak wreszcie ściśle o wpół do dziewiątej rozległy się zapraszające do piasów dźwięki francuskiego kadryla i najrozmaitszych innych tańców... Nie trzeba nawet dodawać, że pióro moje jest zbyt słabe, gnuśne i tępe, ażeby w sposób właściwy odmalować bal, zaimprovizowany dzięki niezwyklej uprzejmości siwowłosego gospodarza. A zresztą jakże, zapytam, jakże mógłbym ja, skromny dziejopis nader zresztą ciekawych w pewnym sensie przygód pana Goladkina - jakże mógłbym odmalować to niezwykle i wyjątkowo przyzwoite pomieszanie piękna, wytwomości, dobrych manier, wesołości, uprzejmej solidności i solidnej uprzejmości, figlar-ności, radości, wszystkie te zabawy i śmiechy wszystkich tych dam z mężami na stanowiskach, bardziej przypominających czarodziejki niż damy - mówiąc w dodatnim dla nich znaczeniu - z ich jak lilie białoróżowymi ramionami i twarzycz-

karni, z ich powiewnymi kibiciami, z ich zwinnie filuternymi, homeopatycznymi, mówiąc górnym stylem, nóżkami? Jakże odmaluję wam wreszcie owych świetnych kawalerów na stanowiskach, wesołych i solidnych, młodzieńców i statecznych panów, pełnych radości i godnie chmurnych, palących fajkę w antraktach pomiędzy tańcami w małym oddalonym zielonym pokoju i nie palących w antraktach fajki - kawalerów, z których każdy od pierwszego do ostatniego obdarzony był przyzwoitą rangą i nazwiskiem-kawalerów głęboko przejętych poczuciem elegancji i poczuciem własnej godności - kawalerów mówiących z paniami przeważnie po francusku, a jeśli po rosyjsku, to wyrażeniami w najwyższym stylu, komplementami i mądrymi zdaniami - kawalerów, którzy chyba jedynie w fajczarni pozwalali sobie na pewne miłe odstępstwa od języka wyższych sfer, na niektóre zdania przyjacielskiej i ujmującej poufałości, w rodzaju na przykład takich: „że niby ty, taki owaki, Pietrek, świetnie polkę wywijając”, albo też: „że. niby ty, Wasia, taki owaki, przygruchałeś jednak, tak jak chciałeś, swoją damulkę”. Do tego wszystkiego, jak już miałem wyżej zaszczyt wyjaśnić wam, o czytelnicy! brak mi pióra i dlatego milczę. Zwróćmy się raczej do pana Goladkina, jedyne prawdziwego bohatera naszej nader wiernej opowieści.

Rzecz polega na tym, że pan Goladkin znalazł się teraz w bardzo, żeby nie powiedzieć więcej, dziwnej sytuacji. Pan Goladkin też jest tutaj, proszę państwa, to znaczy nie na balu, ale prawie na balu. On, proszę państwa, choć od nikogo nie zależy, jednak w tej chwili stoi na drodze nie nazbyt prostej; stoi teraz - aż dziwne to powiedzieć - stoi teraz w sieni, na kuchennych schodach domu Olsufia Iwanowicza. Ale to nie szkodzi, że tu stoi, on to tak sobie. Stoi, proszę państwa, w kątku, w miejscu co prawda nie nazbyt ciepłym, ale za to dość ciemnym, prawie zasłonięty ogromną szafą i starym parawanem, stoi pośród wszelakich rupieci, gratów i łachów, ukrywając się do czasu, a chwilowo obserwując jedynie w charakterze postronnego widza bieg całej sprawy. Pan Goladkin, proszę państwa, teraz jedynie obserwuje; on, proszę państwa, też może przecież wejść... dlaczegoż miałby nie wejść? Wystarczy tylko zrobić krok, a wejdzie, i to bardzo zręcznie wejdzie. Tymczasem zaś - stojąc zresztą już od trzech godzin

na zimnie, pomiędzy szafą a parawanem, pośród wszelakich rupieci i łachów - cytował na własne usprawiedliwienie pewne zdanie świętej pamięci francuskiego ministra Villele'a, że niby „wszystko przyjdzie w swoim czasie, jeśli kto umie przeczekać”.² Zdanie to wyczytał kiedyś pan Goladkin z książki, całkiem zresztą na inny temat, ale teraz bardzo w porę je sobie uprzytomnił. Zdanie to po pierwsze bardzo dobrze pasowało do jego obecnej sytuacji, a po drugie, cóż nie przyjdzie do głowy człowiekowi, który prawie bite trzy godziny wyczekuje w sieni, w ciemności i na zimnie, pomyślnego rozstrzygnięcia swojej sytuacji? Zacytowawszy, jak już powiedzieliśmy, nader stosowne zdanie byłego francuskiego ministra Villele'a, pan Goladkin natychmiast, nie wiadomo zresztą dlaczego, przypomniał sobie również i o byłym tureckim wezyrze Mar-cymirysie, a także i o pięknej margrabinie Luizie, których historię również kiedyś wyczytał w książce.³ Potem przyszło mu na myśl, że jezuita uznawali nawet za swoją zasadę, że wszystkie środki są właściwe, aby tylko osiągnąć cel. Podawszy sobie nieco otuchy tego rodzaju historycznym przykładem, pan Goladkin powiedział sam do siebie, że niby kim właściwie są jezuita? Wszyscy bez wyjątku jezuita byli największymi

durniami, on sam potrafi ich wszystkich zapędzić w kozi róg i niech tylko choć na chwilę opustoszeje pokój kredensowy (ten pokój, od którego drzwi wychodziły na kuchenne schody, gdzie właśnie znajdował się teraz pan Goladkin), to on, nie bacząc na wszystkich jezuitów, weźmie i przejdzie bez wahania najpierw z kredensu do saloniku herbacianego, potem do pokoju, gdzie teraz grają w karty, a stamtąd prosto do salonu, gdzie teraz tańczą polkę. I przejdzie, na pewno przejdzie, przejdzie nie bacząc na nic, prześliznie się i już - i nikt nawet nie zauważy; a potem to już sam wie, co ma robić. W takiej to właśnie sytuacji, proszę państwa, znajdujemy bohatera naszej bardzo prawdziwej historii, chociaż trudno zresztą wyjaśnić, co właściwie działo się z nim w tej chwili. Rzecz w tym, że do sieni i na schody dostać się potrafił, bo i dlaczego niby miałby się nie dostać, wszakże wszyscy się dostają; ale dalej pójść nie śmiał, wyraźnie nie śmiał tego uczynić... nie dlatego, żeby nie śmiał czynić czegokolwiek, ale tak sobie, ponieważ sam nie chciał, ponieważ miał ochotę raczej robić wszystko cichaczem. I oto, proszę państwa, właśnie wy-

czekuje teraz stosownej chwili, i to wyczekuje równe dwie i pół godziny. Dlaczegoż miałby nie wyczekiwać? Nawet sam Villele wyczekiwał. „A co tam zresztą Villele! - myślał pan Goladkin. - Jaki tam znów Villele? A gdybym tak właśnie teraz... tego... wziął i wszedł?... Ech ty, figurancie jeden!- rzekł pan Goladkin, szczypiąc się zdrętwiałą ręką w zdrętwiały policzek - głuptasie jeden, Goladko, hołotko ty jedna - takie to już twoje nazwisko!...” Zresztą ta czułość do własnej osoby zjawiała się w danej chwili jedynie tak sobie, mimochodem, bez jakiegokolwiek wyraźnego celu. Oto się wsunął i ruszył naprzód; nadeszła właściwa chwila; pokój kredensowy opustoszał, nie było w nim nikogo; pan Goladkin widział to wszystko przez okienko; zrobiwszy dwa kroki znalazł się przy drzwiach i zaczął już je otwierać. „Iść czy nie iść? No, iść czy nie iść? Pójdę... dlaczegoż miałbym nie pójść? Odważni nie znają przeszkód!”-Dodawszy sobie w ten sposób otuchy nasz bohater nagle i całkiem niespodziewanie cofnął się za parawan. „Nie - myślał sobie - a jak ktoś wejdzie? No i właśnie, ktoś wszedł; dlaczego się gapiłem, kiedy nikogo nie było? Gdyby tak wziąć i wejść!... Nie, jakże tu wejść, gdy człowiek ma taki charakter! Cóż to za podła tendencja! Stchórzyłem jak kurczak. Taką już mam naturę, że tchórzę, no tak! Taką już mam zawsze naturę, że muszę wszystko spaskudzić: już mnie nawet o to nie pytajcie. No i stój tu, człowieku, jak pień, i tyle! Wypiłbym teraz w domu filiżaneczkę herbaty... to nawet byłoby całkiem przyjemnie wypić sobie filiżaneczkę! A jak przyjdę później, to Pietrek gotów mamrotać. Czy aby nie pójść do domu? Niechby to wszystko diabli wzięli! Pójdę, i tyle!” Rozstrzygnąwszy w ten sposób swoją sytuację, pan Goladkin szybko posunął się naprzód, jak gdyby ktoś poruszył w nim jakąś sprężynę; dwoma krokami znalazł się w pokoju kredensowym, zrzucił płaszcz, zdjął kapelusz, z pośpiechem wetknął to wszystko w kąt, z kredensu przemknął do sąsiedniego pokoju, prześliznął się prawie niedostrzegalnie pomiędzy podnieconymi graczami, a potem... potem... tu już pan Goladkin zapomniał o wszystkim, co się dzieje wokół niego i od razu, jakby spadł z nieba, znalazł się w sali balowej.

Jak na złość w tej chwili nie tańczono. Panie przechadzały się po salonie malowniczymi grupami. Mężczyźni stali stłó-

czeni po kilku albo też kręcili się po pokoju, angażując panie. Pan Goladkin nic z tego nie dostrzegał. Widział tylko Klarę Olsufiewnę, obok niej Andrzeja Filipowicza, potem Włodzi mierzą Siemionowicza i jeszcze dwóch czy trzech oficerów i jeszcze dwóch czy trzech młodzieńców, też bardzo interesujących, którzy rokowali albo też już ziścili, jak można byk sądzić na pierwszy rzut oka, pewne nadzieje... Widział również jeszcze kogoś. A raczej nie, nikogo już nie widział, na nikogo nie patrzył... lecz poruszany przez tę samą sprężynę, przy której pomocy wdarł się nieproszony na cudzy bal, ruszył przed siebie, potem jeszcze przed siebie i jeszcze przed siebie;

wpadł mimochodem na jakiegoś radcę, nadepnął mu na nogę, przy okazji pewnej szacownej staruszce nastąpił na suknię i nieco ją naddarł, popchnął służącego z tacą, popchnął jeszcze kogoś tam i nic z tego nie zauważywszy albo raczej zauważywszy, ale robiąc to już tak, przy okazji, nie patrząc na nikogo, przedzierając się wciąż naprzód, nagle znalazł się przed samą Klarą Olsufiewną. Nie ulega wątpliwości, że nie mrugnawsz okiem, z najwyższym zadowoleniem zapadłby się w tej chwili pod

ziemię, ale co się stało, to się już nie odstanie... przecie- i tak już w żaden sposób się nie odstanie. Cóż było robić? „Jak się nie uda - to wytrzymaj, kiedy się uda - to się trzymaj. Pan Goladkin, ma się rozumieć nie był intrygantem i nie umiał szlifować butami parkietów...” Tak to już wyszło. W dodatku dołączyli się do tego w jakiś sposób jezuici... Ale nie oni zresztą w tej chwili obchodzili pana Goladkina! Wszystko, co chodziło, hałasowało, mówiło, rozmawiało, śmiało się, nagle, jakby na czyjeś skinienie, ucichło i stopniowo skupiło się wokoło pana Goladkina. Zresztą pan Goladkin jak gdyby nic nie słyszał, nic nie widział, nie mógł patrzeć... za żadne skarby nie mógł patrzeć; spuścił oczy ku ziemi i tak sobie stał, zresztą dał sobie mimochodem słowo honoru, że tak czy inaczej zastrzeli się jeszcze tej nocy. A gdy pan Goladkin dał już sobie takie słowo honoru, to powiedział sam sobie w myśli:

„było, nie było!” i ku swemu najwyższemu zdumieniu całkiem niespodzianie zaczął naraz mówić.

Zaczął pan Goladkin od powinszowań i należnych życzeń. Powinszowania poszły mu gładko, ale na życzeniach nasz bohater się zaciął. Czuł, że jeśli się zatnie, to wszystko od razu diabli wezmą. Tak też się stało - zaciął się i ugrzązł... ugrzązł

i poczerwieniał, poczerwieniał i zmieszał się, zmieszał się i podniósł wzrok, podniósł wzrok i powiódł nim dokoła, powiódł nim dokoła i-zdrętwiał... wszystko stało, wszystko „milczało, wszystko wyczekiwało; nieco dalej zaczęto szeptać, ‘nieco bliżej zaczęto się śmiać. Pan Goladkin rzucił pokorne, ‘skonfundowane spojrzenie na Andrzeja Filipowicza. Andrzej Filipowicz odpowiedział panu Goladkinowi takim spojrzeniem, że gdyby nasz bohater nie był już całkowicie, absolutnie zbity z pantałyku, to niewątpliwie zbiłby się po raz drugi - jeśli to było tylko możliwe. Milczenie przeciągało się.

- To raczej dotyczy domowych okoliczności i mego prywatnego życia, Andrzeju Filipowiczu - ledwo dosłyszalnym głosem wyrzekł na wpół żywy pan Goladkin - to nie jest oficjalny przypadek, Andrzeju Filipowiczu...

- Wstydziliby się pan, wstydziliby! - rzekł Andrzej Filipowicz półszepem z niewymownie oburzoną miną; rzekł, wziął za rękę Klarę Olsufiewnę i odwrócił się od pana Goladkina. . - Nie mam się czego wstydzić, Andrzeju Filipowiczu - odparł również szepem pan Goladkin, patrząc nieszczęśliwym Spojrzeniem dokoła, mieszając się coraz bardziej i usiłując ‘W tej sytuacji odnaleźć w zdumionym tłumie swoją pozycję

społeczną.

- No nic takiego, no nic takiego, proszę państwa! No cóż takiego? Przecie każdemu może się przydarzyć - szeptał pan Goladkin ruszając powoli z miejsca i usiłując wydostać się z otaczającego go tłumy. Rozstąpiono się przed nim. Bohater nasz jako tako przeszedł pomiędzy dwoma rzędami zaciekawionych i zdumionych obserwatorów. Rządziło nim przeznaczenie. Pan Goladkin sam to odczuwał, że rządzi nim przeznaczenie. Niewątpliwie dużo by dał za to, aby zachowując pozory przyzwoitości znaleźć się teraz na swoim poprzednim stanowisku w sieni obok kuchennych schodów, ale ponieważ było to zdecydowanie niemożliwe, usiłował więc zwać w jakiś kącik i tam sobie stać - skromnie, przyzwoicie, oddzielnie, nikogo nie ruszając, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi, a jednocześnie pozyskując sobie przychyłność gości i gospodarza. Zresztą pan Goladkin czuł się tak, jak gdyby mu coś podcinało nogi, jak gdyby się chwiały, padały. Wreszcie dotarł do jakiegoś kącika i stanął w nim jak obcy, dość obojętny obserwator, trzymając się za oparcia dwóch

krzesel, zagarnawszy je w ten sposób w pełne posiadanie i usiłując w miarę możność spojrzeć rzeźkim wzrokiem na zgrupowanych wokół niego gość Ołsufia Iwanowicza. Najbliżej niego stał jakiś wysoki i przystojny oficer, wobec którego pan Goladkin poczuł się po prostu żuczkiem.

- Te dwa krzesła, panie poruczniku, są zajęte: jedno jest przeznaczone dla Klary Ołsufiewny, a drugie dla tańczącej tutaj -księżniczki Czewczechanow, pilnuję ich teraz dla nich, panie poruczniku - tracąc oddech wyrzekł pan Goladkin i skierował błagalny wzrok na pana porucznika. Porucznik w milczeniu i z zabójczym uśmiechem odwrócił się. Gdy w jednym miejscu spaliło na panewce, bohater nasz spróbował poszukać szczęścia gdzie indziej i zwrócił się wprost do pewnego dumnego radcy z orderem wysokiej klasy ha szyi. Ale radca zmierzył go tak zimnym wzrokiem, że pan Goladkin wyraźnie poczuł, iż nagle został oblany całym wiadrzem zimnej wody. Pan Goladkin przycichł. Postanowił raczej milczeć, nie zaczynać rozmów, pokazać, że jest tu całkiem po prostu, że jest tak jak i inni i że jest w sytuacji, jak mu się wydaje, przynajmniej równie przyzwoitej. W tym celu przykuł wzrok do wyłogów swego mundurowego fraka, a potem podniósł oczy i zatrzymał je na pewnym panu o nader szacownej powierzchowności. „Ten pan nosi perukę - pomyślał pan Goladkin - a gdyby zdjąć tę perukę, to miałby gołą głowę, kropka w kropkę tak gołą jak moja dłoń.” Uczyniwszy tak ważne odkrycie pan Goladkin przypomniał sobie arabskich emirów, którzy jeśli zdejmą z głowy zielony turban, noszony przez nich na znak powinowactwa z prorokiem Mahometem, to również zostają z gołą, pozbawioną włosów głową. Potem, zapewne na skutek szczególnego skojarzenia myśli o Turkach, pan Goladkin doszedł nawet do tureckich pantofli i tu przy okazji przypomniał sobie, że Andrzej Filipowicz nosi buty podobne bardziej do pantofli niż do butów. Widać było, że pan Goladkin poniekąd przyzwyczał się do swojej sytuacji. „O, gdyby tak ten żyrandol - przemknęło przez głowę panu Goladkinowi - o, gdyby tak ten żyrandol urwał się teraz i spadł na całe towarzystwo, to natychmiast rzuciłbym się na ratunek Klarze Ołsufiewnie. Po uratowaniu jej powiedziałbym do niej:

«Niech się pani nie obawia, łaskawa pani, to nic takiego, a zbawcą pani jestem ja.» Potem...” Tu pan Goladkin spojrzał

w bok szukając Klary Olsufiewny i dostrzegł Gierasimycza, starego kamerdynera Olsufia Iwanowicza. Gierasimycz szedł wprost do niego z nader troskliwą i z nader oficjalnie uroczystą miną. Pan Goladkin drgnął i skrzywił się pod wpływem jakiegoś niepochwytnego, a jednocześnie ogromnie nieprzyjemnego uczucia. Mimo woli rozejrzał się wokoło; przyszło mu na myśl, aby jakoś tak, tak sobie, chyłkiem, boczkim, po cichutku wymknąć się przed nieprzyjemnością, tak właśnie - wziąć i zniknąć, to znaczy zrobić tak, jak gdyby nikt na niego nie zwracał uwagi, jak gdyby w ogóle nie o niego chodziło. Jednakże, zanim nasz bohater zdążył się zdecydować, Gierasimycz stał już przed nim.

- Widzisz, Gierasimycz - rzekł nasz bohater zwracając się do Gierasimycza z miłym uśmiechem - weź i każ - o widzisz, Gierasimycz, tam świeczka w kandelabrze - za chwilę spadnie: no to wiesz, każ ją poprawić; doprawdy, zaraz spadnie, Gierasimycz...

- Świeczka, łaskawy panie? Nie, świeczka stoi prosto, łaskawy panie, a pana właśnie ktoś prosi, łaskawy panie.

- A któż to mnie prosi, Gierasimycz?

- Tego już doprawdy nie wiem, kto właściwie. Czyjś służący, łaskawy panie. Czy jest tu, powiada, Jakub Pietro-wicz Goladkin? To proszę go, powiada, wywołać w bardzo ważnej i pilnej sprawie... tak właśnie, łaskawy panie.

- Nie, Gierasimycz, mylisz się, w tym wypadku mylisz się, Gierasimycz.

- Wątpliwe...

- Nie, Gierasimycz, to nie jest wątpliwe, w tym, Gierasimycz, nie ma nic wątpliwego. Nikt mnie nie prosi, Gierasimycz, nie ma nikogo, kto mógłby mnie prosić, a ja jestem tu u siebie, to znaczy na swoim miejscu, Gierasimycz.

Pan Goladkin nabrał tchu i rozejrzał się dokoła. Ano tak! Wszyscy obecni na sali, po prostu wszyscy patrząc na niego zamienili się we wzrok i słuch w jakimś uroczystym oczekiwaniu. Mężczyźni skupili się nieco bliżej i przysłuchiwali się. Nieco dalej niespokojnie szeptały d<i siebie panie. Sam gospodarz znalazł się tuż w pobliżu pana Goladkina i choć z miny jego trudno było zauważyć, że ze swej strony również bierze bezpośredni udział w sytuacji pana Goladkina, ponieważ wszystko to zrobiło się w sposób delikatny, niemniej

decydująca chwila. Pan Goladkin ujrzał wyraźnie, że nadeszła chwila na śmiałe uderzenie, chwila pohańbienia jego wrogów. Pan Goladkin był przejęty. Pan Goladkin poczuł jakieś natchnienie i drżącym, uroczystym głosem znowu zaczął zwracając się do wyczekującego Gierasimycza:

- Nie, mój przyjacielu, nikt mnie nie wzywa. Mylisz się! Więcej powiem, myliłeś się również dziś rano zapewniając mnie... ośmieliwszy się, powiadam, mnie zapewniać (pan Goladkin podniósł głos), że Ołsufij Iwanowicz, mój dobroczyńca od niepamiętnych lat, człowiek, który w pewnym sensie zastąpił mi ojca, zamknął przede mną drzwi w chwili rodzinnej i uroczystej radości jego rodzicielskiego serca. (Pan Goladkin z miną zadowoloną z siebie, a jednocześnie z głębokim wzruszeniem rozejrzał się dokoła. Na rzęsy jego spłynęły łzy.) Powtarzam, mój przyjacielu - zakończył nasz bohater - żeś się mylił, żeś się okrutnie, niewybaczalnie mylił...

Chwila była uroczysta. Pan Goladkin odczuł, że efekt był właściwy. Pan Goladkin stał skromnie, spuściwszy oczy i oczekując uścisków Ołsufia Iwanowicza. Wśród gości widać było zaniepokojenie i niepewność, nawet sam niezachwiany i okropny Gierasimycz zająknął się na słowie „wątpliwe”... gdy naraz nieubłagana orkiestra ni stąd, ni zowąd rąbnęła polkę. Wszystko przepadło, wszystko poszło z wiatrem. Pan Goladkin drgnął, Gierasimycz cofnął się, wszyscy obecni na sali zafalowali jak morze i oto już Włodzimierz Siemionowicz podążył w pierwszej parze z Klarą Ołsufiewną, a przystojny porucznik z księżniczką Czewczechanow. Widzowie z ciekawością i zachwytem stłoczyli się, aby spojrzeć na tańczących polkę - taniec interesujący, nowy, modny, mącący wszystkim w głowie. O panu Goladkinie na pewien czas zapomniano. Lecz wszystko się wzburzyło, zmaćiło, powstał niepokój; muzyka zamilkła... zdarzył się dziwny wypadek. Znużona tańcem Klara Ołsufiewną z płonącymi policzkami i z falującą piersią, ledwo dysząc ze zmęczenia, opadła wreszcie, całkowicie wyczerpana, na fotel. Wszystkie serca zwróciły się ku uroczej czarodziejce, wszyscy na wyścigi spieszili, aby powiedzieć jej uprzejme słówko i podziękować za to, że sprawiła im przyjemność - gdy wtem zjawił się przed nią pan Golad-

kin. Pan Goladkin był blady i okropnie zdenerwowany; wydawało się, że on również opadł jakoś zupełnie z sił, ledwo bowiem się poruszał. Uśmiechał się nie wiadomo czemu, wyciągał prosząco rękę. Klara Ołsufiewną ze zdumienia nie zdążyła cofnąć swojej ręki i machinalnie wstała na zaproszenie pana Goladkina. Pan Goladkin zatoczył się naprzód, z początku raz, potem drugi, potem uniósł nóżkę, potem jakoś nią szurnął, potem jakoś przytupnął, potem się potknął... on też chciał tańczyć z Klarą Ołsufiewną. Klara Ołsufiewną zakrzyknęła; wszyscy skoczyli, aby uwolnić jej dłoń z dłoni pana Goladkina, i w jednej chwili bohater nasz został odepchnięty przez tłum chyba co najmniej na jakieś dziesięć kroków. Wokoło niego również zgrupowała się gromadka ludzi. Rozległ się pisk i wrzask dwóch staruszek, których pan Goladkin w rejteradzie o mało nie przewrócił. Zamęt był okropny, wszyscy pytali, wszyscy krzyczeli, wszyscy komentowali. Orkiestra zamilkła. Bohater nasz kręcił się w swoim kółku, machinalnie, czasami się uśmiechając, mamrotał coś do siebie, że niby „czemuż by nie, i że niby polka, o ile mu w każdym razie wiadomo, to taniec nowy i nader interesujący, stworzony dla rozrywki pań... ale, że jeżeli już na to poszło, to on bodajże gotów jest się zgodzić.” Ale nikt, jak się zdaje, nie pytał pana Goladkina o zgodę. Bohater nasz poczuł, że czyjaś ręka nagle opadła na jego rękę, że druga ręka oparła się lekko na jego plecach, że z jakąś szczególną troskliwością kierują go w jakąś tam stronę. Wreszcie zauważył, że idzie wprost ku drzwiom. Pan Goladkin chciał coś powiedzieć, coś zrobić... Ale nie, on już nic nie chciał. On się tylko pomimo woli uśmiechał. Wreszcie poczuł, że ubierają go w płaszcz, że mu wcisnęli na oczy kapelusz i że w końcu znalazł się w sieni, w ciemności i na zimnie, a potem na schodach. Wreszcie potknął się, wydało mu się, że led w otchłań, chciał coś krzyknąć - i naraz znalazł się na podwórzu. Owiało go świeże powietrze, stanął i w tej samej chwili dobiegły go dźwięki orkiestry, która na nowo zaczęła grać. Pan Goladkin naraz wszystko sobie przypomniał i to jak gdyby przywróciło *nu utraczone siły. Zerwał się z miejsca, gdzie stał dotąd jak przykuty, i pobiegł pędem byle gdzie, na powietrze, na swobodę, gdzie oczy poniosą...

ROZDZIAŁ V

Wszystkie zegary na petersburskich wieżach, wskazujące i wybijające godziny, oznajmiły równo północ, gdy pan Goladkin, wzburzony do głębi, wybiegł na nadbrzeże Fontanki, tuż przy moście Izmaiłowskim, w ucieczce przed nieprzyjaciółmi, przed prześladowaniami, przed gradem wymierzonych w niego szcztków, przed krzykiem wylękłych staruszek, przed jękami i biadaniami kobiet i zabójczymi spojrzeniami Andrzeja Filipowicza. Pan Goladkin był wykończony - wykończony całkowicie, w pełnym znaczeniu tego słowa, a jeśli zachował w tej chwili zdolność do ucieczki, to jedynie jakimś cudem, cudem, któremu sam w końcu odmawiał wiary. Noc była okropna - listopadowa, wilgotna, mglista, dżdżysta, śnieżysta, brzemienna we fluksje, katar, febrę, anginy, gorączki wszelakich rodzajów i odmian, słowem - we wszystkie dary petersburskiego listopada. Wiatr wył w opustoszałych ulicach, wznosząc powyżej żelaznych pierścieni czarne wody Fontanki i zapalczywie chwiejąc wątlami latarniami nadbrzeża, które z kolei wtórzyły jego wyciu cieniutkim, przejmującym skrzypieniem, co razem tworzyło nie kończący się piskliwy, brzęczący koncert, dobrze znany każdemu mieszkańcowi Petersburga. Padał jednocześnie deszcz i śnieg. Rozdzierane wiatrem strugi deszczowej wody pryskały niemal poziomo, jak gdyby ze strażackiego węża, klując i tnąc w twarz nieszczęsnego pana Goladkina jak tysiące szpilek i szpileczek. Pośród nocnej ciszy, przerywanej jedynie dalekim turkotem karet, wyciem wiatru i skrzypieniem latarni, rozlegało się ponure pluskanie i szmer wody spływającej na granitowy pomost trotuaru ze wszystkich dachów, ganków, rynien i okapów. Ani w pobliżu, ani w oddali nie było żywej duszy i wydawało się, że o takiej porze i w taką pogodę nawet być nie mogło. Tak więc pan Goladkin sam jeden, sam jeden ze swoją rozpaczą, dreptał o tej porze po trotuarze Fontanki swoim zwykłym, drobnym i spiesznym kroczkiem, chcąc dobiec jak najszybciej do swojej ulicy Sześciu Sklepów, na swoje trzecie piętro, do swego mieszkania.

Chociaż śnieg, deszcz i to wszystko, na co nawet nie ma nazwy, gdy pod petersburskim, listopadowym niebem rozszaleje zawierucha i zadymka, nagle, jednocześnie zaatako-

wało już i tak przybitego nieszczęściami pana Goladkina nie dając mu ani chwili wytchnienia i wypoczynku, przejmując go do kości, zalepiając oczy, przewiewając ze wszystkich stron, spychając go z drogi i zbijając z tropu, choć wszystko to naraz spadło na pana Goladkina, jak gdyby umyślnie zmówiwszy się ze wszystkimi jego wrogami, aby mu popsuć do reszty dzień, wieczór i noc-pomimo to pan Goladkin pozostał prawie nieczuły na ten ostatni dowód prześladowań losu, tak bowiem mocno wstrząsnęło nim i zaskoczyło go to, co wydarzyło się z nim kilka minut temu u pana radcy stanu Berendiejewa! Gdyby teraz jakiś obojętny postronny obserwator spojrzął tak sobie, z boku na markotny bieg pana Goladkina, to i on od razu przejąłby się całą niesamowitością nieszczęść pana Goladkina i niewątpliwie powiedziałby, że pan Goladkin wygląda teraz tak, jak gdyby chciał się ukryć sam przed sobą, jak gdyby sam od siebie chciał uciec. Tak! Tak było rzeczywiście. Powiemy więcej: pan Goladkin nie tylko chciał teraz uciec sam od siebie, lecz całkiem się unicestwić, obrócić się w proch. W tej chwili nie widział nic dokoła, nie rozumiał nic, co się wokół niego dzieje, i wyglądał tak, jak gdyby rzeczywiście nie istniały dla niego ani przykrości słotnej nocy, ani długa droga, ani deszcz, ani śnieg, ani wiatr, ani cała ta okrutna aura. Kalosz, który spadł z prawego buta pana Goladkina, został w błocie i śniegu na trotuarze Fontanki, a pan Goladkin ani nie pomyślał, aby wrócić po niego, ani nie zauważył jego straty. Był tak zaskoczony, że kilka razy, nie bacząc na wszystko, co go otaczało, całkowicie ogarnięty myślą o swoim niedawnym upadku, nagle stawał nieruchomo jak słup pośrodku chodnika; w takich chwilach umierał, znikał, potem nagle zrywał się z miejsca jak oszalały i biegł, biegł na oślep, jak gdyby szukał ucieczki przed czyjąś pogonią, przed jakimś jeszcze okropniejszym nieszczęściem... Istotnie sytuacja jego była okropna!... Wreszcie pan Goladkin, wyzbyty sił, stanął, oparł się o poręcz bulwaru w pozie człowieka, któremu nagle, całkiem niespodzianie popłynęła krew z nosa, i zaczął uważnie wpatrywać się w mętną, czarną wodę Fontanki. Nie wiadomo, ile właściwie czasu spędził na tym zajęciu. Wiadomo tylko, że w tej chwili pan Goladkin doszedł do takiej rozpaczki, tak był udręczony, tak znużony, tak wyczerpany i wyzbyty słabych już resztek ducha, że zapomniał

o wszystkim, i o moście Izmańskim, i o ulicy Sześciu Sklepów, i o swoim położeniu. Cóż doprawdy? Było mu wszystko jedno; stało się, skończone, wyrok przypieczętowany i podpisany; cóż on ma do tego?... Naraz... drgnął cały i mimo woli odskoczył ze dwa kroki w bok. Z niepojętym niepokojem zaczął się rozglądać dokoła, ale nikogo nie było, nic szczególnego się nie wydarzyło-a jednak... a jednak wydało mu się, że w tej samej chwili, właśnie teraz ktoś stał tu, obok niego, przy nim, również oparty o poręcz bulwaru i - rzecz dziwna! - odezwał się nawet do niego, szybko powiedział coś urywanym głosem, coś nie całkiem zrozumiałego, ale o czymś bardzo mu bliskim, co się do niego odnosiło. „Cóż to, przywidziało mi się czy co? - rzekł pan Goladkin, raz jeszcze rozglądając się dokoła. - I gdzież to ja właściwie stoję?... Ech, ech!”-zakonkludował pokręciwszy głową, i jednocześnie z uczuciem przykrości i niepokoju, a nawet ze strachem zaczął wpatrywać się w zamgloną, wilgotną przestrzeń, z całych sił wyęzając wzrok i z całych sił usiłując swym krótkowzrocznym spojrzeniem przeniknąć rozpościerającą się przed nim mokrą powłokę. Jednak nie zdarzyło się nic nowego, nic szczególnego nie rzuciło się w oczy panu Goladkinowi, wydawało się,

że wszystko było w porządku, jak należy, to znaczy: śnieg walił jeszcze większy, obfitszy i gęściej szczy; w odległości dwudziestu kroków nie było widać nic, choć oko wykol; latarnie skrzypiały jeszcze bardziej przejmująco niż przedtem, a wiatr, zda się, jeszcze żałośniej wyśpiewywał swoją smutną pieśń jak natrętny żebrak, który wyprasza miedziaka na chleb. „Ech, ech! i cóż to się ze mną dzieje?” - powtórzył pan Goladkin na nowo ruszając w drogę i wciąż nieznacznie rozglądając się dokoła. A tymczasem coś znowu odezwało się w ciele pana Goladkina: smutek nie smutek, strach nie strach... wstrząsnął nim febryczny dreszcz. Chwila była nieznośnie przykra! „No nic-odezwał się, aby dodać sobie otuchy - no nic, może to zupełnie nic nie jest i niczyjego honoru nie bruka, może tak właśnie powinno być - ciągnął, sam nie rozumiejąc, co mówi - może to wszystko w swoim czasie wyjdzie jeszcze na dobre, nie będzie do czego pretendować, i wszyscy będą usprawiedliwieni.” Mówiąc w ten sposób i tymi słowami sprawiając sobie ulgę, pan Goladkin nieco ochłonął, strząsnął z siebie płaty

śniegu, które gęstą skorupą nawaliły mu się na kapelusz, na kołnierz, na płaszcz, na halsztuk, na buty i na wszystko- nie mógł jednakże odepchnąć, zrzucić z siebie dziwnego uczucia, dziwnego głuchego niepokoju. Gdzieś daleko rozległ się armatni strzał. „Ależ pogoda-pomyślał nasz bohater- ejże! Czy nie będzie czasem powodzi? Widocznie woda podniosła się już wysoko.” Ledwie pan Goladkin powiedział to czy pomyślał, gdy ujrzał naprzeciw siebie jakiegoś przechodnia, który też zapewne jak on z jakiegoś tam powodu się zapóźnił. Wydawałoby się, że była to rzecz błaha, przypadkowa, ale nie wiadomo dlaczego pan Goladkin zmieszał się, nieco się speszył, a nawet przestraszył. Nie dlatego, aby bał się złego człowieka, ale tak sobie, może... „A któż go tam wie, tak późno idzie - przemknęło mu przez myśl - może on tak samo, może rzecz właśnie na nim polega i nie na próżno tak idzie, lecz idzie w jakimś celu, przechodzi mi drogę i zaczepia mnie.” Może zresztą pan Goladkin nie pomyślał właśnie tego wszystkiego, lecz tylko tak sobie, po prostu, przez chwilę odczuł coś podobnego, co zresztą było bardzo niemiłe. Zresztą na myślenie i odczuwanie nie było czasu, przechodzień był już w odległości dwóch kroków. Pan Goladkin natychmiast zgodnie ze swoim zwyczajem przybrał bardzo znaczącą minę, która mówiła wyraźnie, że on, Goladkin, jest sam przez się, że on nic takiego, że droga dla wszystkich jest dość szeroka i że wszakże on, Goladkin, sam nikogo nie zaczepia. Nagle zatrzymał się jak wryty, jak rażony piorunem i szybko się odwrócił za przechodniem, który właśnie dopiero co go minął - odwróci! się z takim wyrazem twarzy, jak gdyby coś go szarpnęło z tyłu, jak gdyby wiatr okręcił naokoło niego wiatrowskaz. Przechodzień zniknął szybko w śnieżnej zadymce. Szedł tak samo spieszenie, tak samo był ubrany i ukutany od stóp do głowy jak pan Goladkin i tak samo jak on drobił i dreptał po trotuarze Fontanki małymi, szybkimi kroczkami, nieco podrygując. „Cóż to, cóż to takiego?”-szeptał pan Goladkin, uśmiechając się z niedowierzaniem, a jednak drgnął całym ciałem. Mróz przebiegi mu po plecach. Tymczasem przechodzień znikł, nie słysząc już było nawet jego kroków, ale pan Goladkin wciąż jeszcze stał i patrzył w ślad za nim. Wreszcie trochę się uspokoił. „Cóż to właściwie znaczy - pomyślał z przykrością-cóż to, zwariowałem czy co?”-Odwrócił

się i poszedł swoją drogą, coraz bardziej przyśpieszając kroku, coraz bardziej drepcząc i starając się raczej o niczym w ogóle nie myśleć. Wreszcie nawet oczy zamknął w tym celu. Wtem poprzez wycie wiatru i szum zawiei do uszu jego dobiegł znów odgłos czyichś bardzo bliskich kroków. Drgnął i otworzył oczy. W odległości może dwudziestu kroków znów czerniał przed nim jakiś szybko zbliżający się ku niemu człowieczek. Człowieczek ten prędko dreptał, spieszył się; odległość szybko się zmniejszała. Pan Goladkin mógł już nawet dokładnie przyjrzeć się swemu nowemu zapóźnionemu towarzyszowi drogi - przyjrzał się i zakrzyknął ze zdumienia i przerażenia; ugięły się pod nim nogi. Był to ten sam znajomy już mu przechodzień, którego jakieś dziesięć minut temu przepuścił mimo siebie i który nagle, całkiem niespodziewanie znów się teraz przed nim zjawił. Lecz nie tylko ten cud zaskoczył pana Goladki-na - a pan Goladkin tak był zaskoczony, że stanął, zakrzyknął, chciał coś powiedzieć - i pobiegł, aby dogonić nieznajomego, a nawet coś do niego zawołał, widocznie pragnąc go jak najszybciej zatrzymać. Nieznajomy istotnie zatrzymał się, mniej więcej w odległości jakichś dziesięciu kroków od pana Goladkina i tak, że światło stojącej w pobliżu latarni padało na całą jego

postać - zatrzymał się, odwrócił się do pana Goladkina i z miną niecierpliwą a zatroskaną czekał, co też mu on powie. „Przepraszam, chyba się pomyliłem” - drżącym głosem odezwał się nasz bohater. Nieznajomy w milczeniu i ze złością odwrócił się i szybko poszedł swoją drogą, jak gdyby spieszył się nadrobić stracone z panem Goladkinem dwie sekundy. Jeśli zaś chodzi o pana Goladkina, to zadygotał on całym ciałem, kolana się pod nim ugięły, osłabły i z jękiem przysiadł na słupku stojącym na chodniku. Zresztą istotnie można było tak się zdetonować. Rzecz w tym, że ów nieznajomy wydał mu się teraz jakoś znajomym. To jeszcze nie byłoby ważne. Ale pan Goladkin poznał, prawie dokładnie poznał teraz tego człowieka. Często tego człowieka widywał, kiedyś go widywał, nawet bardzo niedawno; gdzie by to mogło być? czy to nie wczoraj właśnie? Zresztą znów nie to było najważniejsze, że pan Goladkin często go widywał, a przy tym w tym człowieku nie było przecież nic szczególniejszego - ten człowiek na pierwszy rzut oka stanowczo nie zwracał na siebie niczyjej szczególnej uwagi. Tak, był to człowiek taki jak wszyscy,

przyzwoity, ma się rozumieć, jak wszyscy ludzie przyzwoici, i zapewne miał jakieś tam, i to nawet dość znaczne zalety- słowem, był to człowiek sam w sobie. Pan Goladkin nie żywił nawet ani nienawiści, ani wrogości, ani nawet najłżejszej niechęci do tego człowieka, zdawałoby się, że wprost przeciwnie - a jednocześnie (i ta właśnie okoliczność była najważniejsza) za skarby świata nie chciałby się z nim spotkać, a zwłaszcza spotkać się tak, jak na przykład teraz. Powiem więcej: pan Goladkin doskonale znał tego człowieka, wiedział nawet, jak się nazywa, znał nazwisko tego człowieka, a jednocześnie za nic, znów za żadne skarby świata nie chciałby go nazwać, nie zgodziłby się przyznać, że nazywa się tak a tak, że tak właśnie jest po ojcu i takie właśnie nosi nazwisko. Nie potrafię powiedzieć, czy długo, czy krótko trwały wątpliwości pana Goladkina, czy długo, powiedzmy, siedział na słupku z boku chodnika, ale gdy wreszcie ocknął się nieco, zaczął naraz biec bez zastanowienia, co sił; tracił oddech, że dwa razy się potknął, omal nie upadł - i w tych właśnie okolicznościach osierociał drugi but pana Goladkina, również porzucony przez drugi kalosz. Wreszcie pan Goladkin zwolnił nieco kroku, żeby nabrać tchu, szybko rozejrzał się dokoła i dostrzegł, że przebiegi, sam tego nie zauważywszy, całą swoją drogę wzdłuż Fontanki, przeszedł przez most Anicz-kowa, minął część Newskiego, a teraz stoi na rogu Litiejnej. Sytuacja jego w tej chwili podobna była do sytuacji człowieka stojącego nad strasznym urwiskiem, gdy obsuwa się pod nim ziemia: już drgnęła, już się poruszyła, chwieje się po raz ostatni, leci, pociąga go w otchłań, a tymczasem nieszczęśnik nie ma ani sił, ani odwagi, aby odskoczyć, odwrócić wzrok od rozwartej przepaści; otchłań go wciąga i wreszcie sam w nią skacze, sam przyspieszając chwilę swojej zguby. Pan Goladkin widział, czuł i był całkowicie pewien, że po drodze niewątpliwie czeka go jeszcze coś złego, że na przykład znów spotka się z owym nieznanym, ale - rzecz dziwna, pragnął nawet tego spotkania, uważał je za nieuniknione i prosił tylko Boga, by to wszystko jak najprędzej się skończyło, by jego położenie rozstrzygnęło się jakkolwiek, aby tylko jak najszybciej. A tymczasem wciąż biegł i biegł, jak gdyby pchany przez jakąś obcą siłę, w całym ciele bowiem czuł jakieś osłabienie i omdlenie; myśleć nie mógł o niczym, choć myśli

jego czepiały się wszystkiego jak tarnina. Jakiś zabłąkany piesek, cały mokry i drżący z zimna, przyczepił się do pana Goladkina i również biegł koło niego boczkiem, pospiesznie, podwinawszy ogon i stuliwszy uszy, od czasu do czasu nieśmiało i zmyślnie na niego spoglądając. Przyszła mu teraz do głowy jakaś odległa, dawno zapomniana myśl - wspomnienie o jakiejś sytuacji, która się dawno wydarzyła - myśl ta stuknęła mu w głowie niby młoteczką, dokuczała mu, nie mogła się od niego odczepić. „Ech, ta wstrętna psina!” - szeptał pan Goladkin, sam siebie nie rozumiejąc. Wreszcie na rogu ulicy Włoskiej ujrzał swego nieznanego. Tylko że teraz nieznanomy szedł nie naprzeciw niego, lecz w tę samą stronę, tak jak i on, i również biegł kilka kroków przed nim. Wreszcie weszli w ulicę Sześciu Sklepów. Panu Goladkinowi zaparło dech. Nieznanomy stanął przed tym domem, gdzie mieszkał pan Goladkin. Rozległ się dźwięk dzwonka i prawie jednocześnie skrzywienie drewnianej zasuwki. Otworzyła się furtka, nieznanomy pochylił się, przebiegi i znikł. Prawie w tej samej chwili zdążył podbiec pan Goladkin i jak strzała wpadł do bramy. Nie słuchając stróża, który coś zamruczał,

zadyszany wpadł na podwórze i natychmiast ujrzał swego interesującego towarzysza drogi, którego był na chwilę stracił z oczu. Nieznajomy mignął mu przy wejściu na te schody, które prowadziły do jego mieszkania. Pan Goladkin pobiegł za nim. Schody były ciemne, wilgotne i brudne. Na wszystkich podestach nagromadzone było mnóstwo wszelkich lokatorskich rupieci, toteż człowiek obcy, nieobznajmiony z miejscem, trafiwszy na te schody po ciemku, musiał wędrować po nich z pół godziny, ryzykując, że połamie sobie nogi, i przeklinając wraz ze schodami swych znajomych, którzy tak niewygodnie mieszkali. Ale towarzysz pana Goladkina zdawał się być człowiekiem obznajmionym z miejscem, zdawał się być domownikiem; biegł do góry lekko, bez trudności, doskonale orientując się w otoczeniu. Pan Goladkin prawie go doganiał, nawet ze dwa czy trzy razy brzeg płaszcza nieznajomego uderzył go po nosie. Zamierało mu serce. Tajemniczy człowiek stanął tuż przed drzwiami mieszkania pana Goladkina, zastukał i (co zresztą kiedy indziej zdziwiłoby pana Goladkina) Piotrek, który jak gdyby czekał i nie kładł się spać, natychmiast otworzył drzwi i ze świecą w ręku poszedł za

wchodzącym. Bohater naszej opowieści wbiegł wzburzony do swego mieszkania, nie zdejmując płaszcza i kapelusza przeszedł przez korytarzyk i jak rażony gromem stanął na progu swego pokoju. Spełniły się całkowicie wszystkie przeczucia pana Goladkina. Wszystko, czego się obawiał i co przeczuwał, spełniło się teraz na jawie. Zaparło mu dech, zakręciło się w głowie. Nieznajomy ,siedział przed nim, również w płaszczu i kapeluszu, na jego własnym łóżku, lekko się uśmiechał i przymrużając nieco oko, przyjaźnie kiwał do niego głową. Pan Goladkin chciał krzyknąć, ale nie mógł - nie starczyło mu sił, aby w jakikolwiek sposób zaprotestować. Włosy na głowie stanęły mu dęba, przykucnął nieprzytomny z przerażenia. Zresztą było czego się przerazić. Pan Goladkin dokładnie poznał swego nocnego przyjaciela. Nocnym jego przyjacielem był nie kto inny, lecz on sam - sam pan Goladkin, drugi pan Goladkin, ale całkowicie taki sam jak on- słowem, jak to się mówi, pod każdym względem jego sobowtór.

ROZDZIAŁ VI

Nazajutrz, dokładnie o ósmej rano, pan Goladkin ocknął się w swoim łóżku. Natychmiast wszystkie niezwykle sprawy wczorajszego dnia i cała nieprawdopodobna, niedorzeczna noc z jej prawie niemożliwymi przygodami od razu w całej przerażającej pełni zjawiała się w jego wyobraźni i pamięci. Tak zawzięta, piekielna złość jego wrogów, a zwłaszcza ostatni dowód tej złości zmroził serce pana Goladkina. Ale jednocześnie wszystko to było tak dziwne, niepojęte, niedorzeczne, wydawało się tak niemożliwe, że doprawdy trudno było dać wiarę całej tej sprawie; pan Goladkin gotów był nawet uznać to wszystko za niestworzone majaczenie, za chwilowe rozprężenie wyobraźni, za zaćmienie umysłu, gdyby na swoje szczęście nie wiedział z gorzkiego życiowego doświadczenia, do czego może czasem doprowadzić człowieka złość, do czego czasem może dojść zaciekłość wroga, który chce pomścić swój honor i ambicję. Przy tym rozbite członki pana Goladkina, czad w głowie, łamanie w” krzyżu i złośliwy katar poważnie świadczyły i były dowodem pełnego prawdopodobieństwa

828

829

wczorajszej nocnej przechadzki, a poniekąd również i innych przygód, które się w czasie tej przechadzki wydarzyły. A zresztą pan Goladkin już od dawien dawna wiedział, że coś się tam u nich szykuje, że mają tam kogoś innego. No więc cóż? Po dłuższym zastanowieniu pan Goladkin postanowił milczeć, ulec i do czasu w tej sprawie nie protestować. „Tak, może postanowili mnie tylko postraszyć, a gdy zobaczą, że ja nic, że nie protestuję, i że całkowicie uległem, że znoszę wszystko z uległością, to się cofną, sami się cofną, cofną się pierwsi.”

Takie to właśnie myśli roily się w głowie pana Goladkina, gdy przeciągając się w łóżku i prostując rozbite członki czekał tym razem, aż Pietrek, jak zazwyczaj, zjawi się w jego pokoju. Czekał już z kwadrans, słyszał, jak ten leń Pietrek guzdrze się za przepierzeniem z samowarem, a jednocześnie w żaden sposób nie mógł się zdecydować, aby go wezwać. Powiem więcej: pan Goladkin nieco się nawet obawiał teraz konfrontacji z Piotrkim. „Przecież Bóg wie - myślał - przecież Bóg wie, jak teraz ten łajdak patrzy na tę całą sprawę. Milczy tam i milczy, a sam myśli swoje.” Wreszcie skrzypnęły drzwi i zjawił się Pietrek z tacą w ręku. Pan Goladkin zerknął na niego nieśmiało, niecierpliwie wyczekując, co będzie, wyczekując, czy Pietrek nie powie czasem czegoś w związku z wiadomą okolicznością. Ale Pietrek nic nie powiedział, przeciwnie, był jakoś bardziej milczący, bardziej surowy i zły niż zazwyczaj, patrzył na wszystko spode łba, w ogóle widać było, że jest z czegoś nader niezadowolony, ani razu nie spojrzął na swego pana, co nawiasem mówiąc nieco dotknęło pana Goladkina; postawił na stole wszystko, co przyniósł, odwrócił się i w milczeniu wyszedł za swoje przepierzenie. „Wie, wie, wszystko wie ten wałkoń!” -mruczał pan Goladkin zabierając się do herbaty. Jednakowoż bohater nasz o nic nie pytał swego służącego, choć Pietrek

kilka razy w różnych sprawach wchodził do jego pokoju. Pan Goladkin był w usposobieniu ogromnie niespokojnym. W dodatku przejmowało go zgrozą, że musi iść do departamentu. Miał mocne przeczucie, że to właśnie tam coś będzie nie tak jak trzeba. „Pójdę tam - myślał sobie - a jak się natknę na coś takiego? Czy nie lepiej być teraz cierpliwym? Czy nie lepiej teraz poczekać? Niech oni tam sobie robią, co chcą, a ja chętnie bym dziś tutaj poczekał, nabrałbym sił, uspokoił się, przemyślał-

bym dobrze całą tę sprawę, a potem znalazłbym stosowną chwilkę, zjawiłbym się tam ni stąd, ni zowąd, a sam nie mrugnąłbym okiem.” Rozważając w ten sposób pan Goladkin palił jedną fajkę za drugą, czas biegł, było już prawie wpół do dziesiątej. „Przecież jest już wpół do dziesiątej - myślał pan Goladkin - i już za późno tam pójść. A przy tym jestem przecież chory, na pewno chory; kto powie, że nie? Co mi tam! A gdyby przysłali kogoś na sprawdzenie, to niechże sobie przyjdzie, a co mi tam doprawdy! Bolał mnie plecy, kaszlę, mam katar, a zresztą nie mogę przecież iść, w żaden sposób nie mogę w taką pogodę; mógłbym jeszcze zachorować, a potem umrzeć, tei-az taka śmiertelność panuje...” Takimi argumentami pan Goladkin uspokoił całkowicie swoje sumienie i z góry sam się przed sobą usprawiedliwił wobec spodziewanego wymyślenia Andrzeja Filipowicza za opieszałość. W ogóle w podobnych okolicznościach nasz bohater bardzo lubił usprawiedliwiać się we własnych oczach różnymi nieodpartymi argumentami i w ten sposób całkowicie uspokajać swoje sumienie. Uspokoiwszy więc teraz całkowicie swoje sumienie, wziął fajkę, napełnił, ale ledwie zaczął ją porządnie rozpalać, natychmiast zerwał się z kanapy, rzucił fajkę, szybko się umył, ogolił, przygładził włosy, włożył mundurowy surdut i wszystko co trzeba, chwycił jakieś tam papiery i pobiegł do departamentu.

Do swojego wydziału wszedł pan Goladkin nieśmiało, z trwożnym oczekiwaniem czegoś bardzo złego-z oczekiwaniem, choć nieświadomym, niejasnym, ale jednocześnie niemiłym; nieśmiało siadł na swym stałym miejscu obok naczelnika wydziału. Antoniego Antonowicza Sietoczki. Na nic nie patrząc, nie zwracając na nic uwagi, pograżył się w treści leżących przed nim papierów. Postanowił i dał sobie słowo unikać w miarę możliwości wszystkiego, co mogłoby go sprowokować, wszystkiego, co mogłoby mocno go skompromitować, jak na przykład: nieskromnych pytań, czyichś żartów i nieprzystwoitych aluzji do okoliczności wczorajszego wieczoru;

postanowił nawet zaniechać zwykłych uprzejmości wobec biurowych kolegów, czyli zapytań o zdrowie i tak dalej. Lecz oczywiste było również, że to nie mogło trwać stale. Niepokój i nieświadomość tego, co bezpośrednio go drażniło, dręczyły go zawsze bardziej, niż to, co go drażniło. I właśnie dlatego,

831

choć dał sobie słowo, że nie będzie wtrącać się do niczego „i postara się unikać wszystkiego, cokolwiek by się działo, pan Goladkin co pewien czas ukradkiem, cichcem unosił nieco głowę i skrycie popatrywał na boki, na prawo, na lewo, spoglądał na twarze kolegów i starał się po nich odgadnąć, czy nie wydarzyło się coś nowego a szczególnego, co by się do niego odnosiło, a co ukrywano przed nim dla jakichś nieszlachetnych celów. Przypuszczał, że niewątpliwie istnieje związek pomiędzy wszystkimi jego wczorajszymi przygodami a tym, co go teraz otaczało. Wreszcie, tak się dręcząc, zaczął pragnąć, aby Bóg wie jak, ale niechby się już wszystko jak najszybciej rozstrzygnęło, choćby nawet miało to przynieść jakieś nieszczęście - ano trudno! Jakżeż los zemścił się na panu Goladkinie: ledwo zdążył wyrazić pragnienie, gdy nagle rozstrzygnęły się jego wątpliwości, i to w sposób najdziwniejszy i najbardziej nieoczekiwany.

Drzwi od sąsiedniego pokoju nagle skrzypnęły cicho i lękliwie, jak gdyby oznajmiając w ten sposób, że osoba wchodząca jest nader nieznaczną, i czyjaś postać, zresztą bardzo znajoma panu Goladkinowi, nieśmiało stanęła przed tym samym stołem, przy którym siedział nasz bohater. Bohater nasz nie podnosił głowy - nie, dostrzegł tę postać jedynie przelotnie, ledwo zerknąwszy, ale wiedział już wszystko, wszystko zrozumiał, aż do najdrobniejszego szczegółu. Spłonął ze wstydu i wetknął w papiery swą nieszczęsną głowę, zupełnie w tym samym celu, w jakim prześladowany przez myśliwego struś kryje głowę w gorący piasek. Nowo przybyły ukłonił się Andrzejowi Filipowiczowi i zaraz potem rozległ się urzędowo uprzejmy głos, taki, jakim we wszystkich urzędach mówią zwierzchnicy do nowych podwładnych. „Niech pan siądzie tutaj - odezwał się Andrzej Filipowicz wskazując nowicjuszowi stół Antoniego Antonowicza - o tu, naprzeciwko pana Goladkina, a robotą zaraz pana obarczymy.” Andrzej Filipowicz zakończył tym, że zrobił w stronę nowo przybyłego szybki, uprzejmie strofujący gest, a potem natychmiast zagłębił się w treść różnych papierów, których cały plik leżał przed nim.

Pan Goladkin podniósł wreszcie oczy i jeśli nie. zemdłał, to jedynie dlatego, że już przedtem przeczuwał całą sprawę, że już przedtem był o wszystkim uprzedzony i w głębi duszy zgadywał, kim był przychodzień. Pierwszym odruchem pana

Goladkina było szybko rozejrzeć się dokoła, czy nie słyhać jakiegoś poszeptywania, czy nie rodzi się na ten temat jakiś kancelaryjny dowcip, czy na czyjejkolwiek twarzy nie odbiło się zdziwienie, czy wreszcie ktoś z przerażenia nie upadł pod stół, ale ku najwyższemu zdumieniu pana Goladkina nic podobnego się nie objawiło. Zachowanie się tych panów, kolegów i współpracowników pana Goladkina, zdumiało go. Wydawało się, że przekracza granice zdrowego rozsądku. Pan Goladkin przeląkł się nawet tego niezwykłego milczenia. Rzeczywistość mówiła sama za siebie, sprawa była dziwna, potworna, nieprawdopodobna. Było przecież czym się przejąć. Oczywiście wszystko to tylko przemknęło przez myśl panu Goladkinowi. On sam zaś gorzał na wolnym ogniu. A zresztą nie bez kozery. Ten, który siedział teraz naprzeciw pana Goladkina, był przerażeniem pana Goladkina, był wstydem pana Goladkina, był wczorajszym koszmarem pana Goladkina, słowem, był samym panem Goladkinem - nie tym panem Goladkinem, który siedział teraz na krześle z rozdziawionymi ustami i piórem zastygłym w dłoni; nie tym, który pracował jako zastępca naczelnika wydziału; nie tym, który lubi stuszować się i utonąć w tłumie, nie tym wreszcie, którego krok wyraźnie mówi: „nie ruszajcie mnie, a ja was ruszać nie będę”, albo też: „nie ruszajcie mnie, przecież ja was nie ruszam” - nie, to był inny pan Goladkin, całkowicie inny, a jednocześnie całkowicie podobny do pierwszego - takiego samego wzrostu, takiej samej budowy, tak samo ubrany, z taką samą łysiną - słowem, nic, zdecydowanie nic nie zostało zapomniane, aby dopełnić całkowitego podobieństwa, tak że gdyby wziąć i postawić ich obok siebie, to nikt, stanowczo nikt nie podjąłby się określić, który właściwie jest prawdziwym Goladkinem, a który fałszywym, kto z nich jest stary, a kto nowy, kto oryginałem, a kto kopią.

Bohater nasz, jeśli można użyć porównania, znajdował się teraz w sytuacji człowieka, z którego jakiś figlarz urządza sobie zabawę, dla dowcipu, cichcem kierując na niego szkło zapalające. „Cóż to takiego, sen czy co - c-ly to rzeczywistość, czy też dalszy ciąg tego, co było wczoraj? I jak to? jakim prawem dzieje się to wszystko? kto pozwolił na takiego urzędnika, kto do tego upoważnił? Czy ja śpię, czy majaczę?” Pan Goladkin spróbował się uszczypnąć, spróbował nawet zdecydować się,

aby uszczypnąć kogo innego... Nie, to bynajmniej nie sen. Pan Goladkin poczuł, że spływa z niego strumieniami pot, że dzieje się z nim coś niezwykłego i dotąd niespotykanego, a przez to, na domiar nieszczęścia, nieprzyzwoitego, pan Goladkin bowiem rozumiał i czuł, jak przykro jest być bohaterem tak kompromitującej historii. Wreszcie zaczął nawet wątpić, czy on sam naprawdę istnieje, i chociaż z góry był przygotowany na wszystko i pragnął, aby w jakikolwiek sposób rozstrzygnęły się jego wątpliwości, jednak sama sytuacja niewątpliwie była już zaskoczeniem. Gnębiła go i dławiła udręka. Niekiedy całkowicie tracił pamięć i przytomność. Ocknąwszy się po takiej chwili dostrzegwał, że machinalnie i nieświadomie wodzi piórem po arkuszu papieru. Nie ufając sam sobie zaczynał sprawdzać, co napisał - i nic nie rozumiał. Wreszcie drugi pan Goladkin, który do tej pory siedział poważnie i spokojnie, wstał i znikł w jakiejś sprawie za drzwiami drugiego wydziału. Pan Goladkin rozejrzał się dokoła - jak gdyby nic, wszystko jest w porządku; słyhać jedynie skrzypienie piór, szelest przewracanych kartek i rozmowy po kątach, oddalonych od miejsca, gdzie siedział Andrzej Filipowicz. Pan Goladkin spojrzał na Antoniego Antonowicza, a ponieważ twarz naszego bohatera

zapewne dokładnie odzwierciedlała jego obecny stan i harmonizowała z całą istotą sprawy, wobec czego pod pewnym względem zwracała na siebie uwagę, więc poczciwy Antoni Antonowicz, odłożywszy pióro, z jakimś niezwykłym współczuciem zapytał pana Goladkina o zdrowie.

- Jestem, Antoni Antonowiczu, zdrow. Bogu dzięki - jękając się rzekł pan Goladkin. - Jestem, Antoni Antonowiczu, zdrow, czuję się. Antoni Antonowiczu, całkiem niczego - dodał niepewnym głosem, niezupełnie jeszcze dowierzając często przezeń wymienianemu Antoniemu Antonowiczowi.

- OSA mnie się wydawało, że jest pan niezdrow; zresztą o to nietrudno, mój Boże! Zwłaszcza, że teraz wciąż takie zarazy panują. Wie pan...

- Tak, Antoni Antonowiczu, wiem, że panują takie zarazy... Ja, Antoni Antonowiczu, z innego powodu-ciągnął pan Goladkin uważnie wpatrując się w Antoniego Antonowicza - widzi pan. Antoni Antonowiczu, nie wiem nawet, jak panu... to znaczy, chciałbym powiedzieć, od której strony mam się zabrać do tej sprawy. Antoni Antonowiczu...

- Co? Ja pana... wie pan... przyznam, że nie całkiem dobrze pana rozumiem; może by pan... wie pan, niech pan powie dokładniej, pod jakim względem pana to krępuje - rzekł Antoni Antonowicz, sam nieco skrępowany, widząc, że panu Golad-kinowi aż łzy napłynęły do oczu.
- Ja doprawdy... tutaj. Antoni Antonowiczu... jest tu pewien urzędnik. Antoni Antonowiczu...
- No więc! Wciąż jeszcze nie rozumiem.
- Chcę powiedzieć, Antoni Antonowiczu, że jest tutaj nowo przyjęty urzędnik.
- Tak, proszę pana, jest pański imiennik.
- Co?-wykrzyknął pan Goladkin.
- Powiadam, że pański imiennik, też Goladkin. Czy to nie braciszek?
- Nie, Antoni Antonowiczu, ja...
- Hm! Patrzcie państwo, a mnie się zdawało, że to musi być pański bliski krewny. Wie pan, jest przecież między wami takie w pewnym sensie rodzinne podobieństwo.

Pan Goladkin osłupiał ze zdumienia i na chwilę zapomniał języka. Tak lekko traktować tę potworną, niebywałą rzecz, rzecz istotnie w swoim rodzaju rzadką, rzecz, która zaskoczyłaby nawet najmniej zainteresowanego obserwatora, mówić o rodzinnym podobieństwie wtedy, gdy tu widać jak w lustrze!

- Wie pan, co bym panu poradził, Jakubie Pietrowiczu - ciągnął Antoni Antonowicz. - Niech pan pójdzie do doktora i poradzi się go. Wie pan, pan jakoś mi całkiem źle wygląda. Zwłaszcza oczy ma pan... wie pan, ma pan jakiś szczególny

wyraz oczu.

- Nie, Antoni Antonowiczu, naturalnie, że czuję... To znaczy wciąż pana chcę zapytać, jakże to z tym urzędnikiem?
- Co?
- To znaczy, czy nie zauważył pan. Antoni Antonowiczu, w nim czegoś szczególnego... czegoś nazbyt wyrazistego?

- To znaczy?

- To znaczy. Antoni Antonowicza, że tak powiem, zastanawiającego podobieństwa do kogoś, to znaczy na przykład do mnie. Powiedział pan. Antoni Antonowiczu, przed chwilą o podobieństwie rodzinnym, mimochodem zwrócił pan uwagę... Czy pan wie, bywają czasem tacy bliźniacy, to znaczy

835

całkiem jak dwie krople wody, tak że nawet nie można odróżnić ? No więc właśnie o tym mówię.

- Tak - odezwał się Antoni Antonowicz pomyślawszy chwilkę i jak gdyby po raz pierwszy zaskoczony taką sytuacją - tak! racja, łaskawy panie. Faktycznie, podobieństwo jest uderzające i trafnie pan to zauważył, że doprawdy można wziąć jednego za drugiego - ciągnął, coraz szerzej otwierając oczy. - I wie pan, Jakubie Pietrowiczu, to jest aż przedziwne podobieństwo, fantastyczne, jak się czasami mówi, to znaczy całkowite, jak pan... Czy pan zauważył, Jakubie Pietrowiczu? Sam nawet chciałem prosić pana o wyjaśnienie, ale przyznam, że z początku nie zwróciłem należytej uwagi. Cud, doprawdy cud! A czy pan wie, Jakubie Pietrowiczu, przecież pan nie stąd pochodzi, prawda?

- Nie.

- On także jest przecież nietutejszy. Może z tej samej co pan okolicy? Pańska mamusia, że ośmielę się zapytać, gdzie przeważnie przebywała ?

- Pan powiedział... Pan powiedział. Antoni Antonowiczu, że on jest nietutejszy?

- Tak, nie z tych okolic. Doprawdy, jakież to dziwne- ciągnął gadatliwy Antoni Antonowicz, dla którego pogawędzić o czymś było prawdziwym świętem - rzeczywiście to może pobudzić ciekawość; a przecież jakże często człowiek przechodzi obok, ociera się, potrąca takiego, a nie zauważy. Zresztą niech się pan nie martwi. To bywa. Taka rzecz, wie pan - opowiem panu, to samo wydarzyło się mojej ciotuni ze strony matki, ona też przed śmiercią widziała siebie podwójnie...

- Nie, ja - pan wybaczy, że panu przerwę. Antoni Antonowiczu - ja. Antoni Antonowiczu, chciałbym się dowiedzieć, jak to jest z tym urzędnikiem, to znaczy na jakiej podstawie jest tutaj ?

- Ano, przyszedł na miejsce nieboszczyka Siemiona Iwanowicza, na wakujące miejsce; zwolniło się miejsce, no to go przyjęto. Ależ to doprawdy z tym Siemionem Iwanowiczem, taki był miły; nieboszczyk, powiadają, zostawił troje dzieci, jedno mniejsze od drugiego. Wdowa padała do nóg jego ekscelencji. Zresztą, powiadają, że ukrywa, że ma pieniądze, ale je ukrywa...

- Nie, Antoni Antonowiczu, ja wciąż jeszcze wracam do tamtej sprawy.

- To znaczy? A, tak! Ale czemu to się pan tak tym interesuje? Powiedziałem panu: niech się pan nie martwi. To wszystko jest poniekąd chwilowe. No cóż? Przecież pana to nie dotyczy, to już sam Pan Bóg tak urządził, taka już Jego wola i grzech na to się uskarżać. W tym widać zrządzenie Opatrzności. A pan tu, Jakubie Pietrowiczu, na mój rozum ani krzty nie jest winien. Mało to cudów na świecie! Matka natura jest hojna; a pana za to przecież do odpowiedzialności nikt nie będzie pociągał, odpowiadać za to pan nie będzie. Weźmy choćby, na przykład, jak już się tak zgadało, to słyszał pan pewno, mam nadzieję, o jakichś tam, no jakże, no o braciach syjamskich; zrosli się plecami i tak razem żyją, jedzą i śpią; ludzie powiadają, że zgarniają duże pieniądze.

- Pan pozwoli. Antoni Antonowiczu...

- Rozumiem pana, rozumiem! Tak! No to cóż z tego? - nic! Mówię panu, według mnie, to nie ma się o co martwić. O co chodzi? Urzędnik z niego jak urzędnik, zdaje się, że człowiek rzeczowy. Powiada, że nazywa się Goladkin, jest nietutejszy, powiada, że jest radcą tytularnym. Osobiście wszystko wyjaśniał jego ekscelencji.

- No i co?

- Ano nic, powiadają, że wyjaśnił dostatecznie, przedstawił swoje powody, mówił ponoć, że niby tak i tak, wasza ekscelencjo, że nie mam majątku, a pragnę pracować, i to zwłaszcza pod pańskim zaszczytnym zwierzchnictwem... no i tak dalej, wszystko co należy, wie pan, zręcznie wszystko wyraził. Musi być z niego mądry człowiek. No, rozumie się, przyszedł z dobrym poleceniem, bez tego przecież ani rusz...

- No, a od kogo... to znaczy, chciałem powiedzieć, kto właściwie przyłożył rękę do tej haniebnej sprawy?

- Tak jest. Powiadają, że miał dobre polecenie; powiadają, że jego ekscelencja uśmieł się z Andrzejem Filipowiczem.

- Uśmieł się z Andrzejem Filipowiczem? _ Tak jest, tak tylko się uśmiechnął i powiedział, że owszem,

że jeśli chodzi o niego, to nie jest przeciwny, tylko żeby tamten sumiennie pracował...

- No, a co dalej? Pan mnie poniekąd ożywia. Antoni Antonowiczu; błagam pana - co dalej ?

- Wybacz pan, znów pana jakoś... No, tak; no i nic właściwie, zwyczajna rzecz, powiadam panu, niech się pan nie martwi, nie ma co tu podawać w wątpliwość...

- Nie. To znaczy, chciałbym pana zapytać. Antoni Anto-nowiczu, czy jego ekscelencja nic więcej nie dodał... na przykład o mnie?

- To znaczy, jakżeby nie! Owszem. No nie, nic, może pan być zupełnie spokojny. Naturalnie, wie pan, okoliczności są dość uderzające i z początku... a ja na przykład z początku prawie nic nie zauważyłem. Doprawdy nie wiem, dlaczego nie zauważyłem, dopóki pan mi nie zwrócił uwagi. Ale zresztą może pan być zupełnie spokojny. Nic szczególnego, absolutnie nic nie powiedziano - dodał dobrotliwy Antoni Antonowicz wstając z krzesła.

- Więc ja. Antoni Antonowiczu...

- Ach, przepraszam pana. I tak już przegadałem tyle czasu o takich głupstwach, a tu mam ważną i pilną sprawę. Widzi pan, tu trzeba sprawdzić.

- Antoni Antonowiczu! - rozległ się przywołujący uprzejmie głos Andrzeja Filipowicza - jego ekscelencja pyta o pana.

- Zaraz, zaraz, Andrzeju Filipowiczu, zaraz idę. - I Antoni Antonowicz wzięwszy plik papierów pobiegł z początku do Andrzeja Filipowicza, a potem do gabinetu jego ekscelencji.

„Więc to tak?-myślał w duchu pan Goladkin-to taką zaczęli grę! To taki u nas wietrzyk teraz wieje... To nie najgorzej, to znaczy, że sprawy przyjęły jak najlepszy obrót - mówił sam do siebie nasz bohater zacierając dłonie i z radości nie czując pod sobą krzesła. - Więc nasza sprawa to sprawa zwykła. Więc wszystko się kończy głupstwem, niczym się nie kończy. Rzeczywiście, nikt nic nie powiedział, nawet nie pisnął, łobuzy, siedzą i pracują; ładnie, ładnie! Lubię dobrych ludzi, lubiłem i zawsze gotów jestem szanować... Zresztą, jeśli tak pomyśleć, to tego, to ten Antoni Antonowicz... ma do mnie straszne zaufanie: nazbyt jest zgrzybiały i ze starości porządnie zramolał. Zresztą najważniejsze i najistotniejsze jest to, że jego ekscelencja nic nie powiedział i tak sobie wszystko pominął: to dobrze! to mu się chwali! Tylko czemu to Andrzej Filipowicz wtrąca się tu ze swoimi drwinami? A jemu co do tego? Stary intrygant! Zawsze staje mi na drodze,

zawsze usiłuje jak czarny kot przebiec człowiekowi drogę, zawsze człowiekowi na przekór i na złość, na złość i na przekór człowiekowi...”

Pan Goladkin znowu rozejrzał się dokoła i znów ożywiła go nadzieja. Czul zresztą, że pomimo wszystko nęka go pewna niejasna myśl, jakaś niedobra myśl. Przyszło mu nawet do głowy, żeby jakoś samemu wkraść się w zaufanie urzędników, uprzedzić fakty, a nawet (jakoś tak przy wyjściu z pracy albo też podszedłszy do nich w jakiejś tam sprawie) w trakcie rozmowy napomknąć, że to niby, panowie, tak i tak, cóż to za uderzające podobieństwo, dziwna sprawa, jakaś wstrętne komedia - to znaczy pokpić samemu z tego wszystkiego, no i w ten sposób wysondować głębię niebezpieczeństwa, bo to wiadomo, lichy nie śpi, zakonkludował w myśli nasz bohater. Zresztą pan Goladkin tak tylko sobie myślał, ale rozmyślił się w porę. Zrozumiał, że znaczyłoby to skoczyć zbyt daleko. „Taką już masz naturę! - rzekł sam do siebie, dając sobie lekkiego przytyczka w czoło - zaraz gotów jesteś się rozigrzać, ucieszyłeś się! prostą masz duszyczkę! Nie, już my lepiej, Jakubie Pietrowiczu, bądźmy cierpliwi, poczekamy i będziemy cierpliwi!” Niemniej, jak już wspomnieliśmy, pan Goladkin jak gdyby się odrodził nadzieją, jak gdyby zmartwychwstał. „Nie szkodzi - myślał sobie - jakby mi pięćset pudów spadło z piersi! Ależ to sytuacyjka! A wszystko takie proste: skrzynka otwierała się przecież jak najzwyczajniej. Kryłów miał rację. Kryłów miał rację...4 Frant i kombinator z tego Kryłowa, a bajkopisarz z niego wielki! A jeśli chodzi o tamtego, to niech sobie pracuje, niech sobie pracuje na zdrowie, aby tylko nikomu nie przeszkadzał i nikogo nie ruszał; niech sobie pracuje- zgadzam się i apróbuję!

A tymczasem godziny mijały, biegły i niedostrzegalnie wybiła czwarta. Urzędowanie się skończyło, Andrzej Filipowicz sięgnął po kapelusz i, jak zazwyczaj, wszyscy poszli za jego przykładem. Pan Goladkin troszeczkę pozwolczył, tyle ile trzeba, i umyślnie wyszedł później od innych, ostatni, gdy wszyscy już rozeszli się w różne strony. Wyszędłszy na ulicę poczuł się jak w raj, tak że nawet nabrał chęci, aby nałożyć nieco drogi i przejść się po Newskim. „Ależ to zrządzenie losu-mówił nasz bohater-niespodziewanie cała sprawa bierze inny obrót. I pogódka zrobiła się, i mrozi, i saneczki.

839

A mróz odpowiada rosyjskiemu człowiekowi, dobrze się rosyjskiemu człowiekowi żyje z mrozem! Lubię rosyjskiego człowieka. I śnieżek, i pierwszy śnieżek, jak powiedziałby myśliwy; przydałoby się tak zająca na pierwszym śniegu Eech! ano, jakoś tam!”

Tak oto wyrażał się zachwyty pana Goladkina, a tymczasem coś tam jeszcze kołatało się w jego głowie, smutek nie sml -tek - a czasem coś tak mu ścisnęło serce, że nie wiedziało, jak by tu się uspokoić. „Ano poczekamy sobie na stosowną chwilę i wtedy będziemy się cieszyć. A zresztą, o co tu chodzi? No, pomyślmy, popatrzmy. No, spróbujmy pomyśleć, mój młody przyjacielu, no, spróbujmy pomyśleć. No, to człowiek taki sam jak i ty, to po pierwsze, zupełnie taki sam. No, i cóż w tym takiego? Jeżeli to taki człowiek, to ja mam przez to płakać? A mnie cóż? Stoję sobie na uboczu; gwizdę sobie, i tyle! Zdobył się na taki kawał, i tyle! Niech sobie pracuje! No, co za dziw i cudo; tam powiadają, że syjamscy bracia... No, i co z tego, że syjamscy? Dajmy na to, że są bliźniakami,

ale przecież wielcy ludzie też czasami wyglądali na dziwaków. Wiadomo nawet z historii, że słynny Suworow piał jak kogut.. No, jeśli chodzi o niego, to on tak z polityki, a wielcy wodzowie... zresztą, co tam wodzowie? A ja jestem sobą, i tyle, i nie chcę o nikim wiedzieć, i będąc niewinnym gardzę wrogiem. Nie jestem intrygantem i jestem z tego dumny. Jestem czysty, prostolinijny, schludny, miły, łagodny...”

Nagle pan Goladkin zamilkł, zaciął się i zadrżał jak liść, nawet na mgnienie zamknął oczy. W nadziei zresztą, że przedmiot jego lęku jest po prostu złudzeniem, otworzył wreszcie oczy i nieśmiało zerknął w prawo. Nie, to nie złudzenie!... Obok niego dreptał jego poranny znajomek, uśmiechał się, zaglądał mu w oczy, i zdawało się, czekał na okazję, aby rozpocząć rozmowę. Rozmowa zresztą nie zaczynała się. Obaj uszli w ten sposób jakieś pięćdziesiąt kroków. Wszystkie starania pana Goladkina sprowadzały się do tego, aby możliwie najszczelniej zawinąć się, zanurzyć w płaszcz i jak tylko można najgłębiej nasunąć na oczy kapelusz. Na domiar złego jego przyjaciel miał nawet płaszcz i kapelusz dokładnie takie same, jak gdyby przed chwilą zdjęte z ramion pana Goladkina.

- Łaskawy panie - odezwał się wreszcie nasz bohater, usiłując mówić prawie szeptem i nie patrząc na swego przy-

jaciela-idziemy, zdaje się, w przeciwnie strony... Jestem nawet tego pewien - rzekł po chwili milczenia. - Poza tym jestem pewien, że pan mnie doskonale zrozumiał - dodał na zakończenie dość surowym głosem.

m- Pragnąłbym - przemówił wreszcie przyjaciel pana Goladkina-pragnąłbym... pan zapewne wspaniałomyślnie mi wybaczy... nie wiem, do kogo się tutaj zwrócić... moja sytuacja-mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę śmiałość- wydało mi się nawet, że pan, powodowany współczuciem, dziś rano zainteresował się moją osobą. Ze swojej strony od pierwszego spojrzenia poczułem do pana sympatię, ja... - Tu pan Goladkin w myśli życzył swemu nowemu koledze, aby się zapadł pod ziemię. - Gdybym się ośmielił mieć nadzieję, że zechce mnie pan, Jakubie Pietrowiczu, łaskawie wysłuchać... ·?·

- Jesteśmy - jesteśmy tu - my jesteśmy... chodźmy lepiej do mnie - odpowiedział pan Goladkin - teraz przejdziemy na drugą stronę Newskiego, tam nam będzie wygodniej, a potem boczną uliczką... pójdziemy raczej boczną uliczką.

- Dobrze. Pójdziemy raczej boczną uliczką - powiedział nieśmiało pokorny towarzysz pana Goladkina, jak gdyby tonem odpowiedzi dawał do zrozumienia, że gdzie mu tam do wybredzania, że w jego sytuacji wystarczy mu nawet boczna uliczka. Co się zaś tyczy pana Goladkina, to absolutnie nie rozumiał on, co się z nim dzieje. Nie wierzył sam sobie. Jeszcze nie ochłonął ze zdumienia.

ROZDZIAŁ VII

Opamiętał się nieco na schodach wchodząc do swego mieszkania. „Ależ ze mnie barania głowa! - naurągał sobie w myśli-dokądże ja go prowadzę? Sam sobie nakładam stryczek na szyję. Co też pomyśli Pietrek, gdy zobaczy nas razem? Co ten łajdak ośmieli się pomyśleć? A on jest podejrzliwy...” Ale było już za późno, pan Goladkin zastukał, drzwi się otworzyły i Pietrek zaczął gościowi i swemu panu zdejmować płaszcze. Pan Goladkin spojrzawszy mimochodem, tak tylko mimochodem rzucił spojrzenie na Piotrka, usiłując przeniknąć

36 Dostojewski, t. III

841

jego twarz i odgadnąć jego myśli. Ale ku swemu najwyższemu zdumieniu ujrzał, że jego służący nawet nie myśli się dziwić i że, wprost przeciwnie, jak gdyby oczekiwał czegoś podobnego. Oczywiście i teraz patrzył wilkiem, zęzowa! w bok i wydawało się, że ma zamiar kogoś pożreć. „Czy aby ktoś ich dzisiaj wszystkich nie zaczarował - myślał nasz bohater - diabeł jakiś w nich wstąpił! Niewątpliwie coś dziwnego dzieje się dzisiaj ze wszystkimi. Do licha, co za męka!” Właśnie w ten sposób myśląc i rozmyślając pan Goladkin wprowadził gościa do swego pokoju i uprzejmie poprosił, by usiadł. Gość był zapewne okropnie zmieszany, w zalekaniu pokornie śledził wszystkie ruchy gospodarza, chwycił jego spojrzenia i, zdawało się, usiłował odgadnąć jego myśli. We wszystkich jego gestach przejawiało się jakieś poniżenie, zahukanie, lęk, tak że jeśli można użyć tego porównania, był nieco podobny w tej chwili do człowieka, który nie mając własnego ubrania, ubrał się w cudze: rękawy wylażą na wierzch, stan jest prawie na karku, a on co chwila poprawia na sobie krótką kamizelczynę, to sunie boczkiem i ustępuje miejsca, to usiłuje gdzieś się ukryć, to zagląda wszystkim w oczy i przysłuchuje się, czy ludzie nie mówią czego o jego dziwnej sytuacji, czy nie śmieją się z niego, czy się go nie wstydzą - i człowiek rumieni się, miesza, i jego ambicja cierpi... Pan Goladkin położył na oknie swój kapelusz; przez nieostrożny ruch kapelusz spadł na podłogę. Gość natychmiast podbiegł, podniósł go, oczyścił, strzepnął kurz, ostrożnie postawił na dawnym miejscu, a swój kapelusz - na podłodze obok krzesła, na którego rożku sam pokornie usiadł. To drobne wydarzenie otworzyło poniekąd oczy panu Goladkinowi, który zrozumiał, że tamten bardzo go potrzebuje, i wobec tego już się nie kłopotał, w jaki sposób ma rozpocząć rozmowę ze swoim gościem, pozostawiając to wszystko, jak też należało, tamtemu. Gość zaś ze swej strony też nie zaczynał, nie wiadomo, czy dlatego, że brakło mu odwagi, czy nieco się krępował, czy też z uprzejmości czekał, aż rozpocznie gospodarz - trudno było zgadnąć. W tej właśnie chwili wszedł Pietrek, stanął w drzwiach i zwrócił wzrok w inną stronę, całkiem przeciwną do tej, gdzie siedzieli i gość,

i jego pan.

- Obiadu dwie porcje każe pan brać?-zapytał niedbałym i chrypliwym głosem.

- Nie, nie wiem... pan - tak, weź, bracie, dwie porcje. Pietrek wyszedł. Pan Goladkin spojrzął na swego gościa. Gość zaczerwienił się aż po uszy. Pan Goladkin był człowiekiem dobrym i dlatego z dobroci serca natychmiast stworzył sobie teorię:

„To człowiek biedny - pomyślał - a przy tym dopiero pierwszy dzień na posadzie. W swoim czasie pewno miał jakieś kłopoty, może w całym majątku ma tylko przyzwoity garnitur, a sam nawet nie ma za co zjeść obiadu. Ależ jest zahukany! No nic, to poniekąd nawet lepiej...”

- Proszę mi wybaczyć, że... - zaczął pan Goladkin - zresztą pozwoli pan, że zapytam, jak pan się nazywa?

-Ja... Ja... Jakub Pietrowicz-niemal szeptem rzekł gość, jak gdyby się wstydził i krępował, jak gdyby prosił o wybaczenie, że i on nazywa się Jakub Pietrowicz.

- Jakub Pietrowicz! - powtórzył nasz bohater, nie potrafiąc ukryć zmieszania.

- Tak, łaskawy panie, tak jest... jestem pańskim imiennikiem - odrzekł pokorny gość pana Goladkina, ośmieliwszy się uśmiechnąć i powiedzieć coś żartobliwego. Ale natychmiast się pohamował i przybrał jak najbardziej poważną minę, nieco zresztą zdetonowawszy się, ponieważ spostrzegł, że gospodarzowi teraz nie do żartów.

- Pan... pozwoli pan, że zapytam, z jakiego powodu mam zaszczyt...

- Znając pańską wielkoduszność i pańskie cnoty - szybko, ale nieśmiałym głosem przerwał mu gość, powstając nieco z krzesła-ośmielam się zwrócić do pana i prosić pana o... znajomość i opiekę... - zakończył, wyraźnie skrępowany w mowie, dobierając słów nie nazbyt przypochlebnych i poniżających, aby się nie skompromitować i nie narazić swojej ambicji, a równocześnie nie nazbyt śmiałych, które by nasuwały nieprzyzwoitą myśl o równości pomiędzy nimi. W ogóle można by powiedzieć, że gość pana Goladkina zachowywał się jak szlachetny żebrak w cerowanym fraku „s ze szlacheckim paszportem w kieszeni, lecz nie dość jeszcze doświadczony, jak należy wyciągać rękę.

- Pan mnie wprawia w zakłopotanie - odrzekł pan Goladkin, przyglądając się sobie, ścianom swego pokoju i gościowi - czymże mógłbym... to znaczy... chciałem powie-

dzieć, pod jakim właściwie względem mógłbym panu w czymkolwiek dopomóc?

- Ja, Jakubie Pietrowiczu, od pierwszego spojrzenia poczułem do pana sympatię i zechce mi pan wybaczyć, ale liczyłem na pana-ośmieliłem się na pana liczyć, Jakubie Pietrowiczu. Jestem... jestem człowiekiem zagubionym, Jakubie Pietrowiczu, biednym, dużo w życiu ucierpiałem, Jakubie Pietrowiczu, a tu jestem jeszcze nowicjuszem. Dowiedziawszy się, że pan, obok zwykłych wrodzonych panu zalet wspaniałego serca, nosi to samo co i ja nazwisko...

Pan Goladkin skrzywił się.

- To samo co i ja nazwisko i że pochodzi pan z tej samej co i ja miejscowości, postanowiłem zwrócić się do pana i przedstawić panu moją kłopotliwą sytuację.

- Dobrze, dobrze, doprawdy nie wiem, co mam panu powiedzieć - odparł -zaambarasowanym tonem pan Goladkin - po obiedzie pogadamy sobie...

Gość skłonił się; przyniesiono obiad. Piotrek nakrył do stołu i gość wraz z gospodarzem zaczęli się pożywiać. Obiad trwał niedługo, obaj się spieszyli - gospodarz dlatego, że był nie w humorze, a poza tym przykro mu było, że obiad był kiepski - a przykro mu było trochę dlatego, że chciał jak .najlepiej przyjąć swojego gościa, i trochę dlatego, że chciał pokazać, iż nie żyje jak żebrak. Gość ze swej strony również był bardzo zaambarasowany i bardzo skonfundowany. Gdy raz wziął kromkę chleba i zjadł ją, bał się już wyciągnąć rękę po drugą kromkę, krępował się brać lepsze kawałki i co chwila zapewniał, że wcale nie jest głodny, że obiad był doskonały i że jeśli chodzi o niego, to jest całkowicie zadowolony i będzie pamiętał o tym aż do śmierci. Po obiedzie pan Goladkin zapalił swą fajeczkę, a drugą, przeznaczoną dla przyjaciół, zaproponował gościowi - obaj siedli naprzeciw siebie i gość zaczął opowiadać swoje przygody.

Opowiadanie pana Goladkina-młodszego trwało ze trzy lub cztery godziny. Dzieje jego przygód składały się zresztą z najbardziej błahych, najbardziej nędznych - jeśli się tak można wyrazić - sytuacji. Chodziło o pracę w jakiejś tam izbie sądowej, o prokuratorów, o przewodniczących, o jakieś intrygi w kancelarii, o gorszące obyczaje jednego z jej kierowników, o rewizora, o nagłą zmianę zwierzchnictwa, o to, jak pan Go-

ladkin-drugi ucierpiał zupełnie bez swojej winy; o jego sta-rowinkę ciotkę, Pelagię Siemionownę; o to, jak z powodu różnych intryg swoich wrogów stracił miejsce i pieszo przyszedł do Petersburga, o to, jak się męczył i klepał biedę tu, w Petersburgu, jak bezskutecznie przez długi czas szukał posady, przejadł i wydał wszystkie pieniądze, mieszkał nieomal na ulicy, jadł czerstwy chleb i popijał go własnymi łzami, spał na gołej podłodze i jak wreszcie jakiś dobry człowiek podjął się wstawić za nim, polecił go i wielkodusznie urządził na nowej posadzie. Gość pana Goladkina opowiadając to wszystko płakał i ocierał łzy niebieską chustką w kratę, bardziej przypominającą ceratę niż chustkę. Zakończył zaś tym, że zwierzył się ze wszystkiego panu Goladkinowi i przyznał się, że chwilowo nie tylko nie ma za co żyć i przyzwoicie się urządzić, ale nie ma pieniędzy na jaki taki mundur; że, zakończył, nie mógł nawet zebrać na kamasze, a surdut wypożyczył od kogoś na krótki czas.

Pan Goladkin był rozrzewniony, był szczerze przejęty. Zresztą nawet niezależnie od tego, że historia jego gościa była historią bardzo błahą, wszystkie jej słowa spadały mu na serce jak manna z nieba. Rzecz w tym, że pan Goladkin pozbył się swych ostatnich wątpliwości, przyzwolił! swojemu sercu odczuwać swobodę i radość, i wreszcie w myśli sam się nazwał durniem. Wszystko było tak naturalne! I warto było tak się martwić, tak dzwonić na alarm! No, istnieje, faktycznie istnieje pewna drażliwa okoliczność-ale to przecież nie nieszczęście: to nie może skalać człowieka, splamić jego honoru i zmarnować mu kariery, gdyż nie ponosi się przecież winy, skoro wtrąciła się w to sama natura. W dodatku gość prosił o opiekę, płakał, skarżył się na swój los, wydawał się tak prosty, wyzbyty złości i podstępów, nędzny, lichy i, jak się zdaje, sam się teraz krępował, choć może z innego powodu, dziwnym podobieństwem swoich rysów do rysów gospodarza. Zachowywał się niezwykle przyzwoicie, tylko patrzył, jak by tu się przypodobać swojemu gospodarzowi, a patrzył tak, jak patrzy człowiek, którego dręczą wyrzuty sumienia i który czuje, że zawinił wobec drugiego człowieka. Jeśli na przykład mowa była o jakiejś wątpliwej sprawie, to gość natychmiast zgadzał się ze zdaniem pana Goladkina. Jeśli zaś jakoś przez pomyłkę był innego zdania, a później zauważył, że zszedł

z właściwej drogi, to natychmiast się poprawiał, tłumaczył się i od razu dawał do zrozumienia, że wszystko pojmuje w taki sam sposób jak i jego gospodarz, myśli tak samo jak on i ma na wszystko dokładnie ten sam pogląd co i on. Słowem, dokładał wszelkich starań, aby „trafić” do pana Goladkina, tak że wreszcie pan Goladkin uznał, iż gość jego jest niewątpliwie pod każdym względem miłym człowiekiem. Tymczasem podano herbatę, była już godzina dziewiąta. Pan Goladkin był w znakomitym humorze, rozweselił się, rozruszał, troszeczkę się rozochocił i wreszcie wdał się ze swoim gościem w nader żywą i zajmującą rozmowę. Pan Goladkin, gdy wpadł w dobry humor, lubił czasami opowiedzieć coś interesującego. Tak też było i teraz: opowiedział gościowi wiele o stolicy, o jej rozrywkach i urokach, o teatrze, o klubach, o obrazie Briułowa; o tym, jak to dwaj Anglicy umyślnie przyjechali z Anglii do Petersburga, aby obejrzeć kratę Ogrodu Letniego, i natychmiast wyjechali; o urzędzie, o Otsufiu Iwanowiczu i Andrzeju Filipowiczu; o tym, że Rosja z dnia na dzień dąży do doskonałości i że tu

Nauki wyzwolone dzisiaj kwitną;

o anegdocie, którą niedawno przeczytał w „Pszczole Północnej”, o tym, że w Indiach istnieje wąż pyton o niezwyklej sile; wreszcie o baronie Brambeusie itd., itd.5 Słowem, pan Goladkin był całkowicie zadowolony, po pierwsze dlatego, że był zupełnie spokojny, po drugie, ponieważ nie tylko nie bał się swoich wrogów, lecz gotów był teraz ich wszystkich wyzwać na ostateczną rozprawę, po trzecie, że sam osobiście roztaczał nad kimś opiekę, i wreszcie, że przy tym robił dobry uczynek. Zresztą w głębi duszy uświadamiał sobie, że nie jest jeszcze w tej chwili całkowicie szczęśliwy, że tędzi w nim jeszcze jakiś robaczek, malusieńki co prawda, i nawet teraz draży mu serce. Bardzo go dręczyło wspomnienie o wczorajszym wieczorze u Ołsufia Iwanowicza. Wiele by teraz dał, żeby nie wydarzyły się pewne rzeczy spośród tych, które wczoraj się wydarzyły. „A zresztą przecież to głupstwo!” - zakonkludował wreszcie nasz bohater i w głębi duszy mocno sobie postanowił zachowywać się odtąd dobrze i nie robić podobnych błędów. Ponieważ pan Goladkin całkowicie się

teraz rozochocił i stał się nagle prawie zupełnie szczęśliwy, więc przyszło mu nawet na myśl, aby nieco użyć życia. Pie-trek przyniósł rumu i zrobione poncz. Gość i gospodarz wychylili po szklance, po dwie. Gość okazał się jeszcze bardziej uprzejmy niż uprzednio i ze swej strony dał niejeden dowód prostoduszność i miłego charakteru, żywo dzielił zadowolenie pana Goladkina, zdawało się, że cieszy się tylko jego radością, i patrzył na niego jak na swego jedyne go i prawdziwego dobrodzieja. Wziąwszy pióro i arkusik papieru, poprosił pana Goladkina, aby nie patrzył, gdy będzie pisał, a potem, kiedy skończył, sam pokazał to gospodarzowi. Okazało się, że był to czterowiersz, napisany nader sentymentalnie, przy tym pięknym stylem i ładnym pismem, najwidoczniej utwór miłego gościa. Wiersz brzmiał tak:

Jeśli ty zapomnisz o mnie, Ja o tobie nie zapomnę;

W życiu różnie się przydarza, Nie zapomnij i ty o mnie!

Pan Goladkin ze łzami w oczach objął swego gościa i rozczuliwszy się do reszty, sam zwierzył gościowi pewne swoje sekrety i tajemnice, przy czym w tym, co mówił, silny nacisk kładł na Andrzeja Filipowicza i na Klarę Ołsufiewną: „No, ale przecież my się z tobą, Jakubie Pietrowiczu, zbliżymy - mówił nasz bohater do swego gościa - będziemy żyć z sobą, Jakubie Pietrowiczu, jak ryba z wodą, jak bracia rodzeni;

my, przyjacielu, będziemy przebiegli, razem będziemy przebiegli, przeprowadzimy intrygę na przekór im... na przekór im będziemy intrygę prowadzić. Nikomu z nich nie dowierzaj. Przecież ja cię znam, Jakubie Pietrowiczu, i znam twój charakter, przecież ty właśnie wszystko wygadasz, duszyczko prosta! Ty, bracie, unikaj wszystkich.” Gość zgadzał się ze wszystkim, dziękował panu Goladkinowi i wreszcie również uronił łezkę. „Wiesz, Jasza - ciągnął pan Goladkin drżącym z rozczulenia głosem - zamieszkaż u mnie, Jasza, na pewien czas, albo też zamieszkaż na zawsze. Zgodzimy się. Co masz się przejmować, bracie? A ty się nie krępuj i nie utyskuj na to, że łączy nas taka dziwna okoliczność: utyskiwać, bracie, to grzech, tak już natura sprawiła! A matka-natura jest hojna,

tak, bracie Jaszo! Lubię cię, lubię cię jak brata, powiadam. A my z tobą, powiadam, Jasza, będziemy przebiegli i ze swojej strony prowadzić będziemy podkopy i utrzymamy im wszystkim nosa.” Poncz

doszedł wreszcie do trzech i do czterech szklanek na głowę, a wtedy pana Goladkina ogarnęły dwa uczucia: jedno, że jest niezmiernie szczęśliwy, a drugie-że już nie może ustać na nogach. Gość oczywiście został zaproszony na noc. Legowisko zestawiono jakoś z dwóch rzędów krzeseł. Pan Goladkin-młodszy oświadczył, że pod przyjacielskim dachem miękko jest spać nawet na gołej podłodze, a jeśli chodzi o niego, to zaśnie gdziekolwiek pokornie i z wdzięcznością, że znalazł się teraz w raju i wreszcie, że wiele w życiu zniósł nieszczęść i zgryzot, wszystko widział, wszystko wycierpiał i - któż zna przyszłość? - może jeszcze będzie cierpiał. Pan Goladkin protestował przeciw temu, zaczął dowodzić, że należy pokładać nadzieję w Bogu. Gość całkowicie się z tym zgadzał i mówił, że oczywiście nikt inny, tylko Bóg. Tu pan Goladkin-starszy zauważył, że Turcy mają poniekąd rację, gdy nawet we śnie wzywają imienia bożego. Potem nie zgadzając się zresztą z niektórymi uczonymi co do pewnych oszczerstw rzucanych na proroka Mahometa i uznawszy go za wielkiego polityka w swoim rodzaju, pan Goladkin przeszedł do bardzo interesującego opisu algierskiej razury, o której czytał w jakimś miesięczniku w dziale różnaitości. Gość i gospodarz długo śmiali się z naiwności Turków, przy czym musieli złożyć daninę podziwu dla ich pobudzanego przez opium fanatyzmu... Wreszcie gość zaczął się rozbierać, a pan Goladkin wszedł za przepierzenie, częściowo z dobroci serca, że tamten może nie ma nawet porządnej koszuli, więc żeby nie krępować i tak już pokrzywdzonego przez los człowieka, a częściowo po to, aby w miarę możliwości przekonać się, jak tam z Piotrkim, wybadać go, rozweselić, jeśli się uda, i podejść z sercem do człowieka, żeby już wszyscy byli szczęśliwi i żeby nie zostało już żadnych zadr. Należy zwrócić uwagę, że Pietrek wciąż jeszcze trochę niepokoił pana Goladkina.

- Ty się teraz. Piotrze, połóż spać - łagodnie odezwał się pan Goladkin wchodząc do kąta, gdzie mieszkał jego służący - teraz połóż się spać, a jutro obudź mnie o ósmej. Rozumiesz, Piotrusiu?

Pan Goladkin mówił niezwykle łagodnie i uprzejmie. Ale

848

Pietrek milczał. Zajęty był w tej chwili swoim łóżkiem i nawet nie odwrócił się do swego pana, co powinien był uczynić choćby z samego tylko szacunku.

- Słyszałeś mnie. Piotrze?-ciągnął pan Goladkin.- Połóż się teraz spać, a jutro, Piotrusiu, obudź mnie o ósmej;

rozumiesz?

- Przecie pamiętam, jakże! - zamruczał pod nosem Piotrek.

- No,, właśnie, właśnie, Piotrusiu, ja to tylko tak sobie mówię, żebyś i ty był spokojny i szczęśliwy. Widzisz, jesteśmy teraz wszyscy szczęśliwi, więc żebyś i ty był spokojny i szczęśliwy. A teraz życzę d dobrej nocy. Zaśnij, Piotrusiu, zaśnij, wszyscy musimy pracować...

żebyś sobie, braciszku, czegoś czasem nie pomyślał...

Pan Goladkin zaczął mówić i zatrzymał się. „Czy to nie będzie już za dużo - pomyślał—czy nie za daleko się posunąłem? Tak to już zawsze jest, zawsze przesolę.” Bohater nasz wyszedł od Pietrka bardzo z siebie niezadowolony. W dodatku był nieco dotknięty grubiaństwem i oporem Pietrka. „Człowiek się nicponiowi przypochlebia, nicponiowi pan robi zaszczyt, a ten nie czuje tego - pomyślał pan Goladkin.-Ano, taka to już podła tendencja u tej socjety!” Chwiejąc się nieco wrócił do pokoju i widząc, że gość już się położył, przysiadł na chwilę na jego pościeli. „A przyznaj się, Jasza - zaczął szeptem kręcąc głową - przecież ty, łobuzie, zawiniłeś wobec mnie? Przecież ty, imienniku, wiesz, tego...” - ciągnął, dość familiarnie zaczepiając gościa. Wreszcie pożegnawszy się z nim przyjaźnie, pan Goladkin poszedł spać. Gość tymczasem zachrapał. Pan Goladkin z kolei zaczął przygotowywać się do snu, a jednocześnie, podśmiewając się, szeptał sam do siebie: „Pijany jesteś dzisiaj, kochany Jakubie Pietrowiczu, łajdaku jeden, Goladko jedna-takie to już twoje nazwisko! No i czegożeś się ucieszył? Przecież jutro będziesz płakał, bekso jedna, co mam z tobą robić!” Tu całą istotę pana Goladkina przeszło coś na podobieństwo wątpliwość czy skruchy. „Ale się rozhulałem - myślał - tak mi teraz szumi w głowie, pijany jestem; nie powstrzymałem się, głupiec jeden! Naplotłem całą kupę bzdur i jeszcze, łajdak, chciałem chytryć. Wybaczanie i zapominanie krzywd to największa cnota, wiadomo, ale to wszystko marna sprawa!

849

Tak, tak!” Tu pan Goladkin wstał, wziął świecę i na palcach jeszcze raz poszedł spojrzeć na swego śpiącego gościa. Długo stał nad nim w głębokim zamyśleniu. „Przykry widok! kpiny, czyste kpiny, i tyle!”

Wreszcie pan Goladkin położył się. W głowie mu szumiało, trzeszczało, dzwoniło. Zaczął zapadać w sen... usiłował o czymś myśleć, przypomnieć sobie coś bardzo ciekawego, rozstrzygnąć coś bardzo ważnego, jakąś drażliwą sprawę - ale nie mógł. Sen spadł na jego nieszczęsną głowę i pan Goladkin zasnął tak, jak zazwyczaj śpią ludzie, którzy, nie przyzwyczajeni, ni stąd, ni zowąd wypili na jakiejś przyjacielskiej wieczornicy pięć szklanek ponczu.

ROZDZIAŁ VIII

Nazajutrz, jak zazwyczaj, pan Goladkin zbudził się o ósmej;

obudziwszy się, natychmiast przypomniał sobie wszystkie wydarzenia ubiegłego wieczora - przypomniał sobie i skrzywił się. „Ale się wczoraj rozbisurmaniłem jak dureń!” - pomyślał wstając z łóżka i spojrzawszy na legowisko swego gościa. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy okazało się, że nie tylko gościa, ale nawet legowiska, na którym gość spał, nie było w pokoju! „Cóż to znaczy? - niemalże wykrzyknął pan Goladkin - coż by to miało znaczyć? coż oznacza teraz ta nowa okoliczność?” Gdy pan Goladkin, nie posiadając się ze zdumienia, szeroko otwartymi oczami patrzył na opustoszałe miejsce, zaskrzypiały drzwi i wszedł Pietrek, niosąc na tacy herbatę. „Gdzie on jest, gdzie jest?” - rzekł ledwo dosłyszalnym głosem nasz bohater wskazując palcem miejsce przeznaczone wczoraj dla gościa. Pietrek z początku nic nie odpowiedział, nawet nie spojrzął na swego pana, zwrócił tylko oczy w kąt na prawo, tak że pan Goladkin też musiał spojrzeć w kąt na prawo. Zresztą po chwili milczenia Pietrek chrypli-wym i ordynarnym głosem odpowiedział, że „pana nie ma w domu”.

- Durniu jeden, przecież ja jestem twoim panem - rzekł pan Goladkin urywanym głosem i uporczywie przyglądał się swemu służącemu.

Pietrek nic nie odpowiedział, ale spojrzął na pana Goladki-

850

na tak, że ten zaczerwienił się po uszy-spojrzął z jakimś ubliżającym wyrzutem, podobnym do czystego wymyślenia. Panu Goladkinowi, jak to się mówi, aż ręce opadły. Wreszcie Pietrek oznajmił, że ten drugi wyszedł już z półtorej godziny temu i nie chciał czekać. Naturalnie odpowiedź była prawdopodobna i możliwa, widać było, że Pietrek nie kłamał, że jego ubliżające spojrzenie i słowo ten drugi, którego użył, były jedynie wynikiem tych wszystkich znanych obrzydliwych okoliczności, ale bądź co bądź pan Goladkin, chociaż niedokładnie, rozumiał jednak, że coś tu nie jest w porządku i że los gotuje mu jeszcze jakiś nie nazbyt przyjemny prezent. „Ano dobrze, zobaczymy - myślał - zobaczymy jeszcze, w swoim czasie wszystko to rozgryziemy... Ach, mój Boże! - jęknął na koniec zupełnie już innym głosem - i po cóż ja go zapraszałem, z jakiej racji wszystko to zrobiłem? dalibóg, sam wsadzam głowę w iĄ łajdacki stryczek, sam sobie ten stryczek ukęcę. Ach, ty głowo, głowo! w żaden sposób nie możesz wytrzymać, żeby się nie rozpaplać jak jakiś wyrostek, jak jakiś kancelista, jak jakaś hołota bez stanowiska, jak jakaś szmata, wiecheć, plotkarzu jeden, babo jedna!... Święci Pańscy! I wierszyk mi szelma napisał, i miłość mi wyznawał! Jak by to tak zrobić, tego... jak by temu szelmie najprzyzwoiciej pokazać drzwi, gdy wróci? Naturalnie jest dużo różnych wykrętów i sposobów. Tak i tak, że to niby przy mojej ograniczonej pensji... Albo też nastraszyć go jakoś, że niby wzięwszy pod uwagę to i to, zmuszony jestem wyjaśnić... że niby trzeba po połowie płacić za mieszkanie i utrzymanie, a pieniądze dawać z góry. Hm! nie, do licha, nie! To mnie zbruka. Nie byłoby to najdelikatniejsze! Albo może by tak jakoś, w ten sposób zrobić: wziąć i poddać Piotrkowi,

aby Pietrek jakoś tak mu załaził za skórę, jakoś tak go zlekceważył, ordynarnie się odezwał i w ten sposób go wygryzł? Poszczuć by ich tak na siebie... Nie, do licha, nie! To niebezpieczne, a poza tym, gdyby tak spojrzeć z tego punktu widzenia-no, tak, to w ogóle byłoby brzydko! bardzo brzydko! A może on nie przyjdzie? czy i to będzie źle? Ależ mu nagadałem wczoraj głupstw!... Ech, źle, źle! Ech, kiepsko stoją nasze sprawy! Ależ ja mam łeb, przeklęty łeb! Nie możesz sobie zakarbować co należy, pomyślunku nie możesz sobie tam wbić! No, a jak przyjdzie i odmówi? Daj Boże, żeby przyszedł! Bardzo był-

54* 851

bym rad, gdyby przyszedł; dużo bym za to dał, gdyby przyszedł...” Tak rozważał pan Goladkin pijąc herbatę i nieustannie popatrując na ścienny zegar. „Jest już za kwadrans dziewiąta, czas już iść. Ale co to będzie, co będzie? Chciałbym wiedzieć, co się w tym takiego szczególnego kryje-gdyby tak znać cel, nastawienie i różne takie haczyki. Warto byłoby się dowiedzieć, do czego właściwie zmierzają wszyscy ci ludzie i jaki będzie ich pierwszy krok...” Pan Goladkin nie mógł już dłużej wytrzymać, rzucił niedopaloną fajkę, ubrał się i ruszył do urzędu, chcąc ubiec, jeśli to możliwe, niebezpieczeństwo i osobiście przekonać się o wszystkim. A niebezpieczeństwo istniało: o tym już sam wiedział, że niebezpieczeństwo istnieje naprawdę. „A my je... właśnie że je rozgryziemy - mówił pan Goladkin zdejmując płaszcz i kalosze w korytarzu - zaraz wnिकniemy w te wszystkie tajemnicze sprawy.” Postanowiwszy działać w ten sposób, nasz bohater obciągnął surdut, przybrał godną i oficjalną minę i już chciał wejść do sąsiedniego pokoju, gdy nagle w samych drzwiach zetknął się z wczorajszym znajomym, kolegą i przyjacielem. Pan Goladkin-młodszy, jak się zdaje, nie dostrzegł pana Goladkina-star-szego, choć zderzył się z nim prawie nos w nos. Pan Goladkin—młodszy, jak się zdaje, dokądś się spieszył, był zasapany;

minę miał oficjalną, tak rzeczową, że każdy, zdawałoby się, mógł bezpośrednio wyczytać z jego twarzy, że jest „przydzielony do specjalnych poruczeń...”

- Ach, to pan, Jakubie Pietrowiczu! - rzekł nasz bohater chwytając swego wczorajszego gościa za rękę.

- Później, później, pan wybaczy, później pan mi opowie - zawołał pan Goladkin-młodszy, wrywając się naprzód.

- Jednakże pan pozwoli, pan zdaje się chciał, Jakubie Pietrowiczu, tego...

- Co? niech pan mówi szybciej.-Tu wczorajszy gość pana Goladkina zatrzymał się z niejakim przymusem i niechętnie przystawił ucho prosto do jego nosa.

- Powiem panu, Jakubie Pietrowiczu, że dziwi mnie przyjęcie... przyjęcie, jakiego absolutnie nie mogłem się spodziewać.

- Na wszystko istnieje właściwy tryb postępowania. Zgłosi się pan do sekretarza jego ekscelencji, a potem wedle właściwości, do pana kierownika kancelarii. Podanie jest?...

- Pan, doprawdy nie wiem, Jakubie Pietrowiczu! Pan mnie po prostu zdumiewa, Jakubie Pietrowiczu! Pan pewnie mnie nie poznaje albo żartuje sobie z wrodzonej pochopności do żartów.

- A, to pan! - rzekł pan Goladkin-młodszy, jak gdyby dopiero teraz poznał pana Goladkina-starszego-więc to pan? No cóż, czy dobrze panu się spało?-Tu pan Goladkin-młodszy uśmiechnął się oficjalnie i urzędowo, bynajmniej nie tak, jak by należało (tak czy inaczej winien był przecież wdzięczność panu Goladkinowi-starszemu), tak więc uśmiechnąwszy się oficjalnie i urzędowo dodał, że jeśli chodzi o niego, to bardzo się cieszy, że panu Goladkinowi dobrze się spało;

potem pochylił się nieco, podreptał chwilę w miejscu, spojrział w prawo, w lewo, potem spuścił wzrok ku ziemi, wycelował w boczne drzwi i wyszeptawszy szybko, że spełnia specjalne poruczenie, przemknął do sąsiedniego pokoju. Tyle go też widziano.

-Ależ to kawał!...-szepnął nasz bohater, osłupiały przez mgnienie - ależ to kawał! To tak się rzeczy mają!... - Tu pan Goladkin poczuł, że nie wiedzieć dlaczego przejęło go mrowie. - Zresztą - ciągnął w myśli idąc do swego wydziału - zresztą dawno już mówiłem o takiej sytuacji, dawno już przeczuwałem, że jest przydzielony do specjalnych poruczeń, nie dalej jak wczoraj mówiłem, że niewątpliwie ten człowiek działa na czyjeś specjalne poruczenie...

- Czy skończył pan, Jakubie Pietrowiczu, pańskie wczorajsze pismo?-zapytał Antoni Antonowicz Sietoczkin, gdy pan Goladkin usiadł obok niego. - Ma pan je tutaj ?

- Mam - wyszeptał pan Goladkin patrząc na swego kierownika z nieco skonfundowaną miną.

- Właśnie, właśnie. Mówię dlatego, że Andrzej Filipowicz dwa razy już pytał. Tylko patrzeć, jak jego ekscelencja zażąda...

- Nie, już skończone...

- No to dobrze.

- Wydaje mi się. Antoni Antonowiczu, że zawsze wypełniałem swoje obowiązki jak należy, usilnie dbam o zleczone mi przez zwierzchników sprawy i zajmuję się nimi gorliwie.

- Tak. No cóż, co pan chciał przez to powiedzieć ?

- Nic takiego. Antoni Antonowiczu. Chciałem tylko wyjaśnić, Antoni Antonowiczu, że ja... to znaczy chciałem po-

wiedzieć, że czasami niezyczliwość i zawiść nie szcędzą nikogo w poszukiwaniu swej codziennej wstrętnej strawy...

- Pan wybaczy, niezbyt dobrze pana rozumiem. To znaczy, o kim pan właściwie teraz napomyka?

- To znaczy. Antoni Antonowiczu, chciałem tylko powiedzieć, że idę prosto i gardzę okólnymi drogami, że nie jestem intrygantem i że tym, jeśli tylko wolno mi się tak wyrazić, mogę się słusznie chlubić...

- Ta-ak. To wszystko 'prawda i, przynajmniej jak mogę sądzić, przyznaję całkowitą słusność pańskiemu zdaniu, ale niechże mi pan pozwoli, Jakubie Pietrowiczu, zwrócić panu uwagę, że osobiste wycieczki w przyzwoitym towarzystwie nie całkiem są dopuszczalne, że na przykład poza oczami gotów jestem to znieść - bo komuż to się nie wymyśla poza oczami! - Ale w oczy, wybaczy pan, łaskawy panie, ja na przykład sobie nie pozwolę mówić impertynencji. Ja, łaskawy panie, osiwiąłem w służbie państwowej i na stare lata impertynencji mówić sobie nie pozwolę...

- Nie, ja. Antoni Antonowiczu, pan, widzi pan. Antoni Antonowiczu, pan, zdaje się. Antoni Antonowiczu, w ogóle mnie nie zrozumiał. A ja, daruje pan. Antoni Antonowiczu, ja ze swej strony mogę tylko za honor uważać...

- Pan też wybaczy, łaskawy panie. Uczono mnie po staroświecku. A na pańską modłę, po nowemu, uczyć mi się już za późno. W służbie ojczyzny do tej pory starczyło mi, jak się zdaje, rozumu. Jak sam pan wie, łaskawy panie, posiadam odznakę za dwudziestopięcioletnią nienaganną służbę...

- Rozumiem, Antoni Antonowiczu, doskonale wszystko to rozumiem, ale ja nie o tym mówiłem. Antoni Antonowiczu, mówiłem o masce. Antoni Antonowiczu...

- O masce?

- Pan znowu... obawiam się, że i tym razem pan odwróci sens, to znaczy sens tego, co mówię, jak sam pan powiada, Antoni Antonowiczu. Rozwijam tylko temat, to znaczy, przeprowadzam myśl. Antoni Antonowiczu, że namnożyło się teraz ludzi, którzy noszą maski, i że trudno pod maską poznać człowieka...

- No, wie pan, to nie zawsze trudno. Czasami nawet dość łatwo, czasami nawet nie trzeba daleko szukać.

- Nie, wie pan. Antoni Antonowiczu, powiadam, powia-

dam tak o sobie, że ja na przykład wkładam maskę tylko wtedy, gdy jest mi potrzebna, to znaczy jedynie w karnawale i na wesołych zebraniach, mówiąc oczywiście w sensie bezpośrednim, ale nie maskuję się przed ludźmi co dzień, mówiąc w innym, bardziej ukrytym sensie. Właśnie to chciałem powiedzieć, Antoni Antonowiczu.

- No, ale chwilowo zostawmy to wszystko w spokoju, poza tym nie mam czasu - rzekł Antoni Antonowicz wstając i zbierając jakieś akta dla zreferowania jego ekscelencji. - A pańska sprawa, mam wrażenie, wyjaśni się we właściwym czasie. Sam pan zobaczy, do kogo trzeba mieć pretensje i kogo oskarżać, a wobec tego proszę unieść zwolnić mnie od dalszych prywatnych i szkodliwych dla pracy wyjaśnień i plotek...

- Nie, Antoni Antonowiczu - zaczął mówić poblady nieco pan Goladkin do odchodzącego Antoniego Antonowicza - to mi nawet. Antoni Antonowiczu, przez myśl nie przeszło. „Cóż to znaczy? - ciągnął już do siebie nasz bohater, gdy został sam. - Cóż to za wiatry tutaj wieją i co oznacza to nowe matactwo?” W tej samej chwili, gdy zmieszany i na wpół przytomny bohater nasz zamierzał rozstrzygnąć to nowe pytanie, w sąsiednim pokoju rozległ się gwar, powstał jakiś ruch, drzwi się otworzyły i Andrzej Filipowicz, który dopiero co wszedł był w oficjalnych sprawach do gabinetu jego ekscelencji, zjawił się zaaferowany w drzwiach i wezwał pana Goladkina. Pan Goladkin wiedząc, o co chodzi, i nie chcąc, aby Andrzej Filipowicz czekał, zerwał się i natychmiast, jak zwykle, zaczął się niesłychanie uwijać przygotowując i doprowadzając już ostatecznie do porządku żadaną teczkę i szykując się samemu, aby śladem teczki i Andrzeja Filipowicza ruszyć do gabinetu jego ekscelencji. Naraz, prawie pod łokciem Andrzeja Filipowicza, który stał w samych drzwiach, przemknął do pokoju pan Goladkin-młodszy, zaaferowany, zaprzątnięty urzędowaniem, z ważną, stanowczą, oficjalną miną, i podbiegi wprost do pana Goladkina-starszego, który wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie takiej napaści...

- Akta, Jakubie Pietrowiczu, akta... jego ekscelencja raczył zapytać, czy ma pan już gotowe? - szybko i zaszczębiotał półgłosem przyjaciel pana Goladkina-starszego. - Andrzej Filipowicz czeka na pana...

- Wiem bez pana, że czeka - rzekł pan Goladkin-starszy również szybko i szeptem.

- Nie, ja, Jakubie Pietrowiczu, nie o tym mówię; ja, Jakubie Pietrowiczu, całkiem mówię nie o tym; ja się staram, Jakubie Pietrowiczu, i kieruje mną serdeczna troska.

- Od której unieść proszę mnie uwolnić. Pan pozwoli, pan pozwoli...

- Pan oczywiście obłożył je w obwolotę, Jakubie Pietrowiczu, a trzecią stroniczkę zechce pan założyć zakładką, pan pozwoli, Jakubie Pietrowiczu...
- A niechże pan wreszcie pozwoli...
- Ale przecież tu jest kleks, Jakubie Pietrowiczu, czy pan zauważył kleksik?...

Akurat Andrzej Filipowicz powtórnie zawołał pana Golad-kina.

- Za chwileczkę, Andrzeju Filipowiczu, ja tylko tu troszkę, o tu... Szanowny panie, czy pan rozumie po rosyjsku?
- Najlepiej będzie scyzorykiem, Jakubie Pietrowiczu, już niech pan na mnie polega: już niech pan lepiej sam nie rusza, Jakubie Pietrowiczu, już niech pan na mnie polega - ja to troszkę scyzorykiem...

Andrzej Filipowicz po raz trzeci zawołał pana Goladkina.

- Ależ na Boga, gdzież tu kleks? Zdaje się, że w ogóle nie ma tu żadnego kleksa!
- I to nawet ogromny kleks, o! pan pozwoli, właśnie tu go widziałem, pan pozwoli... niech pan mi tylko pozwoli, Jakubie Pietrowiczu, ja go troszeczkę scyzorykiem; ja tak z sympatii, Jakubie Pietrowiczu, a scyzorykiem z czystego serca... o tak, o, i sprawa załatwiona...

Tu całkiem niespodziewanie pan Goladkin-młodszy ni stąd, ni zowąd nagle pokonawszy pana Goladkina w błyskawicznej walce, która pomiędzy nimi wynikła, i absolutnie wbrew jego woli, zawładnął żądanym przez zwierzchnictwo aktem i zamiast żeby go z czystego serca poskrobać scyzorykiem, jak wiarołoennie zapewniał pana Goladkina-starszego, szybko go zwinął, wsadził pod pachę, w dwóch susach znalazł się obok Andrzeja Filipowicza, który nie zauważył ani jednego z jego podstępów, i pobiegł z nim do gabinetu dyrektora. Pan Goladkin-starszy stał jak wryty trzymając w ręku scyzoryk i jak gdyby zamierzając coś tam nim zeskrobać.

Nasz bohater jeszcze nie całkiem zdawał sobie sprawę ze swojej nowej sytuacji. Jeszcze się nie ocknął. Odczuł cios, ale myślał, że to jakoś tak sobie. W strasznym, nieopisanym zamęcie ducha zerwał się wreszcie i pobiegł prosto do gabinetu dyrektora, błagając przy tym po drodze Opatrzność, żeby się to wszystko odmieniło jakoś na lepsze i było ot tak sobie... W ostatnim pokoju przed gabinetem dyrektora zetknął się nos w nos z Andrzejem Filipowiczem i ze swoim imiennikiem. Obaj już wracali: pan Goladkin usunął się na bok. Andrzej Filipowicz mówił coś z uśmiechem i wesoło. Imiennik pana Goladkina-starszego również się uśmiechał, kręcił się, dreptał w należytym odległości od Andrzeja Filipowicza i z zachwyconą miną wszeptował mu coś do ucha, na co Andrzej Filipowicz w sposób nader łaskawy kiwał głową. W jednej chwili nasz bohater zrozumiał całą sytuację. Rzecz w tym, że praca jego (jak o tym później się dowiedział) przeszła niemal oczekiwania jego ekscelencji i rzeczywiście zdążyła na termin i w porę. Jego ekscelencja był bardzo zadowolony. Mówiono nawet, że jego ekscelencja podziękował panu Goladkinowi-młodszemu, bardzo podziękował; powiedział, że będzie pamiętał przy stosownej okazji i absolutnie nie zapomni... Oczywiście pierwszym odruchem pana Goladkina było protestować, protestować ze wszystkich sił, do ostatka. Prawie nieprzytomny, blady jak śmierć, podbiegł do Andrzeja Filipowicza. Ale Andrzej Filipowicz usłyszawszy, że sprawa pana Goladkina była sprawą prywatną, odmówił jej wysłuchania, zaznaczając stanowczo, że nawet dla siebie nie ma wolnej chwili.

Oschłość tonu i stanowcza odmowa zaskoczyły pana Goladkina. „Ano, wobec tego zacznę jakoś z innej strony... wobec tego pójdę do Antoniego Antonowicza.” Na nieszczęście okazało się, że Antoni Antonowicz również był nieobecny, też był gdzieś tam czymś zajęty. „Przecież nie bez kozery prosił, aby uwolnić go od wyjaśnień i rozmów! - pomyślał nasz bohater. - Proszę, do czego zmierzał, stary krętacz! W takim razie zdobędę się na odwagę i pójdę od razu błagać jego ekscelencję.”

Wciąż jeszcze blady, czując w głowie całkowity zamęt, mocno niepewny, na co właściwie ma się zdecydować, pan Goladkin usiadł na chwilę na krześle. „Byłoby znacznie lepiej, gdyby to wszystko było tak sobie - myślał nieustannie. -

Istotnie, podobnie ciemna sprawa była po prostu nieprawdopodobna. Po pierwsze to jakaś bzdura, a po drugie taka rzecz nawet się wydarzyć nie może. To pewno jakoś tak mi się przywidziało albo też wyszło coś innego, a nie to, co w rzeczywistości było; albo też pewno sam poszedłem... i sam się jakoś uważałem za całkiem kogo innego... słowem, to rzecz całkiem nieprawdopodobna.”

Ledwo pan Goladkin zdecydował, że to rzecz całkiem nieprawdopodobna, gdy naraz do pokoju wpadł pan Goladkin—młodszy z aktami w obu rękach i pod pachą. Powiedziawszy mimochodem jakieś ważne dwa słowa Andrzejowi Filipowi-czowi, pogadawszy jeszcze z kimś tam, rzuciwszy miłe słówko komuś innemu, pogwarzywszy poufale jeszcze z kimś tam, pan Goladkin-młodszy, który zapewne nie miał zbyt dużo czasu do stracenia, zamierzał już, jak się zdaje, wyjść z pokoju, ale na szczęście dla pana Goladkina-starszego zatrzymał się w samych drzwiach i mimochodem zamienił kilka słów z dwoma czy też z trzema młodymi urzędnikami, którzy przypadkiem tam się znaleźli. Pan

Goladkin-starszy podbiegł prosto do niego. Jak tylko pan Goladkin-młodszy ujrzał manewr pana Goladkina-starszego, natychmiast z wielkim niepokojem zaczął się rozglądać, dokąd by się jak najszybciej wymknąć. Ale nasz bohater trzymał już swojego wczorajszego gościa za rękaw. Urzędnicy, którzy otaczali dwóch radców tytularnych, rozstąpili się i z ciekawością czekali, co będzie. Stary radca tytularny doskonale rozumiał, że opinia nie jest teraz po jego stronie, doskonale rozumiał, że przeciwko niemu intrygują:

ale tym bardziej musiał się teraz trzymać. Chwila była decydująca.

- No? - wyrzekł pan Goladkin-młodszy patrząc dość zuchwale na pana Goladkina-starszego. Pan Goladkin-starszy ledwo dyszał.

- Nie wiem, łaskawy panie - zaczął - w jaki sposób potrafi pan teraz wyjaśnić swoje dziwne zachowanie wobec mnie.

- No, proszę. Niech pan mówi dalej. - Tu pan Goladkin-młodszy rozejrzał się dokoła i mrugnął do otaczających ich urzędników, jak gdyby dawał znać, że właśnie za chwilę zacznie się komedia.

- Zuchwalstwo i bezczelność pańskiego postępowania wobec mnie, łaskawy panie, w tej chwili jeszcze bardziej pana

demaskują... niż wszystkie moje słowa. Niech pan nie polega na swojej grze: to kiepska gra...

- No, Jakubie Pietrowiczu, niechże mi pan teraz powie, jak się panu spało? - odrzekł Goladkin-młodszy patrząc prosto w oczy panu Goladkinowi-starszemu.

- Pan się zapomina, łaskawy panie - rzekł całkiem zmieszany radca tytułarny ledwo panując nad sobą - mam nadzieję, że zmieni pan ton...

- Serdeńko moje!! - wyrzekł pan Goladkin-młodszy, robiąc nader nieprzyzwoitą minę do pana Goladkina-starszego i naraz, całkiem niespodziewanie, pod pozorem czułości, chwycił go dwoma palcami za dość pulchny prawy policzek. Bohater nasz wybuchł jak płomień... Jak tylko przyjaciel pana Goladkina-starszego zauważył, że przeciwnik jego, drżąc na całym ciełe, oniemiały z wściekłości, czerwony jak rak i wreszcie doprowadzony do ostatnich granic, może się zdecydować nawet na formalny atak, natychmiast uprzedził go sam w naj-bezwstydniejszy sposób. Poklepawszy go jeszcze ze dwa razy po policzku, jeszcze ze dwa razy połaskotawszy go, poigrawszy z nim w ten sposób, gdy tak stał bez ruchu, oszalały z wściekłości, przez kilka jeszcze sekund, pan Goladkin-młodszy, ku niemałej uciecze otaczającej ich młodzieży, z oburzającym bezwstydem klepnął w końcu pana Goladkina-starszego po wypukłym brzuszku i z niesłychanie jadowitym i dającym dużo do myślenia uśmiechem odezwał się: „Nie uda d się, bratku, Jakubie Pietrowiczu, nie uda! Będziemy przebiegli, Jakubie Pietrowiczu, będziemy przebiegli.” Potem, i to zanim nasz bohater zdążył jako tako przyjść do siebie po ostatniej napaści, pan Goladkin-młodszy nagle (uprzednio- rzuciwszy tylko uśmieszek otaczającym ich widzom) przybrał minę człowieka wyjątkowo zajętego, wyjątkowo rzeczowego, wyjątkowo urzędowego, spuścił wzrok ku ziemi, skurczył się, skulił i szybko wymamrotawszy „do specjalnych poruczeń”, lignął króciutką nóżką i przemknął się do sąsiedniego pokoju. Bohater nasz nie wierzył własnym oczom i wciąż jeszcze nie mógł się opamiętać...

Wreszcie opamiętał się. Uświadomiwszy sobie w jednej chwili, że zginął, że w pewnym sensie został zniszczony, że został zbrukany i skalał swoją reputację, że go wyśmiano i opluto w obecności osób postronnych, że zdradziecko został

zbezczeszczonego przez tego, którego jeszcze wczoraj uważał za swego najlepszego i najpewniejszego przyjaciela, wreszcie, że wpadł z kretelem - pan Goladkin rzucił się w pogoń za nieprzyjacielem. W tej chwili nawet nie chciał myśleć o świadkach swojej hańby. „Wszyscy oni są w zмовie - mówił sam do siebie-jeden popiera drugiego i jeden drugiego na mnie szczuje.” Jednakże po dziesięciu krokach bohater nasz wyraźnie dostrzegł, że pogoń była bezcelowa i bezskuteczna, i dlatego wrócił. „Nie wymkniesz się - myślał - przyjdzie czas, że wpadniesz, nosił wilk razy kilka - poniosą i wilka.” Z zaciekłością, zimną krwią i nader energiczną stanowczością doszedł pan Goladkin do krzesła i

usiadł na nim. „Nie wymkniesz się!”-rzekł znowu. Teraz chodziło już nie o jakąś bierną obronę; zanosilo się na coś ostatecznego, na atak, i ten, kto widział pana Goladkina w tej chwili, jak zaczerwieniony, ledwo powstrzymując wzburzenie, wetknął pióro w kałamarz i jak z zaciętkością zaczął szybko wypisywać coś na arkuszu papieru, mógł już z góry przesądzić, że sprawa nie rozejdzie się po kościach i nie może się skończyć jakoś zwyczajnie, po babsku. W głębi duszy już sobie pan Goladkin pewną rzecz postanowił i w głębi serca przysięgł sobie, że ją spełni. Prawdę mówiąc, nie całkiem jeszcze dobrze wiedział, jak ma postąpić, a właściwie wcale nie wiedział, ale to nie szkodzi, wszystko jedno! „A samozwaństwo i bezczelność, łaskawy panie, w naszych czasach nie popłacają. Samozwaństwo i bezczelność, wielce łaskawy panie, nie prowadzą do dobrego, prowadzą do szubienicy. Jeden tylko Griszka Otriepiew, mój łaskawco, zdołał osiągnąć coś samozwaństwem, oszukując ślepy naród, a i to nie na długo.”⁸ Pomijając tę ostatnią okoliczność, pan Goladkin postanowił czekać do czasu, aż z pewnych osób spadnie maska i pewne rzeczy wyjdą na jaw. W tym celu trzeba było przede wszystkim, żeby jak najprędzej skończyły się godziny urzędowania, i aż do tej chwili nasz bohater postanowił nic nie przedsięwziąć. Potem zaś, gdy skończą się godziny urzędowania, zastosuje pewien sposób. A wówczas już będzie wiedział, jak ma postąpić po zastosowaniu tego sposobu, jak ułożyć sobie plan działania, aby utrzcć rogów pysze i zdusić żmiję gryzącą ziemię w hańbie bezsilności. Nie mógł przecież pan Goladkin pozwolić, aby zrobiono z niego szmatę, o którą wyciera się brudne buty. Nie mógł się na to zgodzić, zwłaszcza

w tym wypadku. Gdyby nie to ostatnie pohańbienie, nasz bohater może by się nawet ze ściśniętym sercem zdecydował milczeć, ukorzyć się i nie protestować nazbyt uporczywie; ot, posprzeczałby się, poprotestowałby trochę, dowiódłby, że słusność jest po jego stronie, potem by troszeczkę ustąpił, potem, być może, jeszcze by troszeczkę ustąpił, potem zgodziłby się całkowicie, potem, a zwłaszcza wówczas, gdyby przeciwna strona przyznała uroczyście, że to on ma całkowitą słusność, potem może nawet by się pogodził, .nawet by się troszeczkę rozrzewnił, nawet-kto wie-może by się odrodziła na nowo przyjaźń, mocna, gorąca przyjaźń, jeszcze bardziej pełna niż przyjaźń wczorajsza, tak że ta przyjaźń całkiem mogłaby wreszcie zaćmić przykrość z powodu dość nieprzyzwoitego podobieństwa dwóch osób, tak że w końcu obaj radcy tytułarni byłiby nader zadowoleni i dożyliby wreszcie do stu lat itd. Powiedzmy wreszcie wszystko: pan Goladkin zaczął nawet nieco żałować, że wystąpił w swojej obronie i w obronie swoich praw i że natychmiast spotkała go za to przykrość. „Gdyby się ukorzył - myślał pan Goladkin - gdyby powiedział, że zażartował - tobym mu wybaczył, więcej nawet, wybaczyłbym mu, gdyby się do tego głośno przyznał, ale nie pozwolę robić z siebie szmaty. Nie takim jak on ludziom nie pozwalałem się spychać, a tym bardziej nie pozwolę, aby usiłował to zrobić człowiek zdeprawowany. Nie jestem szmatą, nie, łaskawco, nie jestem szmatą!” Słowem, nasz bohater powziął postanowienie. „Sam, łaskawco, jesteś pan sobie winien!” Postanowił protestować, i to protestować ze wszystkich sił, aż do końca. Taki to już był z niego człowiek! W żaden sposób nie mógł się zgodzić, żeby go skrzywdzono, a tym bardziej pozwolić na to, aby robiono z niego szmatę, a wreszcie pozwolić na to człowiekowi całkiem zdeprawowanemu. Nie upieramy się zresztą, może, gdyby ktoś chciał, gdyby już komuś na przykład bardzo zależało na tym, aby zrobić z pana Goladkina szmatę, toby zrobił z niego szmatę, zrobiłby bez oporu i bezkarnie (pan Goladkin sam niekiedy to czuł) i byłaby z niego szmata, a nie Goladkin - tak, byłaby podła, brudna szmata, byłaby to nie zwyczajna szmata, ale szmata z ambicją, szmata obdarzona duszą i uczuciami, aczkolwiek z pokorną ambicją i z pokornymi uczuciami, i K» głęboko ukrytymi w brudnych fałdach tej szmaty, ale bądź co bądź uczuciami...

Godziny wlokły się nieznośnie długo; wreszcie wybiła czwarta. Po chwili wszyscy wstali i za naczelnikiem ruszyli do swoich domów. Pan Goladkin wmieszał się w tłum, był czujny i nie spuszczał z oka kogo trzeba. Wreszcie nasz bohater ujrzał, że jego przyjaciel podbiegł do woźnych kancelaryjnych, którzy podawali płaszcze, i zgodnie ze swym podłym zwyczajem kręcił się koło nich w oczekiwaniu na swój. Chwila była decydująca. Pan Goladkin z trudem przecisnął się przez tłum i, nie chcąc pozostawać w tyle, również kazał sobie podać płaszcz. Ale płaszcz podano najpierw przyjacielowi i koledze pana Goladkina, ponieważ i tutaj zdążył on, jak to miał we zwyczaju, wkraść się w laski, przymilić się, naszeptać i nagadać podłości.

Zarzuciwszy na ramiona płaszcz, pan Goladkin-młodszy ironicznie spojrział na pana Goladkina-starszego, w ten sposób otwarcie i bezczelnie robiąc mu na złość, potem z właściwą mu bezczelnością rozejrzał się dokoła, podreptał po raz ostatni - zapewne aby pozostawić dobre wrażenie - koło urzędników, powiedział słówko jednemu, poszeptał o czymś z drugim, z szacunkiem podlizzał się trzeciemu, skierował uśmiech do czwartego, podał rękę piątemu i wesoło pomknął w dół

po schodach. Pan Goladkin-starszy ruszył za nim i ku swemu nieopisanemu zadowoleniu mimo wszystko dogonił go na ostatnim schodku i uchwycił za kołnierz płaszcza. Zdawało się, że pan Goladkin-młodszy nieco się zmieszał i spojrzął dokoła z zaskoczoną miną.

- Jak mam pana rozumieć ? - wyszeptał wreszcie słabym głosem do pana Goladkina.

- Szanowny panie, jeżeli jest pan człowiekiem szlachetnym, to mam nadzieję, że przypomni pan sobie o naszych wczorajszych przyjacielskich rozmowach - odezwał się nasz bohater.

- A, tak. No cóż? Czy dobrze się panu spało? Wściekłość na moment odjęła mowę panu Goladkinowi—starszemu.

- Mnie się spało dobrze... Ale pozwoli pan sobie powiedzieć, łaskawy mój panie, że pańska gra jest nader kręta...

- Któż to mówi? Tak mówią moi wrogowie-odparł urywanym głosem ten, który nazwał się panem Goladkinem, i z tymi słowy niespodziewanie uwolnił się ze słabych dłoni

prawdziwego pana Goladkina. Uwolniwszy się zaś, zbiegł ze schodów, rozejrzał się dokoła, a ujrawszy dorożkę podbiegi do niej, siadł i w jednej chwili zniknął z oczu panu Goladki-nowi-starszemu. Zrozpaczony i porzucony przez wszystkich radca tytułarny rozejrzał się dokoła, ale drugiej dorożki nie było. Spróbował był biec, ale nogi się pod nim uginały. Z nieszczęśliwą miną, z otwartymi ustami, unieczestwiony, wyzbyty sił, skulił się, oparł o latarnię i tak przez kilka minut stał na środku chodnika. Wydawało się, że dla pana Goladkina wszystko było stracone...

ROZDZIAŁ IX

Wszystko, zdawałoby się, nawet sama natura powstała przeciwko panu Goladkinowi, ale on trzymał się jeszcze na nogach i nie był zwyciężony, czuł, że nie jest zwyciężony. Gotów był do walki. Gdy ocknął się po pierwszym zdumieniu, zatarł ręce z takim uczuciem i z taką energią, że już na sam widok pana Goladkina wiadomo było, iż nie ustąpi. Zresztą niebezpieczeństwo było tuż, tuż, było widome, pan Goladkin zdawał sobie z tego sprawę, ale jak się zabrać do tego niebezpieczeństwa? Oto pytanie. Panu Goladkinowi przemknęło nawet przez myśl, że „może by jednak wszystko to tak zostawić i po prostu się cofnąć? No cóż? No i nic. Będę sobie sam dla siebie, jak gdybym nie był sobą - myślał pan Goladkin - nie będę zwracał na nic uwagi; to nie ja, i tyle; on też jest sam dla siebie i może się cofnie; pokręci się, szelma, pokręci, powiem się i wreszcie się cofnie. Tak jest! Zwycięzę pokorą. I gdzież jest to niebezpieczeństwo? No, cóż to za niebezpieczeństwo? Chciałbym, żeby ktoś mi wskazał, gdzie się kryje w tej sprawie niebezpieczeństwo. Bzdurna sprawa! Zwykła sprawa!...” Tu pan Goladkin zaciął się. Słowa zamarły mu w gardle, nawet zląkał się za tę myśl; nawet w tej samej chwili przychwycił się na nikczemności, na tchórzostwie;

a jednak sprawa bynajmniej nie ruszyła z miejsca. Czuł, że w tej chwili musi się nieodzownie na coś zdecydować, czuł nawet, że wiele dałby, gdyby mu ktoś powiedział, na co właściwie ma się zdecydować. Bo jakże tu zgadnąć? Zresztą nie było nawet czasu na zgadywanie. Na wszelki wypadek, aby

863

nie tracić czasu, wziął dorożkę i popędził d(mu. „No cóż? Jakże się teraz czujesz?-pomyślał sam sobie.-Jakże pan teraz się czuje, Jakubie Pietrowiczu? tjCś« teraz zrobisz? Cóż teraz zrobisz, podlec jeden, szelmo ly jedna! Doprowadziłeś się do ostateczności, a teraz płaczesz, a teraz jęczysz!” Tak drażnił się sam z sobą pan Goladkin, podrygując w roztrzęsionej dryndzie. Drażnienie się z sobą i jątrzenie własnych ran sprawiało w tej chwili panu Goladkinowi jakąś głęboką, niemal zmysłową rozkosz. „No, gdyby tak teraz - myślał - przyszedł jakiś czarodziej albo też gdyby stało się to jakoś w sposób oficjalny i gdyby powiedziano mi: ofiaruj, Goladkin, palec z prawej ręki i będziemy kwita, nie będzie drugiego Goladkina, a ty będziesz szczęśliwy, tylko że nie będziesz ·· miał palca - to oddałbym palec, niechybnie bym oddał, oddałbym bez mrugnięcia. A niech to wszystko diabli wezmą! - zawołał wreszcie zrozpaczony radca tytułarny - no i po co to wszystko? No i trzeba było, żeby stało się to wszystko, właśnie to, o, właśnie to, jak gdyby nie mogło być co innego! A wszystko z początku szło dobrze, wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi, i nie, trzebaż tego było! Zresztą przecież słowami niczego się nie wskóra. Muszę działać.”

Tak więc coś tam niemal postanowiwszy pan Goladkin wszedł do swego mieszkania, ani chwili nie zwłócząc chwycił fajkę i ssąc ją z całej siły, wypuszczając na prawo i lewo kłęby dymu, zaczął w nadzwyczajnym wzburzeniu biegać tam i z powrotem po pokoju. Tymczasem Pietrek nakrywał do stołu. Wreszcie pan Goladkin postanowił coś ostatecznie, nagle cisnął fajkę, zarzucił na ramiona płaszcz, powiedział, że w domu obiadu jeść nie będzie, i wybiegł z mieszkania. Na schodach dogonił go zdyszany Pietrek trzymając w ręku zapomniany przez pana Goladkina kapelusz. Pan Goladkin wziął kapelusz, przy okazji chciał się nieco usprawiedliwić w oczach Pietrka, aby tamten nie

pomyślał sobie czegoś - że niby to do tego już doszło, że aż kapelusza zapomniał, itd. - ale ponieważ Pietrek nawet nie spojrział i natychmiast poszedł, więc i pan Goladkin też bez dalszych wyjaśnień włożył kapelusz, zbiegł ze schodów i powtarzając, że wszystko jeszcze może obrócić się na lepsze i że rzecz może się jakoś ułożyć, choć czuł, nawiasem mówiąc, dreszcze nawet w piętach, wyszedł na ulicę, wziął dorożkę i popędził do

Andrzeja Filipfe'ieza. „A może by tak lepiej jutro?-myślał pan Goladkin chftvytając za sznurek dzwonek u drzwi mieszkania Andrzeja^- powiężą-i cóż ja takiego powiem? Cóż ważnego? Nic w tym nie ma ważnego. Sprawa jest przecież licha, naprawdę jest jakaś licha, nędzna, to znaczy prawie że nędzna... Tak to wszystko właśnie się układa, te wszystkie okoliczności...” Naraz pan Goladkin pociągnął za dzwonek, dzwonek zadzwonił, z głębi mieszkania rozległy się czyjeś kroki... Tu pan Goladkin aż zaklął sam na siebie za swój pośpiech i bezczelność. Natychmiast przypomniał mu się zatarg z Andrzejem Filipowiczem i niedawne przykrości, o których pan Goladkin omal że zapomniał przy tych wszystkich historiach. Ale na ucieczkę było już za późno: drzwi się otworzyły. Na szczęście dla pana Goladkina odpowiedziano mu, że Andrzej Filipowicz nie wrócił jeszcze z urzędu i że nie będzie jadł obiadu w domu. „Wiem, gdzie on jada obiady:

on jada obiady przy moście Izmańskim” - pomyślał nasz bohater i strasznie się ucieszył. Na zapytanie służącego, jak ma go zameldować, powiedział: dobrze, dobrze, przyjacielu, ja, przyjacielu, później, i z pewnym nawet ożywieniem zbiegł ze schodów. Wyszędłszy na ulicę postanowił odprawić dorożkę i zapłacił dorożkarzowi za kurs. Gdy zaś dorożkarz poprosił o naddatek, że ponoć „czekałem, łaskawy panie, długo, i konika dla szanownego pana nie żałowałem” - to dał rów-aież piątkę napiwku, i to nawet bardzo chętnie, a sam poszedł piechotą.

„To prawda, że cała sprawa jest taka - myślał pan Goladkin - że i tak zostawić jej przecież nie można, jednakże, gdy wziąć na rozum, gdy wziąć na zdrowy rozum, to właściwie o co tu się naprawdę kłopotać? No, jednakże nie, wciąż będę to samo powtarzał, o cóż mam się kłopotać, dlaczego mam się męczyć, szarpać, dręczyć, dlaczego mam rozpaczać? Po pierwsze rzecz się stała i już się nie odstanie... no, przecież się nie odstanie! Pomyślmy tylko: zjawia się człowiek-zjawia się człowiek z dobrymi referencjami, ponoć zdolny urzędnik, dobrych obyczajów, tyle że biedny i że miał różne przykrości - raki tam różne kłopoty - no, ale przecież bieda nie hańbi:

a więc mnie to nie obchodzi. No, doprawdy, cóż to za bzdura? No, znalazł się taki człowiek, wykombinował, dzięki samej naturze tak wykombinował, że jest jak dwie krople wody

·7 Dostojewski,

podobny do innego człowieka, że jest absolutną kopią innego człowieka: no to już go za to nie przyjmować do departamentu?! Gdy już los, gdy sam los, gdy sama ślepa fortuna tu jest winna - to już go zdeptać na szmatę, to już nie dawać mu nawet pracować w urzędzie... no to jakaż w tym wszystkim będzie sprawiedliwość? A człowiek z niego biedny, zagubiony, wystraszony; aż serce boli, aż z litości chciałoby się go przygarnąć! Tak! Co tu gadać, ładnie by wyglądali nasi zwierzchnicy, gdyby tak myśleli jak ja, narwaniec! Ale też mam łeb! Głupstwa to mi czasem na dziesięciu starczy! Nie, nie! Dobrze zrobili, dzięki im za to, że zaopiekowali się nieszczęśnikiem... No, tak, przypuśćmy na

przykład, że jesteśmy bliźniakami, że właśnie tak się urodziliśmy jako bracia bliźnięta i tyle - o proszę! No to co z tego? No i nic z tego! Wszystkich urzędników można pouczyć... a jak wejdzie do naszego wydziału ktoś postronny, to też na pewno nie znajdzie nic nieprzyzwoitego i ubliżającego w takim zbiegu okoliczności. W tym jest nawet coś wzruszającego i od razu przychodzi do głowy taka myśl: że niby Opatrzność stworzyła dwóch takich całkowicie do siebie podobnych, a łaskawa zwierzchność widząc w tym palec Boży, dała schronienie dwóm bliźniakom. Naturalnie - ciągnął pan Goladkin, chwytając oddech i nieco ściszej głos - naturalnie... naturalnie lepiej by było, jeśliby tego wszystkiego w ogóle nie było, tego powodu do wzruszenia, i gdyby żadnych bliźniaków też nie było... Niechby to wszystko diabli wzięli! I na cóż to było potrzebne? Czyżby to było jakoś szczególnie potrzebne i nie cierpiące zwłoki?! Mój ty Boże! Ale też diabli nawarzyli piwa! W dodatku charakter on ma taki no, zwyczajnie ma takie filuterne - taki z niego podlec, taki wiercipięta, lizus, pieczeniarski, taki z niego Goladkin! Gotów się jeszcze źle zachować i zhańbić moje nazwisko, łajdak! Uważaj teraz na niego, człowieku, i pilnuj go! Cóż to za skaranie boskie! A zresztą, o co chodzi? No, nie ma co! No, łajdak z niego - no to niech sobie będzie łajdak, a drugi jest za to uczciwy. No to on będzie łajdakiem, a ja będę uczciwy - i wszyscy powiedzą, że ten Goladkin jest łajdak, nie trzeba z niego brać przykładu i proszę nie mylić go z drugim, bo ten drugi jest uczciwy, pełen cnót, łagodny, bez złości, nader godny zaufania w urzędowaniu i wart wyższego stopnia służbowego, no proszę! No dobrze... a jak tego... a jak oni

tam tego... pomył! Po nim wszystkiego można się przecież spodziewać! Ach, mój Boże!... I zamieni człowieka, zamieni, łajdak jeden - jak szmatę człowieka zamieni i nie pomyśli, że człowiek to nie szmata. Ach, mój Boże! Ależ to nieszczęście!...”

W ten oto sposób rozważając i wyrzekając, biegł pan Goladkin nie patrząc, którądy idzie, i prawie nie wiedząc dokąd. Ocknął się na Newskim Prospeckie, i to tylko dlatego, że zderzył się z jakimś przechodniem tak zręcznie i mocno, że tylko posypały się iskry. Pan Goladkin nie podnosząc głowy wymamrotał jakieś usprawiedliwienie i dopiero później, gdy przechodzień zamruczawszy coś niepochlebnego odszedł już na znaczną odległość, podniósł nos do góry i rozejrzał się, gdzie jest. Rozejrzawszy się i zauważywszy, że stoi właśnie obok tej restauracji, w której odpoczywał przygotowując się do proszonego obiadu u Ołsufia Iwanowicza, bohater nasz poczuł nagle ssanie i kurcze w żołądku, przypomniał sobie, że nie jadł obiadu, na proszony zaś obiad nigdzie się nie zanościło i wobec tego, nie tracąc drogiego czasu, wbiegł po schodach do restauracji, aby przegryźć coś naprędce i nie zabawić zbyt długo. A chociaż w restauracji ceny były nader słone, to ta mała przeszkoda tym razem nie powstrzymała pana Goladkina; zresztą nie było teraz czasu, aby zatrzymywać się na podobnych głupstwach. W jasno oświetlonym pokoju, przy bufecie, na którym leżało mnóstwo wszelkich różności, które porządnym ludziom służą jako zakąski, stał dość gęsty tłum klientów. Bufetowy ledwo nadążał nalewać, podawać, przyjmować pieniądze i wydawać resztę. Pan Goladkin poczekał, aż na niego wypadnie kolej, i doczekawszy się skromnie wyciągnął rękę po zawijany pierożek. Odszedł w kąt, odwrócił się plecami do obecnych, zjadł z apetytem, wrócił do bufetowego, postawił na stole spodek i znając cenę, wyjął srebrną dziesięciokopiejkową i położył monetę na kontuarze, łowiąc spojrzenie bufetowego, aby wskazać mu, że „widzisz, monetka leży, jeden pierożek” itd.

- Od pana należy się rubel’ i dziesięć kopiejek - wycedził przez zęby bufetowy.

Pan Goladkin mocno się zdziwił.

- Pan do mnie mówi?... ja, zdaje się, wziąłem jeden pierożek.

- Wziął pan jedenaście - odrzekł z przekonaniem bufetowy.

- Pan... jak mi się zdaje... pan chyba się myli... Ja doprawdy wziąłem jeden pierożek.

- Liczyłem: wziął pan jedenaście. A jak pan wziął, to trzeba płacić: u nas za darmo nic się nie

daje.

Pan Goladkin był oszołomiony. „Cóż to, czary jakieś czy co?”-pomyślał. Tymczasem bufetowy czekał na decyzję pana Goladkina; pana Goladkina otoczył tłum; pan Goladkin sięgnął już do kieszeni, żeby wyciągnąć srebrnego rubla, żeby natychmiast się uiszczyć, żeby uwolnić się od posądzeń. „No cóż, jak jedenaście, to jedenaście - myślał czerwieniąc się jak rak - no cóż w tym tak dziwnego, że ktoś zjadł jedenaście pierożków? No cóż, człowiek był głodny, to i zjadł jedenaście pierożków; no to niech sobie je na zdrowie; no i nie ma się tu czemu dziwić, no i nie ma się tu czego śmiać...” Nagle pana Goladkina jak gdyby coś tknęło, podniósł wzrok i - od razu zrozumiał zagadkę, zrozumiał te czary, od razu wszystko się wyjaśniło... W drzwiach do sąsiedniego pokoju, prawie tuż za plecami bufetowego i twarzą do pana Goladkina, w drzwiach, które nawiasem mówiąc bohater nasz do tej chwili uważał za lustro, stał pewien człowiek, stał on, stał sam pan Goladkin - nie stary pan Goladkin, nie bohater naszego opowiadania, lecz drugi pan Goladkin, nowy pan Goladkin. Drugi pan Goladkin był, jak się zdaje, w doskonałym humorze. Uśmiechał się do pierwszego pana Goladkina, kiwał mu głową, mrugał na niego, przebierał nieco nogami i wyglądał w ten sposób, że jak tylko co - to on natychmiast się stuszuje, to on do sąsiedniego pokoju, a tam już jak Bóg da, tylnym wyjściem i tego... i żadne poszukiwania do niczego nie doprowadzą. W ręku trzymał ostatni kawałek dziesiątego pierożka, który też na oczach pana Goladkina wepchnął do ust cmokając z zadowolenia. „Podszył się, szubrawiec! - pomyślał pan Goladkin zapłoniwszy się ze wstydu-nie powstydził się, że robi to publicznie! Czy go widzą? Zdaje się, że nikt go nie dostrzega...” Pan Goladkin rzucił srebrnego rubla tak, jak gdyby sparzył sobie o niego palce, i nie dostrzegając bezczelnego uśmiechu bufetowego, uśmiechu tryumfu i spokojnej wszechwładzy, wydarł się z tłumu i nie oglądając się wybiegł. „Jeszcze dobrze, że mnie do reszty nie skompromitował! -

myślał starszy pan Goladkin. - Jeszcze należałoby dziękować temu bandycie i losom, że wszystko się jakoś dobrze ułożyło. Jedyne bufetowy był ordynarny. No cóż, przecież miał swoją rację! Należał mu się rubel dziesięć, więc miał swoją rację. Wszakże bez pieniędzy u nas nic się nikomu nie daje. Mógłby być jednak uprzejmiej szy, łajdak jeden!...”

Wszystko to mówił pan Goladkin schodząc ze schodów na ganek, jednakowoż na ostatnim stopniu stanął jak wryty i nagle tak poczerwieniał, że w przyływie obrażonej ambicji aż łzy napłynęły mu do oczu. Z pół minuty stał jak wryty, naraz stanowczo tupnął nogą, jednym skokiem zbiegł z ganku na ulicę i na złamanie karku, zadyszany, nie czując zmęczenia, pobiegł do domu, na ulicę Sześciu Sklepów. W domu, nie zdjawszy nawet wierzchniej odzieży, wbrew przyzwyczajeniu, aby zawsze w mieszkaniu chodzić po domowemu, nie wziąwszy nawet uprzednio fajki, siadł natychmiast” na kanapie, przysunął sobie kałamarz, wziął pióro, wyciągnął arkusz listowego papieru i drżącą z przejęcia dłonią zabrał się do pisania następującej epistoły:

„Wielce Szanowny Panie

Jakubie Pietrowiczu!

„Żadną miarą nie brałbym za pióro, gdybym przez okoliczności i przez Pana samego, łaskawy Panie, nie został do tego zmuszony. Proszę mi wierzyć, że jedynie nieodzowna konieczność zmusiła mnie, abym wdawał się z Panem w podobne wyjaśnienia, i dlatego przede wszystkim proszę traktować to moje posunięcie, nie jako umyślny zamiar obrażenia Pana, łaskawy Panie, ale jako nieodzowny wynik łączących nas obecnie okoliczności.”

„Zdaje się, że dobrze, przyzwoicie, uprzejmie, choć dostatecznie mocno i stanowczo... Zdaje się, że nie ma tu nic takiego, co by go mogło obrazić. W dodatku mam przecież do tego prawo” - pomyślał pan Goladkin, odczytując to, co napisał.

„Niespodziane i dziwne zjawienie się Pańskie, łaskawy Panie, burzliwą nocą, po ordynarnym i nieprzyzwoitym obejściu się ze mną moich wrogów, których nazwiska przemilczam z pogardy dla nich, było zarodkiem wszystkich nieporozumień, istniejących między nami obecnie. Uparte zaś Pańskie, łaskawy Panie, pragnienie, aby postawić na swoim i przemocą wedrzeć się w obręb mojego życia i wszystkich moich

w praktycznym życiu stosunków, przekracza nawet granice, których wymaga sama choćby uprzejmość i zwyczajne współzycie. Myślę, że nie ma tu nawet co wspominać o porwaniu przez Pana, łaskawy Panie, moich akt i mego własnego uczciwego imienia w celu pozyskania sobie przychylności zwierzchnictwa - przychylności przez Pana nie zasłużonej. Nie ma tu co wspominać również o

Pańskim z góry zamierzonym i obraźliwym uchylaniu się od nieodzownych w tym wypadku wyjaśnień. Wreszcie, aby powiedzieć wszystko, nie wspomina tu również o ostatnim postępku, dziwnym, można powiedzieć, Pańskim postępku ze mną w lokalu kawiarni. Daleki jestem od tego, aby trapić się obojętną dla mnie stratą rubla srebrem, ale nie mogę się powstrzymać, aby nie wyrazić całego swego oburzenia, gdy wspomnę o Pańskim jawnym, łaskawy Panie, zamachu na mój honor, i to w dodatku w obecności kilku osób, aczkolwiek mi nie znanych, ale bądź co bądź nader dobrego tonu...”

„Czy nie za daleko zajeżdżam? - pomyślał pan Goladkin. - czy to nie będzie za dużo; czy to nie nazbyt już obraźliwe, na przykład ta aluzja do dobrego tonu?... No, nie szkodzi! Trzeba mu pokazać, że jestem stanowczy. Zresztą można mu dla złagodzenia troszkę przypochebić i przymilić się pod koniec. Ano, zobaczymy.”

„Lecz nie usiłowałem, łaskawy Panie, utrudzać Pana moim listem, gdybym nie był mocno przekonany o tym, że szlachetność uczuć i otwarty, szczerzy charakter Pański wskażą Panu samemu sposoby, aby naprawić wszystkie uchybienia i przywrócić wszystko, jak było.

W głębi serca ośmielam się pozostawać w przekonaniu, że listu mego nie potraktuje Pan jako obrazy, a jednocześnie, że nie odmówi Pan wyjaśnień, w tym wypadku na piśmie, za pośrednictwem mojego służącego.

W oczekiwaniu mam honor pozostawać, Wielce Szanowny Panie, Pańskim pokornym sługą

J. Goladkin.”

- No i dobrze. Sprawa załatwiona, doszło nawet do pisemnych wyjaśnień. Ale któż temu winien? On sam winien:

sam doprowadza do tego, że muszę żądać dokumentów na piśmie. A ja mam prawo...

Odczytawszy po raz ostatni list, pan Goladkin złożył go, zapieczętował i wezwał Pietrka. Pietrek zjawił się, swoim zwyczajem z zaspanymi oczami i bardzo na coś zły.

- Weźmiesz, proszę cię, bracie, ten list... rozumiesz? Pietrek milczał.

- Weźmiesz go i zanieśiesz do departamentu, tam poszukasz dyżurnego, sekretarza gubernialnego Wachramiejewa. Wachramiejew ma dzisiaj dyżur. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Rozumiem! Nie możesz powiedzieć: rozumiem, wielmożny panie? Zapytasz o urzędnika Wachramiejewa i powiesz mu, że niby tak i tak, że niby pan kazał się kłaniać i prosi najuprzejmiej, aby zechciał pan sprawdzić w książce adresowej naszego urzędu, gdzie mieszka radca tytularny Goladkin.

Pietrek milczał i, jak wydało się panu Goladkinowi, uśmiechnął się.

- No więc zapytasz go. Piotrze, o adres i dowiesz się, gdzie mieszka nowo przyjęty urzędnik Goladkin.

- Słucham pana.

- Zapytasz o adres i odniesiesz pod ten adres list; rozumiesz ?

- Rozumiem.

- Jeżeli tam... tam, gdzie odniesiesz list-pan, któremu oddasz ten list, no, Goladkin... Czemu się śmiejesz, bałwanie?

- A co się mam śmiać? Co mi zaś! Ja nic takiego. Mnie nie do śmiechu...

- No więc tak... jeżeli ten pan będzie pytał, jak tam twój pan, jakże tam, że niby on tego... no, tam, będzie o coś wypytywał - to ty milcz i odpowiadaj, że pan mój owszem i że prosi o pańską własnoręczną odpowiedź. Rozumiesz?

- Rozumiem, wielmożny panie.

- No więc powiesz, że niby pan mój, tak powiesz, niczego sobie, zdrów i wybiera się teraz w gości, a pana prosi o pisemną odpowiedź. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- No to ruszaj.

„Ależ kłopot z tym bałwanem! podśmiewa się i tyle. Z czegoż on się śmieje? Dożyłem nieszczęścia, dożyłem w ten sposób nieszczęścia! Zresztą może wszystko obróci się jeszcze

871

ku lepszemu... Ten szubrawiec pewnie ze dwie godziny będzie się włóczył, jeszcze gdzieś się zawieruszy. Nie można go nigdzie posłać. Ach, co za dopust boży!... Ach, cóż to za

dopust boży!...”

Do głębi odczuwając w ten sposób swoje nieszczęście, bohater nasz zdecydował się przez dwie godziny biernie czekać na powrót Pietrka. Chyba z godzinę chodził po pokoju, palił, potem cisnął fajkę i zasiadł do jakiejś książki, potem położył się na kanapie, potem znów chwycił fajkę, potem znów zaczął biegać po pokoju. Chciał się zastanowić, ale zastanawiać się nad niczym absolutnie nie mógł. Wreszcie agonია jego bierności doszła do ostatnich granic i pan Goladkin postanowił coś przedsięwziąć. „Piotrek przyjdzie dopiero za godzinę - myślał-klucz można oddać stróżowi, a ja tymczasem, tego... wybadam sprawę, sam wybadam sprawę.” Nie tracąc ani chwili i spiesząc się, aby wybadać sprawę, pan Goladkin wziął kapelusz, wyszedł z pokoju, zamknął mieszkanie, wstąpił do stróża, wręczył mu klucz wraz z dziesiątką - pan Goladkin stał się jakoś niezwykle hojny - i ruszył tam, gdzie należało. Pan Goladkin poszedł pieszo najpierw do mostu Izmailow-skiego. Na drogę stracił z pół godziny. Dotarwszy do celu swej wędrówki wszedł wprost w podwórze znanego sobie domu i spojrzał na okna mieszkania radcy stanu Bierendiejewa. Z wyjątkiem trzech okien zawieszonych czerwonymi kotarami resztą była ciemna. „U Olsufia Iwanowicza dziś chyba nie ma gości - myślał pan Goladkin - pewno siedzą teraz sami w domu.” Nasz bohater postąpił przez pewien czas na podwórzu, chciał się na coś zdecydować. Ale decyzji tej nie sądzone było zapewne, by się spełniła. Pan Goladkin rozmyślił się, machnął ręką i wrócił na ulicę. „Nie, nie tutaj powinienem być isć. Cóż tu będę robił?... Ano, raczej teraz tego... i osobiście wybadam sprawę.” Powziąwszy taką decyzję pan Goladkin ruszył do swego departamentu. Droga była niebliska, w dodatku było straszne błoto, a mokry śnieg walił gęstymi płatami. Ale dla naszego bohatera w tej chwili nie istniały, jak się zdaje, trudności. Zmókł, owszem, zmókł, to prawda, zabłócił się też niezgorzej, „ale to już tak jedno przy drugim, za to cel został osiągnięty”. I rzeczywiście, pan Goladkin zbliżał się już do swego celu. Ciemny masyw ogromnego rządowego budynku czerniał już przed nim w dali.

„Stój!-pomyślał-dokądże ja idę i co tam będę robił? Przypuśćmy, że dowiem się, gdzie on mieszka, a tymczasem Pietrek już pewno wrócił i przyniósł mi odpowiedź. Tracę tylko na próżno drogi czas. No nic, można to jeszcze wszystko naprawić. A może by jednak naprawdę wstąpić do Wachramie-jewa? No, nie! Już potem... Ech! W ogóle nie trzeba było wychodzić. Ale nie, taki już mam charakter! Tak już się wyćwiczyłem, że czy trzeba, czy nie, wiecznie usiłuję jakoś zabiec naprzód... Hm... któraż to teraz godzina? Już pewno dziewiąta. Pietrek może przyjść i nie zastanie mnie w domu. Zrobiłem wielkie głupstwo, że wyszedłem... Ech, też doprawdy kłopot!”

Szczerze przyznawszy się w ten sposób, że zrobił wielkie głupstwo, nasz bohater pobiegł z powrotem do domu, na ulicę Sześciu Sklepów. Dobiegł zmęczony, znużony. Już od stróża dowiedział się, że Pietrek nawet nie myślał o powrocie. „No tak! to było do przewidzenia - mówił sobie nasz bohater - a przecież to już dziewiąta. Ależ z niego niegodziwiec! Wiecznie gdzieś tam pije! Mój Boże, ależ to wypadł dzień na moją nieszczęsną dolę!” Rozmyślając i wyrzekając w ten sposób pan Goladkin otworzył drzwi od swego mieszkania, zapalił światło, rozebrał się, wypalił fajkę i znużony, zdrożony, rozbity, głodny, w oczekiwaniu na Pietrka położył się na kanapie. Świeca paliła się mętnie, światło drgało na ścianach... Pan Goladkin patrzył, patrzył, myślał, myślał, aż wreszcie zasnął jak zabity. Zbudził się już późno, świeca całkiem już się prawie dopaliła, dymiła się i lada chwila gotowa była zupełnie zgasnąć. Pan Goladkin zerwał się na równe nogi, ocknął się i przypomniał sobie wszystko. Zza przepierzenia rozlegało się. ciężkie chrapanie. Pan Goladkin podbiegł do okna - nigdzie ani światełka. Otworzył lufcik - cicho, miasto jak gdyby wymarło, śpi, więc to już chyba druga albo trzecia, tak jest: zegar za przepierzeniem natężył się i wybił drugą. Pan Goladkin wybiegł za przepierzenie.

Z trudem, po długich wysiłkach, rozbudził Pietrka i zdołał posadzić go na łóżku. W tej chwili świeca zgasła do reszty. Minęło chyba z dziesięć minut, zanim pan Goladkin znalazł drugą i zapalił ją. Przez ten czas Pietrek zdążył zasnąć na nowo. „Łajdaku jeden, niegodziwcze jeden!-mówił pan Goladkin, znowu go budząc - wstaniesz ty wreszcie, obudzisz się wreszcie?” Po półgodzinnych wysiłkach pan Golad-

873

kin zdołał jednakże rozruszać całkowicie swego służącego i wyciągnąć go zza przepierzenia. Dopiero wtedy nasz bohater ujrzał, że Pietrek był, jak to się mówi, pijany jak bela i ledwo trzymał się na nogach.

- Nicponiu jeden! - zawołał pan Goladkin. - Bandyto jeden! Do rozpaczy mnie doprowadzasz! Boże, gdzież on zapodział ten list? Ach, Panie na wysokościach, no jakże tak... I po co ja go napisałem? I potrzebne mi to było, to całe pisanie! Rozpędziłem się, dureń, ambicja mnie poniosła! Gdzież mnie ta ambicja zaprowadziła! Masz teraz ambicję, łajdaku jeden, masz teraz ambicję!... No, ty! Gdzieżeś ty list zapodział, bandyto jeden? Komuś go oddał?...

- Nikomu nie oddawałem żadnego listu, nie miałem żadnego listu... i tyle!

Pan Goladkin załamywał ręce z rozpaczy.

- Słuchaj, Piotrze... posłuchaj, posłuchaj mnie...

- Słucham...

- Dokąd chodziłeś? odpowiadaj...

- Dokąd chodziłem... do dobrych ludzi chodziłem! co mi tam!

- Ach, mój Boże! Dokąd poszedłeś najpierw? Byłeś w departamencie?... Posłuchaj, Piotrze, może ty jesteś pijany?

- Ja pijany? A niech ja się z tego miejsca nie ruszę, ani krztyнки, ani krztyneczki...

- Nie, nie, to nie szkodzi, że jesteś pijany... tak tylko zapytałem; to dobrze, że jesteś pijany; ja nic takiego, Piotrusiu, ja nic takiego... Tyś może tak tylko zapomniał, ale wszystko pamiętasz. Przypomnij sobie, czy byłeś u urzędnika Wachramiejewa-byłeś czy nie?

- I nie byłem, i urzędnika takiego nie ma. A niech ja zaraz...

- Nie, nie. Piotrze! Nie, Piotrusiu, przecież ja ci nic nie mówię. Przecież ty widzisz, że nic d nie mówię... No, cóż tam znowu! No, na dworze zimno, pada, no, łyknął sobie człowiek ździebko, no i nic takiego... Ja się nie gniewam. Ja sam, braciszku, łyknąłem sobie dzisiaj... Przyznaj się, przypomnij sobie, bracie: byłeś u urzędnika Wachramiejewa?

- No, jak już na to poszło, to słowo daję - tak, byłem, tak, a niech ja zaraz...

- No dobrze, Piotrusiu, dobrze, że byłeś. Widzisz, że się nie gniewam... No, no - ciągnął nasz bohater, jeszcze bar-

dziej starając się udobruchać swego służącego, klepiąc go po ramieniu i uśmiechając się do niego - no, łyknałeś odrobinę, łajdaku, za dziesiątkę łyknałeś, co? Ty szachraju jeden! No, nic nie szkodzi, no, widzisz, że się nie gniewam... nie gniewam się, braciszku, nie gniewam się...

- Nie, nie jestem szachrajem, jak pan sobie chce... wstąpiłem tylko do dobrych ludzi, a nie jestem szachrajem i nigdy szachrajem nie byłem...

- Ależ nie, nie, Piotrusiu! Posłuchaj, Piotrze: przecież ja tak sobie, przecież ja d nie wymyślam, jeżeli nazywam cię szachrajem. Przecież mówię d to na pociechę, mówię ci w szlachetnej intencji. Przecież to, Piotrusiu, czasem schlebia człowiekowi, gdy mu powiedzieć, że z niego taki krętacz, kuty na cztery nogi, cwaniak i że nikomu nie da się nabrać. To ludzie lubią... No, no, daj spokój! no, powiedzże mi teraz, Piotrusiu, nic już nie tając, szczerze jak przyjacielowi... no, byłeś u urzędnika Wachramiejewa i dał ci adres?

- Dał adres, a jakże, dał mi adres. To dobry człowiek! I z twego pana, powiada, dobry człowiek, bardzo dobry człowiek, powiada; powiedz mu, powiada - kłaniaj się, powiada, swojemu panu, podziękuj i powiedz, że lubię - o, jak szanuję twójego pana! za to, powiada, że pan twój, powiada, Piotrusiu, dobrym jest człowiekiem, i ty, powiada, też jesteś dobry człowiek, Piotrusiu-o...

- Ach, mój ty Boże! A co z adresem, co z adresem, judaszu jeden?-te ostatnie słowa pan Goladkin wymówił prawie szeptem.

- I adres... i adres też mi dal.

- Dal? No, gdzież mieszka ten Goladkin, urzędnik Goladkin, radca tytularny?

- A Goladkin, powiada, mieszka przy u'iicy Sześciu Sklepów. Jak pójdziesz, powiada, na ulicę Sześciu Sklepów, to na prawo w sieni, trzecie piętro. O, tu właśnie, powiada, znajdziesz Goladkina...

- Szubrawcze jeden - zawołał wyprowadzony wreszcie z cierpliwości nasz bohater. - Bandyto jeden! Przecież to ja, przecież to o mnie mówisz. A tamto to drugi Goladkin;

ja mówię o drugim, szubrawcze jeden!

- No, jak pan uważa! co mi tam! A pan jak uważa - o!...

- A co z listem, co z listem?...

- Z jakim listem? Nie było nijakiego listu i nie widziałem nijakiego listu.

- Gdzieżeś ty go podział, szelmo jedna?!

- Oddałem go, oddałem ten list. Kłaniaj się, powiada, i podziękuj; dobrego masz, powiada, pana. Kłaniaj się, powiada, swojemu panu...

- Ale któż to powiedział? Czy to Goladkin powiedział? Piotrek milczał przez chwilę i roześmiał się całą gębą, patrząc prosto w oczy swemu panu.

- Słuchaj, bandyto jeden!-zaczął pan Goladkin, łapiąc oddech i tracąc głowę z wściekłości - coś ty narobił! Mówże, coś ty narobił! Zniszczyłeś mnie, łotrze jeden! Zgubiłeś mnie z kretesem, judaszu jeden!

- No, teraz to jak pan uważa! co mi tam! - rzekł stanowczym tonem Pietrek cofając się za przepierzenie.

- Chodź tu, chodź tu, bandyto jeden!...

- A nie pójdę do pana teraz, wcale nie pójdę. Co mi tam! Do dobrych ludzi pójdę... a dobrzy ludzie żyją uczciwie, dobrzy ludzie żyją bez fałszu i po dwóch ich nigdy nie bywa...

Panu Goladkinowi zlodowaciały ręce i nogi i zabrakło tchu...

- Tak jest - ciągnął Pietrek - po dwóch ich nigdy nie bywa, nie obrażają Boga i uczciwych ludzi...

- Ty nicponiu, pijany jesteś! Wyśpij się teraz, bandyto jeden! A jutro już ja się z tobą rozprawię - rzeki pan Goladkin ledwo dosłyszalnym głosem. Jeśli chodzi zaś o Piotrka, to jeszcze coś tam wymamrotał, potem słycać było, jak legł na łóżko, aż całe zatrzeszczało, przeciągnął się głośno poziewa-jąc, a wreszcie zachrapał, jak to się mówi, śpiąc snem sprawiedliwego. Pan Goladkin był na wpół żywy. Zachowanie się Pietrka, jego bardzo dziwne, choć odległe aluzje, na które, właściwie mówiąc, nie było co się gniewać, tym bardziej że mówił je człowiek pijany, a wreszcie zły obrót, jaki przyjmowała sprawa - wszystko to do głębi poruszyło pana Goladkina, „Że też mnie skusiło besztać go w środku nocy - mówił nasz bohater dygocąc na całym ciele, przeniknięty jakimś bolesnym uczuciem. - Że też diabli mi nadali zaczynać z pijanym! Czegóż można się spodziewać po pijanym! Co słowo to bzdura. O czym on zresztą napomykał, bandyta jeden? Boże łaskawy! I po cóż pisałem te listy, morderca, i to ja sam, samobójca jeden! Czy to nie można przemilczeć?

Czy to trzeba było tak się wygadać? Zdawałoby się! Człowiek ginie, upodabnia się do szmaty, to nie, to jeszcze wyłazi z ambicją, że to niby ucierpiał na honorze, że to niby musi swój honor ratować! Samobójca jestem!”

Tak mówił pan Goladkin siedząc na kanapie i ze strachu nie ośmielając się poruszyć. Wtem wzrok jego zatrzymał się na pewnym przedmiocie, który w najwyższym stopniu poruszył jego uwagę. W lęku, czy aby ten przedmiot, który zwrócił jego uwagę, to nie złudzenie, nie gra wyobraźni, wyciągnął do niego rękę z nadzieją, ze strachem, z niezmierną ciekawością... Nie, to nie złudzenie! Nie gra wyobraźni! List, doprawdy list, niewątpliwie list, i to adresowany do niego... Pan Goladkin wziął list ze stołu. Serce mu strasznie bilo. „To pewno przyniósł ten łajdak - pomyślał - i położył tutaj, a potem zapomniał; pewno tak było, to pewno tak właśnie było...” List był od urzędnika Wachramiejewa, młodego biurowego kolegi i niegdyś przyjaciela pana Goladkina. „Przeczuwałem to zresztą z góry - pomyślał nasz bohater - i wszystko to, co będzie teraz w liście, też przeczuwałem...” List był następującej treści:

„Wielce łaskawy Panie,

Jakubie Pietrowiczu!

Służący Pański jest pijany i trudno doczekać się od niego czegoś dorzecznego, z tego też powodu wolę odpowiedzieć Panu listownie. Spieszę Panu oznajmić, że polecenie, którym mnie Pan obarczył, polegające na przekazaniu wiadomej Panu osobie za moim pośrednictwem listu, zgadzam się wykonać z całą skrupulatnością i dokładnością. Mieszka zaś owa osoba, znana Panu dobrze, a teraz zastępująca mi przyjaciela, nazwisko jej przy tym przemilczam (bowiem nie chcę na próżno oczerniać reputacji człowieka całkowicie niewinnego), wraz ze mną w mieszkaniu Karoliny Iwanowny, w tym samym pokoju, gdzie poprzednio, jeszcze za czasów Pańskiej bytności u nas, kwaterował przybyły z Tambowa oficer piechoty. Zresztą osobę ową może Pan spotkać wszędzie pomiędzy uczciwymi i szczerymi sercem ludźmi, czego o innych powiedzieć nie można. Moje z Panem stosunki zamierzam z dniem dzisiejszym przerwać; wszakże przyjacielskiego tonu i poprzedniego pozoru zgodnego koleżeństwa naszego zachowywać nie możemy i dlatego proszę Pana, łaskawy mój Panie, natychmiast

po otrzymaniu tego mojego szczerego listu przysłać mi należne dwa ruble za zagraniczne brzytwy, które Panu sprzedałem, jeśli Pan raczy pamiętać, siedem miesięcy temu na kredyt, jeszcze w czasie zamieszkiwania Pańskiego ze mną u Karoliny Iwanowny, którą szanuję z całej duszy. Postępuję zaś w ten sposób dlatego, że Pan, jak mówią mądrzy ludzie, stracił ambicję i reputację i stał się niebezpieczny dla moralności niewinnych i nie zarażonych ludzi, bowiem poniektóre osoby nie tyją prawdą, a ponadto słowa ich są fałszem, a ich przyzwoity wygląd jest podejrzany. Ażeby zaś

upomnieć się o krzywdę Karoliny Iwanowny, która zawsze zachowywała się moralnie, a po drugie była uczciwą kobietą i w dodatku panną, chociaż nie w kwiecie wieku, ale za to z dobrej cudzoziemskiej rodziny - znajdzie się zawsze i wszędzie dość ludzi do tego zdolnych, o czym niektóre osoby prosiły mnie wspomnieć w niniejszym moim liście mimochodem i mówiąc w swoim imieniu. W każdym razie o wszystkim tym dowie się Pan w swoim czasie, jeśli się Pan teraz już nie dowiedział, pomimo że, jak powiadają mądrzy ludzie, osławil się Pan po wszystkich zakątkach stolicy, a zatem już w wielu miejscach mógł Pan, łaskawy Panie, otrzymać właściwe o sobie informacje. Na zakończenie mojego listu oświadczam Panu, wielce łaskawy mój Panie, że wiadoma Panu osoba, której nazwiska nie wspominam tu z wiadomych szlachetnych powodów, nader jest przez ludzi dobrze myślących szanowana; ponadto charakter posiada wesoły i miły, osiąga sukcesy w urzędowaniu, a także w towarzystwie wszystkich zdrowo myślących ludzi, wierna jest swojemu słowu i przyjaźni i nie obraża zaocznie tych, z którymi w oczy znajduje się w stosunkach przyjacielskich. Mam zaszczyt pozostawać

zawsze powolnym Pańskim sługą

N. Wachramiejew.

P. S. Niech Pan wypędzi Pańskiego służącego: to pijak i zapewne sprawia Panu wiele kłopotów, i niech Pan weźmie Eustachego, który służył przedtem u nas i jest w tej chwili bez miejsca. Obecny zaś Pański służący to nie tylko pijak, ale ponadto złodziej, bowiem jeszcze w zeszłym tygodniu sprzedał funt cukru w postaci kawałków Karolinie Iwanownie za niższą cenę, czego moim zdaniem nie mógł zrobić nie okradając Pana w sposób nader chytry, po trochu i w różnych cza-

sach. Piszę zaś to Panu, bowiem życzę Panu dobrze, pomimo że niektóre osoby umieją tylko obrażać i oszukiwać wszystkich, zwłaszcza zaś ludzi uczciwych i obdarzonych dobrym charakterem; ponadto zaocznie znieważają ich i przedstawiają ich w sensie przeciwnym, i to jedynie z zazdrości i dlatego, że sami siebie takimi nie mogą nazwać.

W.” Przeczytawszy list Wachramiejewa nasz bohater długo jeszcze trwał nieruchomo na swojej kanapie. Jakieś nowe światło przedzierało się przez niejasną i zagadkową mgłę, która go już od dwóch dni otaczała. Nasz bohater zaczął coś niecoś rozumieć... Spróbował był wstać z kanapy, przejść raz i drugi po pokoju, aby się odświeżyć, jako tako skupić rozpierzchłe myśli, skierować je na wiadomy przedmiot, a potem, nieco ochłonawszy, w sposób dojrzały zastanowić się nad swoją sytuacją. Ale ledwo chciał wstać, gdy natychmiast, słaby i bezsilny, znów opadł na dawne miejsce. „Ano wiadomo, wszystko to ja już z góry przeczuwałem; ale jakże to on pisze, jaki jest właściwy sens tych słów? Sens, powiedzmy, znam, ale dokąd to prowadzi? Gdyby powiedział otwarcie: jest tak i tak, żądają tego i tego, tobym to spełnił. Turniura, obrót, który sprawa przybiera, wygląda całkiem nieprzyjemnie! Ach, gdyby to jak najszybciej doczekać jutrzejszego dnia i jak najszybciej dotrzeć do sedna całej sprawy! Teraz przecież już wiem, co mam robić. Ano, tak i tak, powiem, że na argumenty się zgadzam, honoru swego nie sprzedam, a tego... i owszem;

zresztą owa wiadoma osoba, owa niemiła postać-zaplątała się tu jakimś cudem i właściwie po co się tu zaplątała? Ach, żeby już jak najszybciej doczekać do jutra! Osławią mnie przez ten czas, intrygują, robią wszystko przeciw mnie! Najważniejsze - to nie tracić czasu, a na przykład teraz napisać chociażby list i tylko zaznaczyć, że tak i tak, i że na to a na to wyrażam zgodę. A jutro ledwo świt wysłać i samemu jak najszybciej tego... zajść im w kontrę z drugiej strony i uprzedzić ich, tych kochaneczków... Osławią mnie i tyle!”

Pan Goladkin przysunął sobie arkusz papieru, wziął pióro i napisał w odpowiedzi na list sekretarza gubernialnego Wachramiejewa następującą epistołę:

„Wielce łaskawy Panie,

Nestorze Ignatiewiczu!

879

Z sercem pełnym żalu i zdziwienia przeczytałem uwłaczający mi list Pański, albowiem widzę wyraźnie, że mówiąc o niektórych nieprzyzwoitych osobach i niektórych fałszywie uczciwych ludziach, mnie miał Pan na myśli. Z prawdziwym żalem widzę, jak szybko, łatwo i jak głębokie korzenie zapuściło oszczerstwo, naruszające mój spokój, mój honor i dobre moje imię. Jest to tym

bardziej godne ubolewania i krzywdzące, że nawet uczciwi ludzie o prawdziwie szlachetnym sposobie myślenia, a najważniejsze, obdarzeni bezpośrednim i otwartym charakterem, odstępują od spraw ludzi szlachetnych i najlepszymi cechami swojego serca przywiązują się do szkodliwego robactwa - na nieszczęście w naszych ciężkich i niemoralnych czasach mocno a nader nieprzyzwoicie rozplenionego. Na zakończenie oświadczam, że wymienioną przez Pana należność, dwa ruble srebrem, będę uważał za święty obowiązek zwrócić panu w całości.

Co się zaś tyczy Pańskich, łaskawy Panie, napomknień o wiadomej osobie płci żeńskiej, o zamiarach, kalkulacjach i różnych zamysłach tej osoby, to powiem Panu, łaskawy Panie, że niezbyt dobrze i niedokładnie zrozumiałem te aluzje. Niechże mi Pan pozwoli, łaskawy Panie, zachować nie zbrukane zarówno mój szlachetny sposób myślenia, jak i moje uczciwe imię. Tak czy inaczej gotów jestem zdecydować się na osobiste wyjaśnienia, przedkładam bowiem osobiste wyjaśnienia ponad pisemne jako pewniejsze, a ponadto gotów jestem wejść w różne zgodne. Oczywiście obustronnie, porozumienia. Na tę ewentualność proszę Pana, łaskawy Panie, przekazać wyżej wzmiankowanej osobie moją gotowość osobistego porozumienia, a ponadto prosić ją o wyznaczenie miejsca i czasu spotkania. Z goryczą czytałem, łaskawy Panie, Pańskie przypuszczenia, jakoby Pana obraził, zdradził naszą dotychczasową przyjaźń i źle się o Panu odzywał. Wszystko to przypisuję nieporozumieniu, podłemu oszczerstwu, zawiści i nieżyczliwości tych, których zaiste mogę nazwać swoimi najbardziej zaciętymi wrogami. Ale zapewne nie wiedzą oni, że niewinność mocna jest już poprzez swą niewinność, że bezwstyd, bezczelność i oburzająca familiarność niektórych osób wcześniej lub później zasłużą sobie na ogólne piętno pogardy i że osoby te zginą nie inaczej jak od własnej niemoralności i rozwiązłości duszy. Na zakończenie proszę Pana, łaskawy Panie, przekazać

tym osobom, że dziwna ich pretensja i nieszlachetne, fantastyczne pragnienie wypychania innych poza granice, zajmowane przez innych na tym świecie, i zajęcia ich miejsca zasługują na zdumienie, pogardę, żal, a ponadto na dom wariatów, że ponadto takie ustosunkowanie surowo zabronione jest przez prawo, co moim zdaniem jest całkowicie słuszne, każdy bowiem winien być zadowolony z własnego miejsca. Wszystko ma swoje granice i jeśli to jest żart, to nieprzyzwoity, powiem więcej - absolutnie niemoralny, albowiem śmiem Pana zapewnić, łaskawy Panie, że wyżej wymienione moje stanowisko co do własnych miejsc jest wyjątkowo moralne.

Mam zaszczyt pozostawać zawsze powolnym Pańskim sługą J. Goladkin.”

ROZDZIAŁ X

W ogóle można powiedzieć, że wydarzenia wczorajszego dnia do głębi wstrząsnęły panem Goladkinem. Bohater nasz spał bardzo źle, to znaczy w żaden sposób nie mógł nawet na pięć minut zasnąć: tak, jakby jakiś psotnik nasypał mu do łóżka pociętej na kawałeczki szczeciny. Całą noc spędził w jakimś pół śnie, pół jawie, przewracając się z boku na bok, jęcząc, stękając, na chwilę zasypiając, po chwili znów się budząc, a wszystkiemu temu towarzyszył jakiś dziwny smutek, niejasne wspomnienia, potworne zwidzenia - słowem wszystko, co tylko się może trafić nieprzyjemnego... To zjawiała mu się w jakimś dziwnym, zagadkowym półświecie postać Andrzeja Filipowicza - sucha postać, zła postać, o ostrym, szorstkim spojrzeniu, z oschle uprzejmymi wymówkami... I jak tylko pan Goladkin zaczynał zbliżać się do Andrzeja Filipowicza, aby w jakiś sposób, tak czy inaczej, usprawiedliwić się przed nim i dowieść mu, że nie jest bynajmniej taki, jak go odmalowali jego wrogowie, że jest właśnie taki i taki, i że posiada poza swymi zwykłymi, wrodzonymi cechami właśnie te i te, gdy natychmiast zjawiała się znana ze swego nieprzyzwoitego nastawienia osobistość i w jakiś niezmiernie oburzający sposób od razu burzyła wszystkie zamiary pana Goladkina, od razu, prawie na oczach pana Goladkina, oczerniała

881

dokładnie jego reputację, wdeptywała w błoto jego ambicję, a potem natychmiast zajmowała jego miejsce w urzędzie i wśród ludzi. To znów pana Goladkina swędziała głowa od jakiegoś prztyczka, który niedawno otrzymał i przyjął pokornie, otrzymał albo w stosunkach towarzyskich, albo też tak jakoś z obowiązku, od prztyczka, przeciw któremu trudno było protestować... I gdy pan Goladkin zaczynał łamać sobie głowę nad tym, dlaczego właśnie trudno jest protestować chociażby przeciw takiemu prztyczkowi - owa myśl, owa myśl o prztyczku niepostrzeżenie przelewała się w jakąś inną formę - w formę jakiejś znanej, malej albo też dość znacznej podłości, którą widział, o której słyszał albo której sam niedawno się dopuścił - i to często się dopuszczał nawet nie z podłej przyczyny, nawet nie z jakichś podłych pobudek, lecz tak sobie - czasami na przykład niechcący - z delikatności; innym razem z powodu całkowitej swojej bezbronności, no i wreszcie dlatego... dlatego... słowem pan Goladkin wiedział już dobrze dlaczego! Tu pan Goladkin rumienił się przez sen i przewyciężając rumieniec mamrotał sam do siebie, że tu na przykład można byłoby wykazać stanowczość charakteru, można byłoby w tym wypadku wykazać znaczną stanowczość charakteru... a potem dochodził do wniosku, że „co niby z-tej stanowczości charakteru!... po co o niej teraz wspominać...” Ale najbardziej wściekało i denerwowało pana Goladkina, że jak tylko, i to niezawodnie w takiej chwili, wzywano go czy nie wzywano, zjawiało się znane z obrzydliwości i ohydy swojego nastawienia indywiduum i również, nie bacząc na to, że zdawałoby się, sprawa była jasna - też tak samo z nieprzyzwoitym uśmieszkiem mamrotało, że „co niby z tej stanowczości charakteru! O jakiej tu mam z tobą mówić, Jakubie Pietrowiczu, stanowczości charakteru!...” To znów zwidywało się panu Goladki-nowi, że znajduje się w pewnym świetnym towarzystwie, znanym z dowcipu i wytwornego tonu wszystkich osób, z których się składało; że z kolei pan Goladkin wyróżniał się uprzejmością i dowcipem, że wszyscy go polubili, nawet polubili go niektórzy spośród jego tu obecnych wrogów, że panu Goladki-nowi było bardzo przyjemnie, że wszyscy oddali mu pierwszeństwo i że wreszcie sam pan Goladkin z przyjemnością podśluchał, jak pan domu

odprowadzając na bok poniekórych gości chwalił pana Goladkina... I nagle ni z tego, ni z owego zjawiało

się znane ze swej nieprzyzwoitość i z bestialskich instynktów indywiduum w postaci pana Goladkina-młodszeo i natychmiast, od razu, w jednej chwili, samym swoim zjawieniem się Goladkin-młodszy burzył cały tryumf i całą chwałę pana Goladkina-starszeo, zaćmiewał swoją osobą Goladkina-starszeo, wdeptywał w błoto Goladkina-starszeo i wreszcie wyraźnie dowodził, że Goladkin-starszy, a jednocześnie prawdziwy - bynajmniej nie jest prawdziwy, lecz podrabiany, a że prawdziwy jest on, że wreszcie Goladkin-starszy bynajmniej nie jest tym, za jakiego uchodzi, lecz takim i owakim i wobec tego nie powinien i nie ma prawa przebywać w towarzystwie ludzi przyzwoitych i dobrego tonu. A wszystko to odbyło się tak szybko, że pan Goladkin-starszy nie zdążył nawet otworzyć ust, gdy wszyscy duszą i ciałem zapredali się wstrętnemu i fałszywemu panu Goladkinowi i z głęboką pogardą odepchnęli jego, prawdziwego i niewinnego pana Goladkina. Nie pozostało dosłownie ani jednej osoby, której opinii wstrętny pan Goladkin nie przekabaciłby na swoje kopyto. Nie pozostało ani jednej osoby, nawet najbardziej nieznacznej z całego towarzystwa, której by szkodliwy i fałszywy pan Goladkin nie podlizzał się po swojemu, w sposób nader słodziutki, której by na swój sposób nie judził, której by swoim zwyczajem nie kadził czymś bardzo miłym i słodkim, tak że okadzana osoba wachała tylko i kichała aż do łez w dowód najwyższego zadowolenia. A najważniejsze, że wszystko odbywało się błyskawicznie: szybkość posunięć podejrzanego i szkodliwego pana Goladkina była zadziwiająca! Ledwo zdążył na przykład podliznąć się jednemu, zasłużyć sobie na jego życzliwość - człowiek ani okiem nie mrugnął, a on już jest przy drugim, podliże mu się, podliże się ukradkiem drugiemu, wywoła życzliwy uśmieszek, lignie swą króciutką, okrągłutką, dość zresztą sztywniutką nóżką i oto już jest przy trzecim, i przypochlebia się już trzeciemu, z którym też się liże po przyjacielsku; człowiek nie zdąży otworzyć ust, nie zdąży się zdumieć, a on już jest przy czwartym i już z czwartym jest w tych samych stosunkach - okropność:

czary, i tyle! i wszyscy mu są radzi, i wszyscy go 'abiają, i wszyscy go chwalą, i wszyscy gloszą chórem, że uprzejmość i satyryczne nastawienie jego umysłu jest bez porównania lepsze od uprzejmości i satyrycznego nastawienia prawdziwego pana Goladkina i wymawiają to prawdziwemu i niewinnemu panu

883

Goladkinowi, i odpychają prawdomównego pana Goladkina, i już wypędzają kopniakami przyzwoitego pana Goladkina, i już sypią prztyki znanemu z miłości do bliźnich prawdziwemu panu Goladkinowi!... Pełen smutku, przerażenia, wściekłości wybiegi cierpięliwy pan Goladkin na ulicę i zaczął godzić dorożkę, aby lecieć wprost do jego ekscelencji, a jeśli nie, to już przynajmniej do Andrzeja Filipowicza, ale - co za okropność! - dorożkarze w żaden sposób nie zgadzali się wieźć pana Goladkina: „że niby, wielmożny panie, nie można wieźć dwóch zupełnie podobnych; że niby, wielmożny panie, dobry człowiek stara się żyć uczciwie, a nie tak jakoś i że po dwóch to już nigdy nie bywa”. W paroksyzmie wstydu całkowicie uczciwy pan Goladkin rozglądał się dokoła i istotnie przekonywał się na własne oczy, że dorożkarze i Pietrek, który się z nimi spiknął, że wszyscy mają prawo tak mówić, albowiem zdeprawowany pan Goladkin stał istotnie obok, tuż przy nim, w niewielkiej odeń odległości i zgodnie ze swoim podłym zwyczajem nawet tu, nawet w tej krytycznej chwili niewątpliwie zamierzał zrobić coś bardzo nieprzyzwoitego, co bynajmniej nie świadczyło o

szczególnej szlachetności charakteru, którą się otrzymuje zazwyczaj przez wychowanie - szlachetności, którą tak szczylił się przy każdej okazji wstrętny pan Goladkin—drugi. Na wpół przytomny, pełen wstydu i rozpacz, pobiegł przybity i całkowicie szlachetny pan Goladkin, gdzie oczy poniosą, na oślep, na złamanie karku; lecz z każdym jego krokiem, z każdym stąpieniem na granit trotuaru jakby spod ziemi wyskakiwali tacy sami, zupełnie podobni i ohydni w swoim zdeprawowaniu - panowie Goladkinowie. I wszyscy ci całkowicie podobni do siebie natychmiast po pojawieniu się puszczali się w pogoń jeden za drugim i długim łańcuchem, jak sznur gęsi, ciągnęli i kuśtykali za panem Goladkinem-star-szym, tak że ów nie miał już dokąd uciec od tych całkowicie podobnych, tak że z przerażenia zapierało dech ze wszech miar godnemu współczucia panu Goladkinowi - aż wreszcie narodziło się okropne mnóstwo tych całkowicie podobnych - aż cała stolica wypełniła się wreszcie całkowicie podobnymi i stójkowy widząc takie naruszenie zasad przyzwoitości musiał wziąć tych wszystkich całkowicie podobnych za kołnierz i wsadzić do stojącej właśnie pod bokiem budki... Drętwiejąc i lodowaciejąc z przerażenia bohater nasz budził się i drętwiejąc

i lodowaciejąc z przerażenia czuł, że i na jawie nie spędza bodajże weselej czasu... Było mu ciężko, boleśnie... Odczuwał taką udrękę, jak gdyby ktoś mu serce z piersi wydzierał...

Wreszcie pan Goladkin nie mógł już dłużej tego znosić. „Nie może tak być!” - zawołał, energicznie wstając z łóżka, i wraz z tym okrzykiem ocknął się całkowicie.

Dzień zapewne dawno już się rozpoczął. W pokoju było jakoś niezwykle jasno, promienie słoneczne gęsto przesączały się przez oszronione mrozem szyby i obficie rozpraszały się po pokoju, co nader zdziwiło pana Goladkina, słońce bowiem zaglądało do niego bodajże tylko w południe; dawniej takie wyjątki w obiegu ciała niebieskiego, w każdym razie o ile tylko pan Goladkin mógł sobie przypomnieć, prawie nigdy się nie zdarzały. Ledwo pan Goladkin zdążył się zdziwić, gdy za przepierzeniem zabrzączał zegar ścienny i w ten sposób całkowicie przygotował się do wybicia godziny. „O, właśnie!” - pomyślał pan Goladkin i z markotnym oczekiwaniem przygotował się do słuchania... Ale ku najwyższemu i ostatecznemu zdumieniu pana Goladkina zegar natężył się i wydzwonił tylko raz. „Cóż to za kawał?” - zawołał nasz bohater wyskakując z łóżka. Tak jak był, nie wierząc własnym oczom wbiegł za przepierzenie. Zegar istotnie wskazywał pierwszą. Pan Goladkin spojrzął na łóżko Pietrka: dawno już widocznie zostało opuszczone i pościelone; butów też nigdzie nie widział - niezawodna oznaka, że Pietrka istotnie nie było w domu. Pan Goladkin podbiegł ku drzwiom: były zamknięte. „Gdzież jest ten Pietrek?” - ciągnął szeptem, okropnie przejęty, odczuwając przy tym w całym ciele dość mocne dreszcze... Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl... Pan Goladkin podbiegł do swego biurka, obejrzał je, poszperał wkoło- ano tak: nie było wczorajszego jego listu do Wachramiejewa... Pietrka za przepierzeniem też nie było; zegar ścienny wskazywał pierwszą, a do wczorajszego listu Wachramiejewa dopisane były jakieś nowe punkty, zresztą jak na pierwszy rzut oka bardzo niejasne punkty, ale teraz całkowicie już wyjaśnione. Wreszcie ten Pietrek - niewątpliwie przekupiony! Tak, tak, o to właśnie chodzi!

„To tam właśnie zasupłał się ten najważniejszy węzeł! - zawołał pan Goladkin uderzając się w czoło i coraz szerzej otwierając oczy - a więc to w gnieździe tej skąpej Niemki

kryje się teraz całe najważniejsze diabelstwo! A więc to była z jej strony tylko strategiczna dywersja, gdy wskazywała mi Izmailowski most - wskazywała mylny trop, wprowadzała mnie w ambaras (niegodziwa wiedźma!) i w ten sposób prowadziła podkopy!!! Tak, to tak właśnie! Jeśli tylko z tej strony spojrzeć na całą sprawę, to wszystko to będzie właśnie tak! I zjawienie się łajdaka też jest teraz całkiem zrozumiałe:

wszystko to sprowadza się do jednego. Od dawna już go trzymali, szykowali i mieli w rezerwie na czarną godzinę. No i proszę, jak to jest teraz, jak to się wszystko wyjaśniło! Jak wszystko to się rozwiązało! Ano nic! Jeszcze nic straconego!...” Tu pan Goladkin przypominał sobie z przerażeniem, że jest już po pierwszej. „A co, jeżeli oni właśnie teraz zdążyli... - Jęk wyrwał mu się z piersi. - Ale nie, niedoczekanie, nie zdążyli-zobaczymy...” Ubrał się byle jak, chwycił papier, pióro i napisał

następującą epistołę:

„Wielce szanowny Panie,

Jakubie Pietrowiczu!

Albo Pan, albo ja, razem być nie możemy! Dlatego też oświadczam Panu, że dziwne, śmieszne, a jednocześnie niemożliwe do urzeczywistnienia pragnienie Pańskie, aby uchodzić za mojego bliźniaka i podawać się za takowego, przyczyni się jedynie do Pańskiej ostatecznej hańby i klęski. Dlatego też proszę Pana, aby we własnym interesie zechciał Pan usunąć się i ustąpić z drogi ludziom prawdziwie szlachetnym i mającym lojalne cele. W przeciwnym zaś wypadku gotów jestem posunąć się nawet do najbardziej ostatecznych środków. Odkładam pióro i czekam... Poza tym pozostaję gotów do usług oraz do pojedynku na pistolety.

J. Goladkin”

Bohater nasz skończywszy liścik energicznie zatarł ręce. Potem włożył płaszcz i kapelusz, drugim, zapasowym kluczem otworzył drzwi i ruszył do departamentu. Do departamentu co prawda doszedł, ale nie zdecydował się wejść, istotnie bowiem było już za późno, zegarek pana Goladkina wskazywał już wpół do trzeciej. Wtem pewna dość niewielkiej wagi okoliczność rozstrzygnęła wątpliwości pana Goladkina: spoza narożnika gmachu ukazała się nagle zadyszana i zarumieniona postać i ukradkiem, szczerzym krokiem przesmyrgnęła na ganek, a potem natychmiast do sieni. Był to pisarz kancela-

ryjny Ostafiew, którego pan Goladkin znalazł dobrze, a który był poniekąd pożyteczny i za dziesiątkę gotów na wszystko. Znając czułą stronę Ostafiewa i skombinowawszy, że po wyjściu w jakiejś nader pilnej sprawie stał się zapewne jeszcze bardziej łapczywy na dziesiątki, bohater nasz postanowił ich nie żałować i natychmiast przesmygnął na ganek, a potem do sieni, tuż za Ostafiewem, zawołał go i z tajemniczą miną poprosił na boczek do zacisznego kąta za ogromnym żeliwnym piecem. Zaprowadziwszy go tam, bohater nasz zaczął wypytywać.

- No co, przyjacielu, jakże to tam tego... rozumiesz mnie?

- Słucham, wielmożny panie, życzę zdrowia wielmożnemu panu.

- Dobrze, przyjacielu, dobrze, odwdzięczę ci się, drogi przyjacielu. A więc widzisz, jakże to, przyjacielu?

- O co łaskawy pan pyta?-Tu Ostafiew przytrzymał nieco ręką usta, które otworzyły mu się mimo woli.

- Ja, widzisz, mój przyjacielu, ja tego... a ty sobie przypadkiem nie pomyśl czegoś tam... No, czy Andrzej Filipowicz jest w biurze?...

- Jest.

- A urzędnicy są?

- Urzędnicy też są, tak jak należy.

- A jego ekscelencja też jest?

- I jego ekscelencja też jest. - Tu pisarz po raz drugi przytrzymał usta, które mu się znów otworzyły, i jakoś dziwnie i z zaciekawieniem popatrzył na pana Goladkina. W każdym razie tak się wydało naszemu bohaterowi.

- A nie zdarzyło się nic takiego szczególnego, przyjacielu?

- Nie, wielmożny panie, nic się nie zdarzyło.

- A tak na mój temat, kochany przyjacielu, nie było czegoś takiego, tak jakoś tylko czegoś takiego... co? tylko tak, przyjacielu, rozumiesz?

- Nie, nic jeszcze tymczasem nie słyhać. - Tu pisarz znów przytrzymał usta i znów jakoś dziwnie spojrzął na pana Goladkina. Rzecz w tym, że bohater nasz usiłował teraz przejrzeć fizjonomię Ostafiewa, wyczytać w niej, czy coś się tam nie kryje. I istotnie wyglądało na to, że

coś się kryje. Rzecz w tym, że Ostafiew stawał się coraz to bardziej ordynarny i oschły i już nie z takim zainteresowaniem, jak na początku rozmowy, wnikał teraz w sprawy pana Goladkina.

„Poniekąd

887

ma rację - pomyślał pan Goladkin - cóż ja dla niego znaczę. Może już otrzymał co nieco od drugiej strony i właśnie dlatego wyskoczył w pilnej sprawie. Ano, to ja mu tego...” Pan Goladkin zrozumiał, że nadszedł czas na dziesiątki.

- Masz, drogi przyjacielu...

- Serdecznie dziękuję wielmożnemu panu.

- Dam ci więcej.

- Słucham wielmożnego pana.

- Zaraz teraz dam więcej, a gdy wszystko się skończy, dam jeszcze drugie tyle. Rozumiesz?

Pisarz milczał, stał na baczność i nieruchomym wzrokiem patrzył na pana Goladkina.

- No, a teraz mów: czy o mnie nic nie mówiono?...

- Zdaje się, że tymczasem jeszcze... tego... tymczasem jeszcze nic. - Ostafiew odpowiadał z namysłem, zachowując, podobnie jak i pan Goladkin, nieco tajemniczą minę, ruszając nieco brwiami, patrząc w ziemię, usiłując utrafić we właściwy ton, słowem, ze wszystkich sił starając się zapracować na obiecane pieniądze, ponieważ te, które już otrzymał;

uważał za swoją bezsporną własność.

- I nic nie wiadomo?

- Tymczasem nic jeszcze.

- A posłuchaj... tego... a może będzie wiadomo?

- Potem, rozumie się, może będzie wiadomo. „Źle!” - pomyślał nasz bohater.

- Posłuchaj, masz tu jeszcze, mój kochany.

- Serdecznie dziękuję wielmożnemu panu.
- Wachramiejew był tu wczoraj?...
- Był.
- A kogo innego czy nie było?... Przypomnij sobie, braciszku.

Pisarz pogrzebał chwilę w swoich wspomnieniach i nic odpowiedniego nie znalazł.

- Nie, nikogo innego nie było.
- Hm! - Nastąpiło milczenie.
- Posłuchaj, bracie, masz tu jeszcze, powiedz wszystko, odsłoń wszystkie ukryte sprężyny. ‘
- Słucham wielmożnego pana. - - Ofctafiew stał się teraz zupełnie aksamitny: tego właśnie trzeba było panu Goladki-nowi.

- Wyjaśnij mi, bracie, jak tam z nim jest teraz?
- Nieźle, wielmożny panie, dobrze - odrzekł pisarz wlepiając oczy w pana Goladkina.
- Co to znaczy: dobrze?
- To znaczy tak właśnie. - Tu Ostafiew uniósł znacząco brwi, nawiasem mówiąc stanowczo czuł się zapędzony w kozi róg i nie wiedział, co ma jeszcze mówić.- „Źle!” - pomyślał pań Goladkin.
- Czy nie ma czegoś nowego pomiędzy nim a Wachra-miejewem?
- Ano, wszystko jest tak jak i dawniej.
- Pomyśl trochę.
- Mówią, że coś jest.
- A co takiego?

Ostafiew przytrzymał ręką usta.

- Czy nie ma do mnie listu stamtąd?

-- Ano, dziś stróż Michiejew był u Wachramiejewa w mie-zkaniu u jego Niemki, no to pójde i zapytam, jeśli potrzeba. - Bądź tak dobry, bracie, na litość boską!... Ja tylko tak... Nie pomyśl sobie czegoś, bracie, bo ja tylko tak. I rozpylaj się, braciszku, dowiedz się, czy nie szykuje się tam coś w związku ze mną? Jakże tam on działa? Tego mi właśnie potrzeba;

o to się właśnie wywiedz, kochany przyjacielu, a ja ci się później odwdzięczę...

- Słucham wielmożnego pana, a na pańskim miejscu dzisiaj usiadł Iwan Siemionycz.

- Iwan Siemionycz? A! Tak! Doprawdy?

- Andrzej Filipowicz kazał mu się...

- Doprawdy? Z jakiej racji? Dowiedz się, bracie, na Boga, dowiedz się, bracie; dowiedz się tego wszystkiego, a ja ci się odwdzięczę, mój kochany; tego mi właśnie potrzeba... A ty sobie przypadkiem nie pomyśl czego, bracie...

- Słucham wielmożnego pana, słucham, pójdę tam natychmiast. A czy wielmożny pan dzisiaj tam nie pójdzie?

- Nie, mój przyjacielu, ja tylko tak, ja przecież tylko tak, przyszedłem tylko popatrzeć, kochany przyjacielu, a potem :i się odwdzięczę, kochany przyjacielu.

- Słucham wielmożnego pana. - Pisarz szybko i gorliwie wbiegł po schodach na górę, a pan Goladkin został sam. „Źle - pomyślał. - Ech, źle, źle! Ech, takie to nasze

38 Dostojewski, I. Ul

889

sprawy... jakoś kiepsko idą! Co by to wszystko miało znaczyć? co właściwie znaczą niektóre napomknienia tego pijaka i czyja to sprawa? A! teraz już wiem, czyja to sprawa. To taka sprawa. Na pewno się dowiedzieli i posadzili... Zresztą cóż z tego, że posadzili? To Andrzej Filipowicz posadził tego Iwana Siemionowicza; a właściwie po cóż on go posadził, w jakim celu go właściwie posadził? pewno się dowiedzieli... To robota. Wachramiejewa, to znaczy nie Wachramiejewa, ten Wachramiejew jest głupi jak but, oni wszyscy za niego działają, i tego szelmę też właśnie po to tu napuścili; a i Niemka, ta diabliska, też naskarżyła! Zawsze podejrzewałem, że cała ta intryga nie jest bez kozery i że w tej babskiej starczej plotce niewątpliwie coś się kryje; mówiłem już to Kristianowi Iwanowiczowi, że zawzięli się, aby zarzącić człowieka, mówię w sensie moralnym, i chwycili się tej Karoliny Iwanowny. Nie, widać, że tu działają sami mistrzowie! Tu, szanowny panie, działa mistrzowska ręka, a nie Wachramiejew. Powiedziałem już, że Wachramiejew jest za głupi, a to... wiem teraz, kto tu działa za nich wszystkich: to ta szelma działa, to samozwaniec działa! Tym właśnie się ppdlizuje, czego poniekąd dowodzą jego sukcesy w wyższym towarzystwie. A doprawdy warto byłoby wiedzieć, na jakiej on jest teraz z nimi stopie... co tam u nich w trawie piszczy? Tylko dlaczegóż wzięli tam tego Iwana Siemionowicza? Na jakie лихо był im potrzebny Iwan Siemionowicz? Jak gdyby nie można już było dostać kogo innego! Zresztą kogokolwiek by posadzili, na jedno by wyszło; a co wiem, to wiem, ten Iwan Siemionowicz od dawna już był mi podejrzany, dawno już zauważyłem, że to taki wstrętny, taki obrzydliwy staruch, mówią, że pożyczka na lichwę i bierze żydowskie procenty. A przecież to wszystko kombinuje nasz niedźwiedź, we wszystkie te sprawy zamieszany jest niedźwiedź. W ten sposób się zaczęło. Zaczęło się przy Izmańskim moście, właśnie tak się zaczęło...” Tu pan Goladkin skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę, zapewne przypomniawszy sobie coś przykrego. „No, zresztą cóż tam! - pomyślał. - A ja tylko jedno mam na myśli. Czemu to nie wraca ten Ostafiew? Pewno gdzieś utknął albo ktoś go zatrzymał. To nawet poniekąd dobrze, że ja ze swojej strony intryguję i prowadzę podkopy. Ostafiewowi wystarczy dać dziesiątkę, to on tego... i już jest po mojej stronie. Tylko że właśnie

chodzi o to: czy doprawdy on jest po mojej stronie; może oni go też ze swej strony... i dogadawszy się z nim ze swej strony, prowadzą teraz intrygę. Przecież on wygląda na zbója, na szachraja, na czystego zbója! Coś ukrywa, szelma! «Nie, nic takiego, powiada, i serdecznie wielmożnemu panu, powiada, dziękuję. o Zbóju jeden!»

Rozległ się hałas... pan Goladkin skulił się i skoczył za piec. Ktoś zszedł ze schodów i wyszedł na ulicę. „Któż by to teraz wychodził?” -pomyślał nasz bohater. Po krótkiej chwili znowu rozległy się czyjeś kroki... Tu już pan Goladkin nie wytrzymał i spoza swej osłony wysunął mały, malusieńki koniuszeczek nosa - wysunął i natychmiast się cofnął, jak gdyby go ktoś ukłuł szpilką w nos. Tym razem wiadomo, kto przechodził, szelma, intrygant i rozpustnik - przechodził swoim zwyczajem podłym drobnym kroczeniem, drepcząc i wyrzucając w bok nóżki, jak gdyby zamierzał kogoś kopnąć. „Łajdak!”—szepnął do siebie nasz bohater. Zresztą pan Goladkin niewątpliwie musiał dostrzec, że łajdak niesie pod pachą ogromną zieloną teczkę, należącą do jego ekscelencji. „On znowu do specjalnych poruczeń” - pomyślał pan Goladkin rumieniąc się i jeszcze bardziej kuląc się pod wpływem przykrego uczucia. Ledwo pan Goladkin-młodszy przemknął obok pana Goladkina-starszego, nie zauważywszy go zresztą, gdy po raz trzeci rozległy się czyjeś kroki i tym razem pan Goladkin domyślił się, że są to kroki pisarza. Istotnie za piec zajrzała jakaś przylizana pisarska postać, była to zresztą postać nie Ostafiewa, lecz innego pisarza’ przewiskiem Pi-sarienko. Zdumiało to pana Goladkina. „Po cóż on innych dopuszcza do-sekretu?-pomyślał nasz bohater.-Cóż to za barbarzyńcy! Nic świętego dla nich nie ma!”

- No co, przyjacielu?-rzekł zwracając się do Pisaren-ki-kto ciebie, przyjacielu, przysłał?...

- Ja w pańskiej sprawie. Chwilowo nie ma od nikogo żadnych wiadomości. A jak będą, to zawiadomimy wielmożnego pana.

- A Ostafiew?...

- On, wielmożny panie, w żaden sposób nie może. Jego ekscelencja już dwa razy przechodził przez wydział, ja też nie mam teraz czasu.

- Dziękuję, mój kochany, dziękuję ci... Tylko mi powiedz...

- Słowo daję, że nie mam czasu... co chwila nas wzywają... A pan niech raczy sobie tu jeszcze postać, jeśli coś będzie w pańskiej sprawie, to zawiadomimy pana...

- Nie, ty mi, przyjacielu, powiedz...

- Pan wybaczy, nie mam czasu - mówił Pisarienko wyrывая się chwytającemu go za poty panu Goladkinowi - doprawdy nie mogę. Pan raczy tu jeszcze troszkę postać, my już zawiadomimy.

- Zaraz, zaraz, przyjacielu! zaraz, kochany przyjacielu! Teraz taka sprawa': masz tu list, przyjacielu, a ja ci się odwdzięczę, mój kochany.

- Słucham wielmożnego pana.

- Postaraj się go oddać, mój kochany, panu Goladkinowi.

- Goladkinowi?

- Tak, przyjacielu, panu Goladkinowi.

- Dobrze, jak tylko stąd pójde, to zaraz odniosę. A pan niech tu tymczasem stoi. Tu nikt nie zobaczy...

- Nie, mój przyjacielu, ty nie myśl... ja przecież tu stoję nie po to, żeby mnie ktoś nie zobaczył. A ja, przyjacielu, będę teraz nie tutaj... będę, o tu, na tej uliczce. Jest tam jakaś kawiarnia, tam będę czekał, a ty, jeśli się coś wydarzy, zawiadamiaj mnie o wszystkim, rozumiesz?

- Dobrze. Tylko niech pan mnie puści, rozumiem...

- A ja ci się odwdzięczę, mój kochany! - wołał pan Goladkin za Pisarenką, który się wreszcie od niego uwolnił. „Szelma, zdaje się, że stał się potem jeszcze bardziej ordynarny - pomyślał nasz bohater, ukradkiem wychodząc zza pieca. - W tym jest jeszcze jakiś haczyk. To jasne... Z początku było i tak, i siak... Zresztą jemu się doprawdy spieszyło, możliwe, że tam dużo roboty. A jego ekscelencja dwa razy przechodził przez wydział... Z jakiego to mogłoby być powodu?... Ech! Ano nic! Zresztą może to doprawdy nic, ano zaraz zobaczymy...”

Tu pan Goladkin otworzył drzwi i chciał już wyjść na ulicę, gdy nagle w tej samej chwili przed gankiem zaturkotała karetka jego ekscelencji. Pan Goladkin nie zdążył się opamiętać, gdy otworzyły się drzwi karety i siedzący w niej pan wyskoczył na ganek. Przybyłym okazał się nie kto inny, lecz także pan Goladkin-młodszy, który wyszedł jakieś dziesięć minut temu. Pan Goladkin-starszy przypomniał sobie, że mieszkanie dy-

rektora było tuż, tuż. „On tak do specjalnych poruczeń” - pomyślał w duchu nasz bohater. Tymczasem pan Goladkin-młodszy wziął z karety grubą zieloną tekę i jeszcze jakieś tam papiery, wydal poza tym jakieś dyspozycje stangretowi, otworzył drzwi, niemalże potracił nimi pana Goladkina-starszego i umyślnie go nie dostrzegając, a więc robiąc mu w ten sposób na złość, szybkim krokiem ruszył na górę po departamenckich schodach. „Źle!-pomyślał pan Goladkin-ech, jakże to się teraz obróciły nasze sprawy! Widzieliście go, mój ty Boże!”, Nasz bohater stał jeszcze jakieś pół minuty bez ruchu, wreszcie zdecydował się. Nie namyślając się długo, czując przy tym mocne bicie serca i dreszcze we wszystkich członkach, pobiegł za swoim przyjacielem na górę. „E tam! Było nie było, a co mi tam? ja w tej sprawie stoję z boku” - myślał zdejmując w korytarzu kapelusz, płaszcz i kalosze.

Gdy pan Goladkin wszedł do swego wydziału, panował już zupełny zmrok. Ani Andrzeja Filipowicza, ani Antoniego Anto-nowicza nie było w pokoju. Obaj referowali coś w gabinecie dyrektora, dyrektor zaś, jak niosły słuchy, z kolei spieszył się do jego ekscelencji, swego szefa. Na skutek takich okoliczności, a przy tym i dlatego, że przyczynił się do tego zmrok i kończył się czas urzędowania, niektórzy urzędnicy, zwłaszcza młodzież, w chwili gdy wszedł nasz bohater, zajmowali się poniekąd beczynnością, zbierali się po kilku, rozmawiali, gadali, śmieli się, a nawet niektórzy co młodsi, to znaczy posiadający najniższą rangę, cichaczem, korzystając z ogólnego gwaru, w kącie pod oknem grali sobie w orła i reszkę. Znając zasady przyzwoitości i czując w tej chwili jakąś szczególną potrzebę pozyskania sobie i znalezienia kogokolwiek, pan Goladkin natychmiast podszedł do tego i owego, z kim był lepiej, aby się przywitać itd. Ale koledzy biurowi dziwnie jakoś przyjęli powitanie pana Goladkina. Zaskoczył go niemile jakiś ogólny chłód, oschłość, a nawet, można by rzec, jakaś surowość. Ręki nikt mu nie podał. Niektórzy po prostu powiedzieli „dzień dobry” i odeszli, inni kiwnęli tylko głową, niejeden po prostu odwrócił się i udał, że nic nie zauważył;

niektórzy wreszcie - co było najbardziej obraźliwe dla pana Goladkina - niektórzy spośród posiadającej najniższą rangę młodzieży, chłopcy, którzy, jak słusznie wyraził się o nich pan Goladkin, umieją tylko przy okazji zagrać w orła i reszkę

893

i gdzieś tam się włóczyć-powoli otoczyli pana Goladkina, zgromadzili się koło niego i niemal przegrodzili mu drogę. Wszyscy patrzyli na niego z jakąś obraźliwą ciekawością.

Był to zły znak. Pan Goladkin to czuł i rozsądnie ze swojej strony przygotował się, aby nic nie zauważyć. Wtem jedna całkowicie niespodziewana okoliczność zupełnie, jak to się mówi, wykończyła i zniszczyła pana Goladkina.

W grupce młodych otaczających go kolegów biurowych, jak gdyby naumyślnie w najprzykrzejszej dla pana Goladkina chwili, zjawił się pan Goladkin-młodszy, jak zawsze wesolutki, jak zawsze z uśmiechem, jak zawsze żwawy, słowem:

swawolnik, wiercipięta, lizus, śmieszek, o ciętym języczku i z lekką nóżką, jak zawsze, jak dawniej,

choćby jak i wczoraj, w pewnej nader niemiłej dla pana Goladkina-starszego chwili. Szczęząc zębami, wierząc się, drepcząc, z uśmiechem, który zdawał się mówić wszystkim: „dobry wieczór”, wkręcił się w grupkę urzędników, temu uściśnął rękę, tego poklepał po ramieniu, trzeciego z lekka objął, czwartemu wyjaśnił, z jakiego to powodu posłużył się nim jego ekscelencja, dokąd jeździł, co zrobił, co przywiózł; piątego, zapewne swego najlepszego przyjaciela, cmoknął w same usta - słowem wszystko działo się kropka w kropkę jak we śnie pana Goladkina-starszego. Gdy się już naskakai do syta, załatwił każdego po swojemu, obrobił ich wszystkich na swoją korzyść, czy trzeba, czy nie trzeba, nalizał się z nimi wszystkimi, pan Goladkin-młodszy nagle, zapewne przez pomyłkę, nie zdążywszy dotychczas zauważyć swego najdawniejszego przyjaciela, wyciągnął rękę i do pana Goladkina-starszego. Nasz bohater, zapewne również przez pomyłkę, choć zdążył przecież doskonale zauważyć nieszlachetnego pana Goladkina-młodszego, natychmiast chciwie chwycił wyciągniętą do niego niespodzianie rękę i uściśnął ją w sposób nader przyjazny, uściśnął ją powodowany jakimś dziwnym, zupełnie nieoczekiwanym wewnętrznym odruchem, jakimś łzawym uczuciem. Czy to bohater nasz został zmylony pierwszym ruchem swego nieprzyzwoitego wroga, czy też po prostu nie spostrzegł się, czy może w głębi duszy poczuł i uświadomił sobie cały ogrom swojej bezbronności - trudno powiedzieć. Faktem jest, że pan Goladkin-starszy, zdawałoby się zupełnie przytomny, z własnej woli i przy świadkach uroczyście uściśnął dłoń

tego, którego mienił swoim śmiertelnym wrogiem. Ale w jakież zdumienie, wściekłość i szaleństwo wpadł pan Goladkin-starszy, jakież przerażenie i wstyd go ogarnęły, gdy jego nieprzyjaciel i śmiertelny wróg, nieprzyzwoity pan Goladkin-młodszy, zauważywszy pomyłkę niewinnie prześladowanego i wiarołomnie przezeń oszukanego człowieka, bez najmniejszego wstydu, bez sumienia i litości, nagle, z niewymowną bezczelnością i brutalnością wyrwał swoją dłoń z dłoni pana Goladkina-starszego; mało tego - potrząsnął dłonią, jak gdyby ją zbrukał czymś bardzo obrzydliwym; mało tego - splunął na stronę, a towarzyszył temu jak najbardziej ubliżający gest; mało tego - wyjął chusteczkę i natychmiast, w sposób nader bezwstydnym otarł nią palce, które przez chwilę spoczywały w dłoni pana Goladkina-starszego. Robiąc to wszystko pan Goladkin-młodszy umyślnie swoim podłym zwyczajem rozglądał się dokoła, tak żeby wszyscy widzieli jego zachowanie, zaglądał wszystkim w oczy i wyraźnie starał się wszystkich jak najnieprzychylniej nastroić wobec pana Goladkina. Zdawało się, że zachowanie się wstrętne pana Goladkina-młodsze wywołało powszechne oburzenie otaczających ich urzędników; nawet lekkomyślna młodzież okazała niezadowolenie. Wokoło podniósł się szmer i gwar. Ogólne poruszenie nie mogło ująć uwagi pana Goladkina-starszego, gdy naraz w porę użyty dowcip, który zjawił się na ustach pana Goladkina-młodsze, rozwiął i zniweczył ostatnie nadzieje naszego bohatera i znów przechylił szalę na korzyść jego śmiertelnego i nieużytego wroga.

- To nasz rosyjski Faublas,⁷ panowie, pozwólcie wam przedstawić młodego Faublasa-zapiszczał pan Goladkin-młodszy, z właściwą sobie bezczelnością drepcząc i uwijając się pomiędzy urzędnikami i wskazując im zdrętwiałego, a jednocześnie rozwścieczonego prawdziwego pana Goladkina. - Pocałujmy się, serdeńko! - ciągnął z nieznośną poufałością przysuwając się do zdradziecko znieważonego przez siebie człowieka. Dowcip nieużytego pana Goladkina-młodsze znalazł, jak się zdaje, oddźwięk, gdzie należało, tym bardziej że zawierał w sobie podstępny aluzję do pewnej głośnej już zapewne i znanej wszystkim okoliczności. Nasz bohater poczuł na ramieniu ciężką dłoń swoich wrogów. Zresztą już się zdecydował. Z płonąącym wzrokiem, z pobladłą

twarzą, z zastygłym uśmiechem ledwo wydarł się z tłumu i nierównymi drobnymi krokami skierował się prosto do gabinetu jego ekscelencji. W przedostatnim pokoju, napotkał wychodzącego właśnie od jego ekscelencji Andrzeja Filipo-wicza i chociaż w pokoju było dość dużo obcych, w tej chwili zupełnie postronnych dla pana Goladkina osób, nasz bohater nie zwrócił najmniejszej uwagi na tę okoliczność. Bezpośrednio, stanowczo, śmiało, nieco sam dziwiąc się sobie i w głębi duszy dumny ze swojej odwagi, natarł na Andrzeja. Filipo-wicza, ogromnie zdumionego taką niespodziewaną napaścią.

- A!... co pan... czego pan sobie życzy?-zapytał naczelnik wydziału, nie słuchając pana

Goladkina, który się na czymś zająknął.

- Andrzej Filipowiczu, ja... czy mogę, Andrzej Filipowiczu, teraz, natychmiast rozmówić się w cztery oczy z jego ekscelencją?-wyraźnie i dobitnie rzekł nasz bohater kierując nader stanowcze spojrzenie na Andrzeja Filipowicza.

- Co? Naturalnie, że nie. - Andrzej Filipowicz od stóp do głów zmierzył wzrokiem pana Goladkina.

- Mówię to wszystko, Andrzej Filipowiczu, dlatego, że dziwię się, czemu nikt tu nie zdemaskuje samozwańca i łajdaka.

- Co-o-o?

- Łajdaka, Andrzej Filipowiczu.

- O kim to pan raczy wyrażać się w ten sposób?

- O wiadomej osobie, Andrzej Filipowiczu. Napomykam tu, Andrzej Filipowiczu, o 'wiadomej osobie, mam do tego prawo... Myślę, Andrzej Filipowiczu, że zwierzchnictwo powinno zachęcać do podobnych posunięć - dodał pan Goladkin wyraźnie nie panując nad sobą - Andrzej Filipowiczu... pan zapewne sam widzi, Andrzej Filipowiczu, że to szlachetny odruch, który świadczy o mojej najwyższej lojalności - chcę uznać zwierzchnika za ojca, Andrzej Filipowiczu, uznaję bowiem łaskawe zwierzchnictwo za ojca i ślepo mu zawierzam swój los. Tak i tak... o, tak właśnie... - W tym miejscu głos pana Goladkina zadrżał, twarz mu poczerwieniała i dwie łzy spłynęły na jego rzęsy.

Andrzej Filipowicz słuchając pana Goladkina zdziwił się tak, że jakoś mimo woli cofnął się o dwa kroki do tyłu. Potem niespokojnie rozejrzał się dokoła... Trudno powiedzieć, jak

by się skończyła ta sprawa... Ale naraz otworzyły się drzwi gabinetu jego ekscelencji i on sam wyszedł w asyście kilku urzędników. Za nim pociągnęli wszyscy obecni w pokoju. Jego ekscelencja skinął na Andrzeja Filipowicza i szedł obok niego rozmawiając o jakichś sprawach. Gdy wszyscy ruszyli i wyszli z pokoju, opamiętał się również pan Goladkin. Uspokoiwszy się nieco schronił się pod skrzydło Antoniego Anto-nowicza Sietoczki, który kuśtykając podążał za wszystkimi z nader surową i zatroskaną miną. „I tu się zagalopowałem, i tu napaskudziłem - pomyślał sobie - ano cóż, trudno.”

- Mam nadzieję, że przynajmniej pan. Antoni Antono-wiczu, zgodzi się mnie wysłuchać i wniknąć w moją sytuację - odezwał się cichym i jeszcze nieco drżącym ze zdenerwowania głosem. - Odepchnięty przez wszystkich, zwracam się do pana. Antoni Antonowiczu. Dotychczas nie jestem pewien, co znaczą słowa Andrzeja Filipowicza. Niech mi je pan wyjaśni, jeśli łaska...

- W swoim czasie wszystko się wyjaśni - surowo i dobitnie odparł Antoni Antonowicz i jak wydało się panu Go-ladkinowi, z taką miną, która wyraźnie świadczyła, że Antoni Antonowicz bynajmniej nie życzy sobie prowadzić dalej rozmowy. - Dowie się pan wkrótce wszystkiego. Jeszcze dzisiaj będzie pan urzędowo powiadomiony.

- Co to znaczy: urzędowo. Antoni Antonowiczu? Dlaczego właśnie urzędowo ? - nieśmiało spytał nasa bohater.

- Nie nam z panem o tym sądzić, Jakubie Pietrowiczu, jeśli decyduje zwierzchnictwo.

- Dlaczego zaraz zwierzchnictwo. Antoni Antonowiczu?- pytał pan Goladkin, jeszcze bardziej onieśmielony - dlaczego zwierzchnictwo? Nie widzę powodu, by tu trzeba było niepokoić zwierzchnictwo. Antoni Antonowiczu... Pan może chce powiedzieć coś w związku z wczorajszym wydarzeniem, Antoni Antonowiczu?

- Ależ nie, nie w związku z wczorajszym wydarzeniem, tu coś innego u pana kuleje.

- Cóż znowu kuleje. Antoni Antonowiczu? Wydaje mi się. Antoni Antonowiczu, że nic u mnie nie kuleje.

- Aż kim to zamierzał pan być przebiegłym?-ostro ściał Antoni Antonowicz całkiem już zdetonowanego pana Goladkina. Pan Goladkin drgnął i zbladł jak chusta.

- Naturalnie, Antoni Antonowiczu - rzekł ledwo dosłyszalnym głosem - jeśli słuchać oszczerstw i dawać wiarę naszym wrogom, nie biorąc pod uwagę usprawiedliwień drugiej strony, to naturalnie... naturalnie. Antoni Antonowiczu, to istotnie można ucierpieć. Antoni Antonowiczu, ucierpieć niewinnie i za nic.
- Właśnie, właśnie, a nieprzyzwoity pański postępek, szkodzący reputacji panny z dobrego domu, z tej zacnej, szanowanej i znanej rodziny, która świadczyła panu dobrodziejstwa?
- Cóż to za postępek. Antoni Antonowiczu?
- Właśnie, właśnie. A wobec innej panny, chociaż biednej, lecz za to uczciwego cudzoziemskiego pochodzenia, też pan nie wie, jak pan postąpił?
- Pan pozwoli. Antoni Antonowiczu... pan raczy. Antoni Antonowiczu, wysłuchać...
- A pańskie wiarołomne postępowanie i oszczerstwo rzucone na inną osobę - oskarżenie innej osoby o to, w czym sam pan nagrzeszył? co? jak się to nazywa?
- Ja, Antoni Antonowiczu, nie wypędziałem go-rzekł dygocąc nasz bohater-i Pietrka, to znaczy mojego służącego, też nie uczyłem niczego podobnego... On jadł mój chleb. Antoni Antonowiczu, korzystał z mojej gościnności - dodał nasz bohater tak dosadnie i z głębokim wzruszeniem, aż zadrgał mu lekko podbródek, a łzy znowu cisnęły mu się do oczu.
- To pan tylko tak mówi, Jakubie Pietrowiczu, że on jadł pański chleb - odparł uśmiechając się Antoni Antono-wicz, a głos jego brzmiał tak obłudnie, że pana Goladkina aż drasnęło coś po sercu.
- Pan pozwoli. Antoni Antonowiczu, że jeszcze pana pokornie zapytam, czy jego ekscelencja wie o tej całej sprawie?
- Oczywiście! Zresztą niech mnie pan teraz puści. Nie mam teraz dla pana czasu... Jeszcze dziś dowie się pan o wszystkim, co winien pan wiedzieć.
- Na Boga, pan pozwoli, jeszcze chwilkę. Antoni Antonowiczu...
- Później pan opowie...
- Nie, Antoni Antonowiczu, ja, widzi pan, niech pan tylko posłucha. Antoni Antonowiczu... Ja całkiem nie wolno-

myślnie. Antoni Antonowiczu, ja brzydzę się wolnomyślnością, jeśli chodzi o mnie, to jestem całkowicie gotów i nawet przyszło mi na myśl...

- Dobrze, dobrze. Słyszałem już...

- Nie, tego pan nie słyszał. Antoni Antonowiczu. To co innego. Antoni Antonowiczu, to miło, doprawdy miło i przyjemnie słyszeć... ja dopuszczałem już, jak to wyjaśniłem powyżej, myśl. Antoni Antonowiczu, że oto Opatrzność boska stworzyła dwóch ludzi zupełnie podobnych do siebie, a łaskawe zwierzchnictwo widząc w tym rękę Opatrzności dało schronienie dwóm bliźniakom. To przecież dobrze. Antoni Antonowiczu. Pan widzi, że to bardzo dobrze. Antoni Antonowiczu, i że jestem jak najdalej od wolnomyślności. Uznaję łaskawe zwierzchnictwo za ojca. Tak i tak, że niby łaskawe zwierzchnictwo, a pan tego... że niby... młody człowiek musi pracować na urzędzie... Niech mnie pan poprze. Antoni Antonowiczu, niech się pan wstawi za mną. Antoni Antonowiczu... Ja nic takiego... Antoni Antonowiczu, na Boga, jeszcze jedno słówko... Antoni Antonowiczu...

Ale Antoni Antonowicz był już daleko od pana Goladkina... Nasz bohater nie wiedział, gdzie stał, co słyszał, co robił, co się z nim działo i co się jeszcze będzie z nim działo - tak przygnębiło go i wstrząsnęło nim wszystko, co słyszał i co się z nim wydarzyło.

W tłumie urzędników błagalnym spojrzeniem szukał Antoniego Antonowicza, aby się jeszcze bardziej usprawiedliwić w jego oczach i powiedzieć mu o sobie coś nader lojalnego i nader szlachetnego oraz miłego... Zresztą powoli poprzez zmieszanie pana Goladkina zaczęło się przebijać nowe światło, nowe okropne światło, które nagle rozjaśniło przed nim całą perspektywę całkiem dotychczas nie znanych, a nawet nigdy nie branych pod uwagę okoliczności... W tej samej chwili ktoś trącił w bok naszego całkiem zmieszanego bohatera. Obejrzał się. Przed nim stał Pisarienko.

- List, wielmożny panie.

- A!... Poszedłeś już po list, mój kochany?

- Nie, to jeszcze dziś rano o dziesiątej tu przyniesiono. Sergiusz Michiejew, woźny, przyniósł z mieszkania sekretarza gubernialnego Wachramiejewa.

- Dobrze, przyjacielu, dobrze, odwdzięczę ci się, mój kochany.

To powiedziawszy pan Goladkin schował list do bocznej kieszeni surduta i zapiał surdut na wszystkie guziki; potem rozejrzą! się dokoła i ku swemu zdumieniu zauważył, że znajduje się już w sieni departamentu, w grupce urzędników, którzy stłoczyli się przed wyjściem, urządowanie bowiem się skończyło. Pan Goladkin nie tylko dotychczas nie zauważył tej okoliczności, ale nawet nie zauważył i nie pamiętał, w jaki sposób nagle znalazł się w płaszczu, w kaloszach i trzymał w ręku swój kapelusz. Wszyscy urzędnicy stali bez ruchu w pełnym szacunku oczekiwaniu. Rzecz polegała na tym, że jego ekscelencja czekając na swój z jakiegoś tam powodu spóźniony powóz zatrzymał się na dolnym podeście schodów i prowadził nader interesującą rozmowę z dwoma radcami i z Andrzejem Filipowiczem. Nieco opodal od dwóch radców i Andrzeja Filipowicza stał Antoni Antonowicz Sietoczkin i kilku innych urzędników, którzy przyjemnie się uśmiechali widząc, że jego ekscelencja raczy śmiać się i żartować. Stłoczeni na szczycie schodów również uśmiechali się i czekali, aż jego ekscelencja znów się roześmieje. Nie uśmiechał się jedynie Fiedosieicz, portier z wielkim brzuchem, który wyprostowany jak struna trzymał klamkę drzwi i z niecierpliwością oczekiwał porcji swej codziennej przyjemności polegającej na tym, aby jednym zamachem ręki szeroko otworzyć jedno skrzydło drzwi, a potem, zgiąwszy się w kabłąk, z szacunkiem przepuścić koło siebie jego ekscelencję. Ale najbardziej zapewne cieszył się i odczuwał zadowolenie niegodny i niewdzięczny wróg pana Goladkina. Zapomniał nawet w tej chwili o wszystkich urzędnikach, przestał nawet swoim podłym zwyczajem wiercić się i dreptać między nimi, zapomniał nawet o tym, aby korzystając z okazji podlizać się komuś w tej chwili. Zmienił się cały w słuch i wzrok, jakoś się dziwnie skulił, zapewne po to, aby wygodniej było słuchać nie spuszczać wzroku z jego ekscelencji, i tylko od czasu do czasu jego rękami, nogami i głową wstrząsały jakieś ledwo dostrzegalne drgawki ujawniając wszystkie wewnętrzne utajone poruszenia jego duszy.

„Ale go trzęsie! - pomyślał nasz bohater. - W łaski chce się wkraść, szubrawiec! Chciałbym też wiedzieć, czym to on

tak wszystkich ujmuje w eleganckim towarzystwie? Ani rozumu, ani charakteru, ani wykształcenia, ani wycucia; ma szczęście, łajdak! Mój ty Boże! Pomyśleć tylko, jak to szybko człowiek może iść w górę i znaleźć uznanie u wszystkich! I zajdzie, i zajdzie daleko, przysięgam, że zajdzie ten łajdak, dogramoli się - ma łajdak szczęście! Chciałbym też wiedzieć, co właściwie on im wszystkim wszeptuje? Jakież to ma sekrety z tymi wszystkimi ludźmi i o jakich tajemnicach rozmawiają? Mój ty Boże! Gdybym to ja tak tego... i też z nimi troszeczkę... że niby tak i tak, może by go poprosić... że niby tak i tak, że już więcej nie będę; że niby' to moja wina, a młody człowiek, wasza ekscelencjo, musi w naszych czasach pracować w urzędzie; a te moje ciemne okoliczności bynajmniej mnie nie krępują - właśnie tak! Protestować w jakiś tam sposób też nie będę i wszystko zniosę z cierpliwością i pokorą - właśnie tak! Może by w ten sposób postąpić? Ale ten łajdak niczym się nie przejmie, żadnymi perswazjami do niego się nie trafi; rozumu w ten jego zakuty łeb wbić nie można... A zresztą spróbujemy. Może się zdarzyć, że trafię na dobrą chwilę, trzeba spróbować..."

Pełen niepokoju, smutku i zaambarasowania, czując, że tak nie można pozostawać, że przychodzi decydująca chwila, że trzeba przecież komuś wszystko wyjaśnić, nasz bohater zaczął powoli przesuwać się ku miejscu, gdzie stał jego niegodny i zagadkowy przyjaciel, ale w tej samej chwili przed gankiem zaturkotał dawno wyczekiwany powóz jego ekscelencji. Fiedosiecz szarpnął drzwi i zgięty w pałąk przepuścił koło siebie jego ekscelencję. Wszyscy oczekujący runęli naraz do wyjścia i na krótką chwilę odepchnęli pana Goladkina-starszego od pana Goladkina-młodszego. „Nie wymkniesz mi się!” - mówił nasz bohater przedzierając się przez tłum i nie spuszczać wzroku z kogo należało. Wreszcie tłum się rozstał. Nasz bohater poczuł się wolny i pobiegł pędem w pogoń za swoim nieprzyjacielem.

ROZDZIAŁ XI

Panu Goladkinowi zatykało oddech w piersi; jak na skrzydłach leciał za swoim szybko oddalającym się wrogiem. Czuł w sobie przyływ straszliwej energii, zresztą, pomimo przy-

901

ływu straszliwej energii, pan Goladkin mógł się śmiało spodziewać, że w tej chwili nawet zwyczajny komar, gdyby tylko zdołał przy takiej aurze żyć w Petersburgu, niesłychanie łatwo przetrząciłby go skrzydełkiem. Czuł przy tym, że oklapł i osłabł do reszty, że pcha go jakaś całkiem osobliwa i postronna siła, że wcale nie idzie sam przez się, przeciwnie, że nogi się pod nim uginają i odmawiają posłuszeństwa. Zresztą wszystko to mogłoby jeszcze obrócić się na lepsze. „Na lepsze czy nie na lepsze - myślał pan Goladkin tracąc prawie oddech z szybkiego biegu - ale teraz nie ma już najmniejszej wątpliwości, że sprawa jest przegrana; wiadomo już, orzeciono, postanowiono i podpisano, że zginąłem z kretesem.” Pomimo to nasz bohater jak gdyby powstał z martwych, jak gdyby wygrał batalię, jak gdyby odniósł zwycięstwo w chwili, gdy udało mu się pochwycić za płaszcz swego nieprzyjaciela, który stawiał już nogę na stopniu zgodzonej dokądś przed chwilą dorożki. - Łaskawy panie! łaskawy panie - zawołał dopędziwszy wreszcie nieszlachetnego pana Goladkina-młodszego. - Łaskawy panie, spodziewam się, że pan...

- Nie, niech się pan już raczej niczego nie spodziewa - wymijająco odparł nieczuły nieprzyjaciel pana Goladkina, stojąc jedną nogą na stopniu dorożki, a drugą z całych sił usiłując trafić na drugą stronę pojazdu, na próżno wymachując nią w powietrzu, usiłując zachować równowagę, a jednocześnie ze wszystkich sił starając się wyrwać z rąk pana Goladkina— starszego swój płaszcz, za który ten uchwycił ze wszystkimi danymi mu przez naturę siłami.

- Jakubie Pietrowiczu! tylko dziesięć minut...

- Pan wybaczy, nie mam czasu.

- Sam pan przyzna, Jakubie Pietrowiczu... proszę, Jakubie Pietrowiczu... na miły Bóg, Jakubie Pietrowiczu... tak i tak - chcę wyjaśnić... szczerze i odważnie... Na sekundkę, Jakubie Pietrowiczu!...

- Nie mam czasu, serdeńko - odparł z nieuprzejmą poufałością, ale z pozorami serdeczności fałszywie szlachetny nieprzyjaciel pana Goladkina - innym razem, proszę mi wierzyć, z całego serca, ale teraz - no, doprawdy nie mogę.

„Łajdak!” - pomyślał nasz bohater.

- Jakubie Pietrowiczu! - zawołał żałośnie - nte byłem nigdy pańskim wrogiem. Żli ludzie

falszywie mnie odmalo-

wali... Gotów jestem ze swojej strony... Jakubie Pietrowiczu, czy nie zgodzi się pan, żebyśmy gdzieś teraz wstąpili?... I tam z całego serca, jak słusznie pan przed chwilą zauważył, prostym i szczerym językiem... o, do tej kawiarni: wtedy wszystko wyjaśni się samo przez się-wie pan, Jakubie Pietrowiczu! Wtedy niewątpliwie wszystko wyjaśni się samo przez się...

- Do kawiarni? Dobrze. Nie mam nic przeciwko temu, wstąpmy do kawiarni, pod jednym tylko warunkiem, moje słoneczko, pod jednym warunkiem - że tam wszystko wyjaśni się samo przez się, bo to niby tak i tak, serdeńko - rzekł pan Goladkin-młodszy schodząc ze stopnia dorożki i bezwstydnie poklepując naszego bohatera po ramieniu - przyjacielu mój; dla ciebie, Jakubie Pietrowiczu, gotów jestem iść boczną uliczką (jak to słusznie pan, Jakubie Pietrowiczu, raczył w swoim czasie zauważyć). Ale z pana kawalarz, robi pan z człowiekiem wszystko, co się panu podoba! - ciągnął fałszywy przyjaciel pana Goladkina, wiercąc się i uwijając koło niego z lekkim uśmieszkiem.

Oddalona od głównych ulic kawiarnia, do której weszli obaj panowie Goladkinowie, była w tej chwili zupełnie pusta. Jak tylko zadzwonił dzwonek, za ladą zjawiała się dosyć tęga Niemka. Pan Goladkin i jego niegodny nieprzyjaciel weszli do drugiego pokoju, gdzie pucołowaty i krótko ostrzyżony chłopak guzdral się z wiązką drew przy piecu usiłując wzniecić w nim wygasły ogień. Na żądanie pana Goladkina-młodszego podano czekoladę.

- Ale apetyczna kobietka - odezwał się pan Goladkin-

-młodszy po szelmowsku mrugnawszy do pana Goladkina-

-starszego.

Nasz bohater zarumienił s»ę i zmilczał.

- A prawda, zapomniałem, przepraszam. Znam pański gust. Nas, łaskawco, kuszą chudziutki Niemeczki, my, serce ty moje, Jakubie Pietrowiczu, mamy apetyt na »zczuplutkie, choć jeszcze nie pozbawione wdzięków Niemeczki; mieszkania u nich wynajmujemy, na moralność ich robimy zakusy, za fcier-zupę i za milch-zwp^ ofiarujemy im nasze serce i różne podpisy dajemy - proszę, czym to my się zajmujemy, Fau-blasie jeden, zdrajco jeden!

Wszystko to pan Goladkin-młodszy powiedział robiąc w ten sposób całkowicie niepotrzebną, choć zresztą łajdacko chytrą aluzję do wiadomej osoby płci żeńskiej, uwijając się

koło pana Goladkina, uśmiechając się do niego z pozorami uprzejmości, fałszywie okazując w ten sposób życzliwość dla niego i radość ze spotkania z nim. Zauważywszy zaś, że pan Goladkin-starszy nie jest bynajmniej tak głupi i bynajmniej nie jest wyzbyty wykształcenia i wytwornych manier, aby mu od razu uwierzyć, ten nieszlachetny człowiek postanowił zmienić taktykę i poprowadzić sprawę otwarcie. Wypowiedziawszy tę nikczemność, obłudny pan Goladkin z oburzającym bezwstydem i poufałością poklepał solidnego pana Goladkina po ramieniu i nie zadowolony się tym zaczął z nim igrać w sposób wręcz niedopuszczalny w towarzystwie o dobrych manierach, a mianowicie zdecydował się powtórzyć swoją uprzednią nikczemność, to znaczy, pomimo oporu i lekkich okrzyków oburzonego pana Goladkina-starszego, uszczypnął go w policzek. Na widok takiego rozwydrzenia nasz bohater zawrzał oburzeniem i zmilczał... zresztą do czasu.

- Taka jest opinia moich wrogów - odrzekł wreszcie drżącym głosem, hamując się rozważnie. Jednocześnie nasz bohater oglądał się niespokojnie na drzwi. Chodziło o to, że pan Goladkin-młodszy był niezawodnie w doskonałym humorze i gotów był puścić się na różne dowcipy niedopuszczalne w miejscu publicznym, a mówiąc ogólnie - niedopuszczalne według przepisów światowych, zwłaszcza w wytwornym towarzystwie.

- No to w takim razie, jak pan sobie chce - poważnie odpowiedział pan Goladkin-młodszy na myśl pana Goladkina-starszego i postawił na stole swą pustą, wypitą z nieprzyzwoitą łapczywością filiżankę. - No, nie mam tu z panem nic do roboty, zresztą... No, jakże się teraz panu powodzi, Jakubie Pietrowiczu?

- Jedno tylko mogę panu powiedzieć, Jakubie Pietrowiczu - z godnością i z zimną krwią odrzekł nasz bohater - że nigdy nie byłem pańskim wrogiem.

- Hm... no, a Pietrek? Jak mu tam? Zdaje się, że Pie-trek?-no tak! Co, jak się miewa? dobrze? po dawnemu?

- I on również po dawnemu, Jakubie Pietrowiczu - odrzekł nieco zdumiony pan Goladkin-starszy. - Nie wiem, Jakubie Pietrowiczu... jeśli chodzi o mnie... o człowieka szlachetnego, szczerego, Jakubie Pietrowiczu, to sam się pan zgodzi, Jakubie Pietrowiczu...

- Tak jest. Ale sam pan wie, Jakubie Pietrowiczu - odpowiedział cichym a dobitnym głosem pan Goladkin-młodszy udając w ten sposób smutnego, pełnego skruchy i żalu przyzwoitego człowieka-sam pan wie, że czasy są ciężkie... Zdam się na pana, Jakubie Pietrowiczu, jest pan człowiekiem mądrym i oceni pan sprawiedliwie - wtrącił pan Goladkin-młodszy podle przypodchlebiając się panu Goladkinowi-star-szemu. - Życie to nie zabawka - sam pan wie, Jakubie Pietrowiczu - zakończył wieloznacznie pan Goladkin-młodszy udając w ten sposób człowieka mądrego i uczonego, który potrafi mówić na wzniosłe tematy.

- Jeśli chodzi o mnie, Jakubie Pietrowiczu - odrzekł z zapałem nasz bohater - jeśli chodzi o mnie, to gardząc krętymi ścieżkami i mówiąc śmiało a otwarcie, mówiąc językiem prostym, szlachetnym i stawiając całą sprawę na płaszczyźnie szlachetności, powiem, a mogę mówić otwarcie i twierdzić z całą szlachetnością serca, Jakubie Pietrowiczu, że jestem całkowicie czysty i że sam pan .wie, Jakubie Pietrowiczu, obopólne nieporozumienie - wszystko to może być opinią świata, mniemaniem niewolniczego tłumu... Mówię otwarcie, Jakubie Pietrowiczu, że wszystko to być może. Dodam jeszcze, Jakubie Pietrowiczu, że jeśli sądzić w ten sposób, jeśli patrzeć na sprawę ze szlachetnego i wzniosłego punktu widzenia, to śmiało mogę powiedzieć, mogę powiedzieć bez fałszywego wstydu, Jakubie Pietrowiczu, że nawet mi sprawi przyjemność wyznać, iż się myliłem, będzie mi nawet przyjemnie przyznać się do tego. Sam pan wie, jest pan człowiekiem mądrym, a ponadto szlachetnym. Bez wstydu, bez fałszywego wstydu gotów jestem przyznać się do tego... -z godnością i dumą zakończył nasz bohater.

- Fatum, los! Jakubie Pietrowiczu... ale zostawmy to wszystko - rzekł z westchnieniem pan Goladkin-młodszy. - Użyjmy raczej krótkich chwil naszego spotkania na przyjemniejszą i pożyteczniejszą rozmowę, jak przystoi dwóm kolegom biurowym... Doprawdy nie udawało mi się jakoś zamienić z panem dwóch słów przez ten cały czas... To nie moja wina, Jakubie Pietrowiczu...

- I nie moja - z zapałem przerwał mu nasz bohater - i nie moja! Serce mi powiada, Jakubie Pietrowiczu, że nie ja jestem winien temu wszystkiemu. Musimy to wszystko zwalić

na los, Jakubie Pietrowiczu - dodał pan Goladkin-starszy całkiem już pojednawczym tonem. Głos jego zaczął stopniowo słabnąć i drżeć.

- No co? Jak się pan w ogóle czuje ze zdrowiem? - spytał słodkim głosem brat marnotrawny.

- Pokaszuję trochę - jeszcze słodszy głosem odpowiedział nasz bohater.

- Niech pan uważa. Panują teraz takie wiatry, że łatwo złapać anginę, i przyznam się panu, że

jeśli chodzi o mnie, to zacznym już owijać szyję flanelą.

- Ma pan rację, Jakubie Pietrowiczu, łatwo złapać anginę... Jakubie Pietrowiczu! - odezwał się po chwili milczenia nasz bohater. - Jakubie Pietrowiczu! Widzę, że się myliłem... Wspominam z rozrzewnieniem te szczęśliwe chwile, które udało się nam spędzić razem pod biednym, ale, ośmielę się powiedzieć, moim gościnnym dachem...

- W swoim liście nie to pan jednak napisał - z niejakim wyrzutem powiedział nader sprawiedliwy (zresztą jedynie pod tym względem nader sprawiedliwy) pan Goladkin-młodszy.

- Myliłem się, Jakubie Pietrowiczu... Teraz widzę jasno, że się myliłem również w tym nieszczęsnym moim liście. Jakubie Pietrowiczu, patrząc na pana mam wyrzuty sumienia, Jakubie Pietrowiczu, pan nie uwierzy... Niech mi pan da ten list, abym go w pańskich oczach podarł, Jakubie Pietrowiczu, a jeśli to już nie jest możliwe, to błagam, niech pan czyta go na odwrót - absolutnie na odwrót, to znaczy od razu z przyjaznym nastawieniem, nadając odwrotny sens wszystkim słowom mego listu. Myliłem się. Niech mi pan wybaczy, Jakubie Pietrowiczu, ale ja się absolutnie... głęboko się myliłem, Jakubie Pietrowiczu.

- Tak pan mówi? - z pewnym roztargnieniem i dość obojętnie zapytał wiarołomny przyjaciel pana Goladkina-star-szego.

- Mówię, że się całkowicie myliłem, Jakubie Pietrowiczu, i że ze swojej strony absolutnie bez fałszywego wstydu...

- Ano, to dobrze! To bardzo dobrze, że pan się mylił- brutalnie odrzekł pan Goladkin-młodszy.

- Miałem nawet, Jakubie Pietrowiczu, pewną myśl - dodał w sposób szlachetny nasz szczerzy bohater, całkiem nie dostrzegając okropnego wiarołomstwa swego fałszywego przy-

jaciela - miałem nawet pewną myśl, że to niby przyszło na świat dwóch ludzi całkowicie do siebie podobnych...

- O, to jest pańska myśl!... ·

Tu znany ze swego łajdactwa pan Goladkin-młodszy wstał i chwycił za kapelusz. Wciąż jeszcze nie uświadamiając sobie podstępu, wstał również pan Goladkin-starszy, prostodusznie i godnie uśmiechając się do swego przyjaciela i starając się w swej naiwności przygarnąć go, ośmielić i w ten sposób nawiązać z nim na nowo przyjaźń...

- Żegnam waszą ekscelencję! - zawołał nagle pan Goladkin-młodszy. Bohater nasz zadrżał, dostrzegłszy w twarzy swojego wroga coś aż bachicznego i jedynie po to, aby się odczepić, wetknął w wyciągniętą do niego dłoń wyzbytego skrupułów człowieka dwa palce swojej dłoni, ale tu... tu bezczelność pana Goladkina-młodszego przekroczyła wszelkie granice. Chwyciwszy dwa palce pana Goladkina-starszego i najpierw je uściskał, ten niegodny, w tej samej chwili, na oczach pana Goladkina, odważył się powtórzyć swój poranny bezwstydną kawał. Wyczerpała się miara cierpliwości ludzkiej.

Chował już do kieszeni chustkę, którą wytarł palce, gdy pan Goladkin-starszy opamiętał się i pobiegł za nim do sąsiedniego pokoju, dokąd swym wstrętnym zwyczajem natychmiast wyniknął się jego nieprzejednany wróg, który jak gdyby nigdy nic stał sobie przy ladzie, zajadał pierożki i najspokojniej w świecie, jak przyzwoity człowiek, prawił miłe słówka Niemce, właścicielce cukierni. „Nie można przy paniach” - pomyślał nasz bohater i również zbliżył się do lady, nieprzytomny ze wzburzenia.

- A faktycznie kobiecinka niczego sobie! Jak pan sądzi? - zaczął znowu swoje nieprzyzwoite dowcipy pan Goladkin-młodszy licząc zapewne na bezgraniczną cierpliwość pana Goladkina. Jeśli chodzi o grubą Niemkę, to patrzyła na obu swoich klientów ołowianym, bezmyślnym wzrokiem; zapewne nie rozumiała po rosyjsku i uśmiechała się uprzejmie. Nasz bohater, słysząc słowa bezwstydного pana Goladkina-młodszego, zapłonął jak ogień i nie panując już nad sobą rzucił się wreszcie na niego z wyraźnym zamiarem, aby go rozszarpać i w ten sposób ostatecznie z nim skończyć; ale pan Goladkin-młodszy zgodnie ze swym podłym zwyczajem był już daleko:

dał nogę, był już na ganku. Rozumie się samo przez się, że

po chwili nagiego osłupienia pan Goladkin-starszy opamiętał się i co sił pobiegł za swoim krzywdzicielem, który wsiadał już do czekającej dorożki, zgodzonej zapewne na wszelki wypadek. Ale w tej samej chwili gruba Niemka widząc ucieczkę obu klientów pisnęła i z całej siły zadzwoniła swoim dzwoneczkiem. Bohater nasz odwrócił się, niemal w biegu rzucił jej pieniądze za siebie i za tego bezczelnego człowieka, który nie zapłacił, i nie czekając na wydanie reszty, choć stracił nieco czasu, zdążył jednak, jakkolwiek znów w -biegu, dopaść swego nieprzyjaciela. Uchwyciwszy się wszystkimi danymi mu przez naturę siłami błotnika dorożki, nasz bohater przez pewien czas pędził ulicą wdrapując się do pojazdu, odpychany z całej siły przez pana Goladkina-młodszeo. Jednocześnie dorożkarz zarówno batem, jak i lejcami, zarówno nogą, jak i słowami poganiał swą zajeżdżoną szkapę, która całkiem niespodziewanie popędziła kłusem przygryzając wędzidła i co trzeci krok wierzgając, jak to miała we zwyczaju, tylnymi nogami. Wreszcie nasz bohater zdołał jednak umieścić się w dorożce twarzą do swego nieprzyjaciela, plecami opierając się o plecy dorożkarza, kolanami o kolana łajdaka, a prawą ręką ze wszystkich sił wczepiwszy się w nędzny futrzany kołnierz u płaszcza swego rozwydrzonego i tak bardzo zajadłego wroga...

Wrogowie pędzili i przez pewien czas milczeli. Nasz bohater z trudem łapał oddech; droga była okropna i pan Goladkin-starszy raz po raz podskakiwał na siedzeniu narażając się każdej chwili na skręcenie karku. Ponadto jego rozwścieczony wróg wciąż jeszcze nie uznawał się za pokonanego i usiłował zepchnąć swego przeciwnika w błoto. Na domiar wszystkich tych przykrości pogoda była okropna. Śnieg walił wielkimi płatami i ze swej strony również wszelkimi sposobami usiłował dostać się pod rozpięty płaszcz prawdziwego pana Goladkina. Dokoła było ciemno choć oko wykol. Trudno było zdać sobie sprawę, dokąd tak pędzą i jakimi ulicami... Papu Goladkinowi wydało się, że dzieje się z nim coś dziwnie mu znajomego. Przez krótką chwilę usiłował przypomnieć sobie, czy czegoś podobnego nie przeczuł już wczoraj... na przykład we śnie... Wreszcie męka jego doszła do szczytu - niemal do agonii. Wparł się w swego nielitościwego przeciwnika i zaczął krzyczeć. Ale krzyk zamierał mu na wargach... Była chwila, gdy pan Golad-kin zapomniał o wszystkim i zdecydował, że wszystko to nic

takiego, że to tylko tak sobie, że dzieje się to tak sobie, w sposób niewyjaśniony i że wobec tego protestować byłoby rzeczą zbędną, całkowicie zbyteczną... Ale nagle, i to prawie w tej samej chwili, gdy nasz bohater dochodził do tego wniosku, jakieś nieostrożne szarpnięcie odmieniło cały bieg sprawy. Pan Goladkin jak worek mąki wywalił się z dorożki i gdzieś się stoczył, zupełnie słusznie uświadamiając sobie w chwili upadku, że istotnie dość nie w porę się uniósł. Zerwawszy się wreszcie na nogi, dostrzegł, dokąd przyjechali; dorożka stała na środku czyjś podwórza i nasz bohater na pierwszy rzut oka dostrzegł, że jest to podwórze domu, gdzie mieszka Ołsufij Iwanowicz. W tej samej chwili dostrzegł, że jego przyjaciel wchodzi już na ganek, zapewne do Ołsufia Iwanowicza. Pełen niewymownej rozpacz, skoczył był, aby dogonić swego nieprzyjaciela, ale na szczęście rozważnie w porę się opamiętał. Nie zapomniawszy zapłacić dorożkarzowi, pan Goladkin wybiegł na ulicę i pobiegł co sił, gdzie oczy poniosą. Śnieg jak przedtem walił grubymi płatami; jak przedtem było mglisto, mokro i ciemno. Bohater nasz nie szedł, lecz leciał, przewracając wszystkich po drodze - mężczyzn, baby i dzieci, i sam z kolei odskakując od bab, mężczyzn i dzieci. Wokoło i w ślad za nim słychać było lęklawy gwar, pisk, krzyki... Ale pan Goladkin był najwidoczniej nieprzytomny i na nic nie zwracał uwagi... Opamiętał się zresztą już przy moście Siemionowskim, a i to jedynie dlatego, że jakoś niezręcznie potracił i przewrócił dwie baby niosące jakieś tam towary i sam przewrócił się wraz z nimi. „To nie takiego - pomyślał pan Goladkin - wszystko to jeszcze może mi się obrócić na dobre” - i od razu wsadził rękę do kieszeni pragnąc srebrnym rublem pozbyć się pretensji o rozsypane pierniki, jabłka, groch i różne różności. Wtem nowe światło spłynęło na pana Goladkina;

w kieszeni namacał list, który mu rano oddał pisarz. Przypomniawszy sobie przy okazji, że zna tutaj niedaleko pewną knajpę, wszedł do niej, natychmiast usiadł przy stoliku oświetlonym łojową świeczką i nie zwracając na nic uwagi, nie słysząc kelnera, który zjawił się po zamówienie, złamał pieczęć i zaczął czytać, co następuje, a co już go zaskoczyło ostatecznie:

„Szlachetny, za mnie cierpiący

i na wieki sercu mojemu miły człowieku!

Cierpię, ginę-ocal mnie! Oszczyerca, intrygant i człowiek

znany ze swego niecnego nastawienia omotał mnie w swoje sied i jestem stracona! Upadlam! Ale on jest mi wstrętny, a Ty!... Rozłączono nas, przechwytywano moje listy do Ciebie - a wszystko to uczynił ten nieobyczajny człowiek wykorzystawszy jedyną swoją dobrą cechę - podobieństwo do Ciebie. Wszakże można być nieładnym, ale czarować umysłem, silnymi uczuciami i wytwornymi

manierami... Ginę! Wydają mnie siłą za mąż, a najbardziej intryguje tu mój ojciec, mój dobrodziej i radca stanu Olsufij Iwanowicz, pragnąc zapewne zająć moje miejsce i moje stosunki w wytwornym towarzystwie... Ale ja się już zdecydowałam i protestuję wszystkimi danymi mi przez naturę siłami. Czekać na mnie ze swoją karetą dzisiaj, punktualnie o dziesiątej pod oknami mieszkania Olsufia Iwanowicza. U nas znów będzie bal i będzie przystojny porucznik. Wyjdę i uciekniemy. Istnieją przecież inne instytucje, gdzie jeszcze można przynosić pożytek ojczyźnie. W każdym razie pamiętaj, przyjacielu, że niewinność mocna jest już przez swoją niewinność. Żegnaj. Czekać z karetą przed podjazdem. Rzucę się w Twoje opiekuńcze ramiona punktualnie o drugiej po północy.

Twoja do grobu Klara Olsufiewna” Przeczytawszy list bohater nasz przez kilka minut trwał w osłupieniu. W straszliwym napięciu, w okropnym zdenerwowaniu, blady jak chusta, z listem w ręku kilka razy przeszedł się po pokoju. Na domiar swoich nieszczęść nasz bohater nie zauważył, że stał się w tej chwili przedmiotem wyłącznej uwagi wszystkich znajdujących się w pokoju. Zapewne nieład jego stroju, niepohamowane wzburzenie, chodzenie, czy też raczej bieganie po sali, gestykulacja obu rękami, a może i kilka zagadkowych słów wypowiedzianych na wiatr i nieświadomie - zapewne wszystko to bardzo źle wpłynęło na opinię obecnych o panu Goladkinie i nawet kelner zaczął popatrywać na niego podejrzliwie. Nasz bohater, gdy się ocknął, spostrzegł, że stoi pośrodku pokoju i w sposób prawie nieprzyzwoity i nieuprzejmy patrzy na pewnego staruszka o bardzo szanownym wyglądzie, który posiliwszy się i pomodliwszy przed ikoną, usiadł z powrotem na swoim miejscu i również nie spuszczał wzroku z pana Goladkina. Nasz bohater niespokojnie rozejrzał się dokoła i zauważył, że wszyscy,

dosłownie wszyscy, patrzą na niego z minami nader złowrogimi i podejrzanymi. Wtem pewien dymisjonowany wojskowy z czerwonym kołnierzem głośno zażądał „Gazety Policyjnej”⁸. Pan Goladkin drgnął i zarumienił się: przypadkiem jakoś spuścił oczy i ujrzał, że był w tak nieprzyzwoitym stroju, że nawet u siebie w domu nie wypadaloby mu tak chodzić, cóż dopiero w miejscu publicznym. Buty, spodnie i cały lewy bok były okropnie obłocone, strzemionko u prawej nogawki zerwane, a frak podarty w wielu miejscach. Niewymownie zgnębiony, nasz bohater podszedł do stołu, przy którym czytał list, i ujrzał, że zbliża się do niego służący i ma jakiś dziwny i beczelnie natarczywy wyraz twarzy. Zmieszany i całkowicie zdetonowany, nasz bohater zaczął patrzeć na stół, przy którym teraz siedział. Na stole stały nie sprzątnięte po czymś obiedzie talerze, leżała zbrudzona serwetka i dopiero co używane widelec, nóż i łyżka. „Któż tu jadł obiad? - pomyślał nasz bohater. - Czyżby to ja? Wszystko być może! Zjadłem i nawet nie zauważyłem; co teraz robić?” Podniósłszy wzrok pan Goladkin ujrzał obok siebie kelnera, który chciał mu coś powiedzieć.

- Ile się należy? - zapytał nasz bohater drżącym głosem. Dokoła pana Goladkina rozległ się głośny śmiech; uśmiechnął się nawet kelner. Pan Goladkin zrozumiał, że i tu się naciął i zrobił jakieś straszne głupstwo. Zrozumiawszy to wszystko, zmieszał się tak, że musiał sięgnąć do kieszeni po chustkę, zapewne tylko po to, aby coś zrobić i nie stać w ten sposób, ale ku nieopisanemu swemu i wszystkich otaczających zdumieniu wyciągnął zamiast chustki buteleczkę z jakimś lekarstwem, które mu cztery dni temu zapisał Kristian Iwanowicz. „Medykamenty w tej samej aptece” - przemknęło przez myśl pana Goladkina... Nagle zadrżał i omal nie krzyknął z przerażenia. Spływało nowe światło... Ciemnoczerwony wstrętny płyn złowrogim odbłaskiem błysnął przed oczami pana Goladkina... Fiolka wysliznęła mu się z rąk i stłukła się natychmiast. Bohater nasz krzyknął i odskoczył ze dwa kroki w tył od rozlanego płynu... Drżał na całym cieple, a pot wystąpił mu na skroniach i na czole. „A więc życie jest w niebezpieczeństwie!” Tymczasem w pokoju zrobił się ruch, zamieszanie; wszyscy otoczyli pana Goladkina, wszyscy coś mówili do pana Goladkina, niektórzy nawet szarpali pana

Goladkina. Ale bohater nasz pozostawał niemy i nieruchomy, nic nie widząc, nic nie słysząc, nic nie czując... Wreszcie, jak gdyby pchnięty jakąś siłą, wybiegł z knajpy, roztrącił wszystkich, którzy usiłowali go zatrzymać, prawie nieprzytomny padł na siedzenie pierwszej dorożki, która mu się trafiła, i popędził do domu.

W sieni spotkał Michiejewa, woźnego z departamentu, z urzędowym pismem w ręku. „Wiem, przyjacielu, wszystko wiem - rzekł słabym, żalonym głosem nasz udręczony bohater-to oficjalne...” W piśmie rzeczywiście było podpisane przez Andrzeja Filipowicza polecenie, aby pan Goladkin przekazał znajdujące się w jego rękach akta Iwanowi Sie-mionowiczowi. Pan Goladkin wziął pismo i dał woźnemu dziesiątkę, a kiedy wszedł do swego mieszkania, ujrzał, że Pietrek przygotowuje i zbiera w jedną kupkę wszystkie swoje lachy i graty, wszystkie swoje rzeczy, zapewne w zamiarze

porzucenia pana Goladkina i przeniesienia się od niego do Karoliny Iwanowny, aby zastąpić jej Eustachego - widocznie Karolina Iwanowna go znęcała.

ROZDZIAŁ XII

Pietrek wszedł chwiejnym krokiem, zachowując się jakoś dziwnie niedbale, miał przy tym jakiś pokajski uroczysty wyraz twarzy. Widać było, że coś sobie zamyślił, uważał, że ma pełne do tego prawo, i czuł się człowiekiem zupełnie postronnym, to znaczy służącym kogo innego, bynajmniej nie dawnym służącym pana Goladkina.

- No więc widzisz, mój kochany - zaczął nasz bohater łapiąc oddech - która teraz godzina, mój kochany ?

Pietrek milcząc ruszył za przepierzenie, potem wrócił i dość niezależnym tonem oznajmił, że jest już blisko pół do ósmej.

- No dobrze, mój kochany, dobrze. No, widzisz, mój kochany... pozwól sobie powiedzieć, mój kochany, że między nami jest już, zdaje się, wszystko skończone.

Pietrek milczał.

- No, teraz gdy już wszystko między nami skończone, to powiedz mi szczerze, powiedz jak przyjacielowi, gdzieś ty był, bracie ?

- Gdzie byłem? U dobrych ludzi.

- Wiem, przyjacielu, wiem. Byłem z ciebie zawsze zadowolony, mój kochany, i dam ci świadectwo... No cóż, u nich jesteś teraz?

- Cóż, wielmożny panie! sam pan raczy wiedzieć. Wiadomo, dobry człowiek nie nauczy niczego złego.

- Wiem, mój kochany, wiem. Dziś dobrzy ludzie to rzadkość, przyjacielu; musisz ich cenić. No, jak oni tam?

- Wiadomo jak... Tylko że ja u pana, wielmożny panie, dłużej służyć już nie mogę; sam pan raczy wiedzieć.

- Wiem, mój kochany, wiem, znam twoją gorliwość;

wszystko widziałem, przyjacielu, wszystko zauważyłem. Szanuję cię, przyjacielu. Dobrego i uczciwego człowieka, choćby to był lokaj, zawsze szanuję.

- Cóż, wiadomo! My, służący, faktycznie, sam pan raczy wiedzieć, idziemy, gdzie lepiej. Tak już jest. Co mi tam! Wiadomo, wielmożny panie, wszędzie się znajdują dobrzy ludzie.

- Ko, dobrze, bracie, dobrze; ja to rozumiem... no, masz tu swoje pieniądze i swoje świadectwo. Teraz pocałujmy się, braciszku, pożegnajmy się... no, a teraz, mój kochany, poproszę cię o jedną przysługę, o ostatnią przysługę - rzekł pan Goladkin uroczystym tonem. - Widzisz, mój kochany, różnie to bywa. Nieszczęście, przyjacielu, znajduje schronienie również i w złotych pałacach i nigdzie przed nim nie można się skryć. Ty wiesz, przyjacielu, zdaje się, że zawsze byłem dla ciebie dobry...

Pietrek milczał.

- Zdaje się, że zawsze byłem dla ciebie dobry, mój kochany... No, ile mamy teraz bielizny, mój kochany?

- Jest wszystko. Koszul płóciennych sześć, skarpetek trzy pary, cztery półkoszulki, koszulka flanelowa, dolnej bielizny dwie pary. Sam pan wie, to wszystko. Ja, wielmożny panie, nie pańskiego... Ja, wielmożny panie, pilnuję pańskiego dobra. Ja z wielmożnym panem tego... wiadomo... a żeby tam coś - to nigdy, wielmożny panie, to już sam wielmożny pan

- Wierzę ci, przyjacielu, wierzę. Nie o tym mówię, przyjacielu, nie o tym; widzisz, jest taka sprawa, przyjacielu...

- Faktycznie, wielmożny panie, to już wiadomo. Gdy r.K-wski, l. III 913

służyłem jeszcze u generała Stołbniakowa, to jak mnie zwalniał, bo sam wyjeżdżał do Saratowa... wioskę tam ma pan generał...

- Nie, mój przyjacielu, nie o tym mówię; ja nic takiego... ty sobie czasem czego nie pomyśl, kochany przyjacielu...

- Wiadoma rzecz. Co się tyczy służby, to sam pan wie, łatwo posądzić człowieka. A ze mnie wszędzie byli zadowoleni. Byli zadowoleni ministrowie, generałowie, senatorowie, hrabiowie, wielmożny panie. U wszystkich służyłem, u księcia Swinczatkina, u pułkownika Pierieborkina, u generała Niedo-barowa - i też przychodzili, jeździli do mojej wioski. Wiadoma rzecz...

- Tak, przyjacielu, tak; dobrze, przyjacielu, dobrze. Widzisz, i ja teraz wyjeżdżam, przyjacielu... Każdemu, mój kochany, własna droga sądzona i nie wiadomo, na jaką drogę człowiek może trafić. No, przyjacielu, pomóż mi teraz się ubrać;

potem złożysz mój surdut... drugie spodnie, prześcieradła, kołdry, poduszki...

- Każe pan wszystko zawiązać w tobołek?

- Tak, przyjacielu, tak; chyba w tobołek... Kto wie, co się nam może przydarzyć. No, a teraz, mój kochany, pójdiesz i poszukasz karety...

- Karety?...

- Tak, przyjacielu, poszukasz karety, tylko żeby była dość duża i na dłuższy okres czasu. A ty sobie, przyjacielu, nie pomyśl czasem czegoś...

- A daleko pan chce jechać?

- Nie wiem, przyjacielu, tego też nie wiem. Pierzynę, myślę, też trzeba będzie tam położyć. Jak sądzisz, przyjacielu? Polegam na tobie, mój kochany.

- Czy już zaraz pan wyjeżdża?

- Tak, przyjacielu, tak! Zdarzyły się takie okoliczności... widzisz, tak właśnie jest, tak właśnie jest...

- Wiadoma rzecz, wielmożny panie; na przykład u nas w pułku porucznikowi to samo się zdarzyło; tamtejszemu dziedzicowi... porwał...

- Porwał?... Jakże to? Mój kochany, ty...

- Tak jest, porwał i pobrali się w innej wiosce, wszystko było z góry przygotowane. Była pogoń; tylko że się nieboszczyk księżę wtrącił do tego-no i jakoś załagodził całą sprawę...

- Pobrali się? Tak... a jakże ty, mój kochany? W jaki sposób ty o tym wszystkim wiesz, mój kochany?

- Ano, wiadomo, co tam! Słuchy chodzą po ludziach, wielmożny panie. My wszystko wiemy, wielmożny panie... bo i faktycznie, komuż taka rzecz się nie przydarzyła? Tylko że, powiem panu, wielmożny panie, niech mi wielmożny pan pozwoli powiedzieć wedle mego chłopskiego rozumu, jak już teraz na to poszło, to powiem wielmożnemu panu: ma wielmożny pan wroga - rewala, wielmożny pan ma, mocnego re-wala, ot co...

- Wiem, przyjacielu, wiem; sam wiesz, mój kochany... no, to ja już polegam na tobie. Co mam teraz robić, przyjacielu? Jak ty mi radzisz?

- Ano, jak już wielmożny pan teraz, że tak powiem, poszedł na tę drogę, to teraz wielmożny pan będzie musiał co nieco kupić - no, powiedzmy, prześcieradła, poduszki, drugą pierzynę, podwójną, przyzwoitą kołdrę - no to tu sąsiadka na dole ma, wielmożny pan wie, ta przekupka; ma dobrą salopkę na lisach, to można ją obejrzyć i kupić, można zaraz tam pójść i zobaczyć. Przecież wielmożnemu panu teraz potrzebna dobra, kryta atłasem salopka na lisach...

- No dobrze, przyjacielu, dobrze, zgadzam się, przyjacielu, polegam na tobie, całkowicie polegam na tobie; może być i salopka, mój kochany... Tylko pośpiesz się, pośpiesz! Na miłość boską, pośpiesz się! Kupię i salopkę, tylko błagam, pośpiesz się! Już zaraz ósma, prędeż, na miły Bóg, przyjacielu! pośpiesz się, przyjacielu!...

Pietrek rzucił nie dowiązany toból z bielizną, poduszkami, kołdrą, prześcieradłami i różnymi łachami, który zaczął był układać i zawiązywać, i na łeb na szyję wybiegł z pokoju. Pan Goladkin tymczasem jeszcze raz chwycił list - ale czytać nie mógł. Ujawszy w obie ręce swą nieszczęsną głowę, pełen zdumienia, oparł się o ścianę. Nie mógł o niczym myśleć, nie mógł również nic robić, saln nie wiedział, co się z nim dzieje. Wreszcie, widząc że czas mija i ani Pietrek, ani salopka się nie zjawiają, pan Goladkin postanowił pójść sam. Otworzywszy drzwi do sieni usłyszał na dole hałas, gwar, sprzeczkę i rozhowory... Kilka sąsiadek gadało, wrzeszczało, rozprawiało o czymś - pan Goladkin dobrze wiedział, o czym. Słysząc było głos Pietrka, potem rozległy się czyjeś kroki. „Boże! Oni tu zaraz

58' 915

zwołają całe miasto!” - jęknął pan Goladfcin załamując w rozpacz ręce i biegnąc z powrotem do swego pokoju. Jak tylko przybiegł do swego pokoju, upadł prawie nieprzytomny na kanapę twarzą do poduszki. Poleżał w ten sposób chwilę, zerwał się i nie czekając na Pietrka włożył kalosze, kapelusz, płaszcz, złapał swój portfel i zbiegł na złamanie karku ze schodów. „Nic nie trzeba, nic, mój kochany! -ja sam, ja wszystko sam. Tymczasem nie jesteś potrzebny, a może przez ten czas wszystko jakoś się uladzi i obróci się na lepsze” - wymamrotał pan Goladkin do Pietrka, którego spotkał na

schodach; potem wybiegi z domu na podwórze; serce mu zamierało; nie potrafił jeszcze rozstrzygnąć, jak ma się zachować, co ma robić, jak w tej krytycznej chwili postąpić...

- No, proszę: jak mam postąpić, mój Boże? I trzeba było tego wszystkiego! - zawołał wreszcie w rozpaczy, idąc ulicą na ślepo, dokąd oczy poniosą - trzeba było tego wszystkiego! Przecież gdyby tego nie było, właśnie tego, to wszystko by się jakoś ułożyło; od razu za jednym zamachem, za jednym zręcznym, energicznym, stanowczym zamachem wszystko by się ułożyło. Palec dałbym sobie uciąć, że ułożyłoby się! I nawet wiem, w jaki sposób by się ułożyło. Zrobiłoby się to wszystko właśnie w ten sposób: ja bym tu tego - że niby tak i tak, a ja, łaskawy panie, że tak powiem, ni tędy, ni owędy; że niby tak się spraw nie załatwia, że niby, łaskawy i wielce szanowny mój panie, tak się spraw nie załatwia i samozwaństwem nic się u nas nie wskóra, samozwaniec, łaskawy panie, to człowiek tego... niecny i pożytku ojczyźnie nie przynosi. Rozumie pan to? Czy pan to rozumie, szanowny panie?! Tak właśnie trzeba by tego... A zresztą nie, cóż... to wcale nie jest tak tego, wcale nie tego... Coś tu jednak bujam, głupiec jeden! co za samobójca ze mnie! Też doprawdy, samobójco jeden, całkiem nie tego... Widzisz, rozpuszczony człowieku, widzisz, co to się teraz wyrabia! No i gdzież ja się teraz podzieję? No i co ja na ten przykład mam teraz ze sobą robić? No i na co ja się teraz nadaję? No i na co ty się teraz, prawdę powiedziawszy, nadajesz, taki Goladkin, taki niegodny! No i co teraz? Trzeba wziąć karetę; weź i daj jej zaraz karetę; bo to niby nóżki sobie zamoczy, jeżeli karety nie będzie... I kto by to pomyślał? Ależ panienczka, ależ dobrodziejka' moja! ależ cnotliwa panna! ależ wychwalana. Popisała się panienka, co tu gadać, po-

pisala się!... A wszystko to z niemoralnego wychowania; a ja, jak się teraz przyjrzałem i rozgryzłem to wszystko, to widzę, że przyczyną tego nie jest nic innego tylko niemoralność. Gdyby tak za młodu ją tego... i od razu różgą, a oni jej cukierki, a oni jej słodczye różne pchają, a sam dziadyga ślini się nad nią: takaś ty moja i owaka moja, ładna jesteś, za hrabiego cię wydam!... No to teraz wyszła i pokazała nam swoje karty;

patrzcie, taką to grę prowadzę! Zamiast żeby ją trzymać za młodu w domu, oni ją na pensję, do francuskiej madamy, do jakiejś tam emigrantki Falbalas;⁹ a ona się tam różnych rzeczy uczy u tej emigrantki Falbalas - no to wszystko tak właśnie się kończy. Ano, chodź tu, człowieku, ciesz się! Ano, zajedź kareta o tej i o tej godzinie pod okna i zaśpiewaj sentymentalny romans po hiszpańsku; oczekuję cię i wiem, że mnie kochasz, i że razem uciekniemy, i że będziemy żyli w ubogiej chatce. Ale przecież tak nie można, przecież, łaskawa pani - jak już na to poszło - to doprawdy tak nie można, nawet prawo zakazuje porywać przyzwoitą i niewinną pannę z rodzicielskiego domu bez zgody rodziców! A wreszcie po co to, na co, w jakim celu? No, wyszłaby sobie za kogo trzeba, kogo los jej przeznaczył, i sprawa załatwiona. A ja jestem człowiekiem na urzędzie, a ja mogę przez to posadę stracić, a ja, łaskawa pani, mogę za to trafić pod sąd! Proszę, jeśli pani o tym nie wiedziała. To robota Niemki. To wszystko przez tę czarownicę, przez nią zawsze z igły widły. A to dlatego, że człowieka oczerniono, dlatego że wymyślono na niego babską plotkę, niestworzone rzeczy; wszystko przez to, że tak radził Andrzej Filipowicz. Bo inaczej po co by miał się tu wtrącać Pietrek? Co mu do tego? czy to jego sprawa, tego szelmy? Nie, nie mogę, łaskawa pani, w żaden sposób nie mogę, za nic nie mogę... I niech mi łaskawa pani tym razem jakoś wybaczy. To wszystko przez panią, moją dobrodziejko, wcale nie przez tę Niemkę; to wcale nie przez czarownicę, to zwyczajnie przez panią, bo z czarownicy dobra kobiecina, bo czarownica nie jest niczemu winna, a pani, dobrodziejko moja, jest winna - tak właśnie! Niepotrzebnie mnie pani, dobrodziejko moja, w to wciąga... Tu człowiek ginie, tu z własnej woli człowiek ginie i sam się nie może powstrzymać - gdzie tu myśleć o weselu! I jak się to wszystko skończy? I jak się to wszystko teraz ułoży? Dużo bym dał, gdybym się mógł dowiedzieć!...

Tak w rozpaczy rozmyślał nasz bohater. Gdy niespodzianie się ocknął, spostrzegł, że stoi gdzieś na Litiejnej. Pogoda była okropna: była odwilż, sypał śnieg, padał deszcz - no, kropka w kropkę jak w tej niezapomnianej chwili, gdy o strasznej północnej godzinie zaczęły się wszystkie nieszczęścia pana Go-ladkina. „Co tu gadać o wojażu! - myślał pan Goladkin zwróciwszy uwagę na pogodę-tu wszędzie śmierć... Boże kochany! No gdzie ja teraz na przykład znajdę tu karete? O, tam, na rogu, zdaje się, że coś czernieje. Popatrzmy, zbadajmy... Boże kochany!” - ciągnął nasz bohater kierując słabe i chwiejne kroki w tę stronę, gdzie ujrzał coś podobnego do karety. „Nie, zrobię inaczej; pójdę, padnę do nóg, jeśli można, będę błagał uniżenie. Że niby tak i tak, składam swój los w pańskie ręce, w ręce zwierchnika; że niby, wasza ekscelencjo, niech mnie pan obroni i będzie moim dobroczyńcą; że niby tak i tak, właśnie to i to, dopuściłem się bezprawia; niech mnie pan nie gubi, uznaję pana za ojca, niech pan nie zostawia... niech pan ratuje ambicję, honor, imię i nazwisko... I niech pan ratuje mnie przed łotrem, przed człowiekiem rozwydrzonym.. On jest kim innym, wasza ekscelencjo, a ja

też jestem kim innym; on jest oddzielnie i ja też jestem sam przez się, doprawdy sam przez się, wasza ekscelencjo, doprawdy sam przez się;

tak, właśnie tak jest. Nie mogę być podobny do niego, niech pan to zmieni, niech pan zrobi tę łaskę, niech pan każe to zmienić-i zniszczyć bezbożne, samowolne oszustwo... bo to zły przykład dla innych, wasza ekscelencjo. Uznaję pana za ojca;

wiadomo, że zwierzchnictwo, że dobroczynne i opiekuńcze zwierzchnictwo powinno popierać podobne odruchy... W tym jest nawet coś rycerskiego. Że niby uznaję pana, dobroczynnego zwierzchnika, za ojca i zawierzam panu swój los i nie będę oponował, zawierzam i sam się usuwam w cień... tak, właśnie tak!"

- No co, mój kochany, dorożka?

- Dorożka...

- Potrzebna mi kareta, bracie, na wieczór...

- A daleko pan raczy jechać?

- Na wieczór, na wieczór; gdzie wypadnie, mój kochany, gdzie wypadnie.

- Życzy pan jechać za miasto?

- Tak, przyjacielu, może nawet za miasto. Sam jeszcze nie

wiem na pewno, przyjacielu, nie mogę powiedzieć d z pewnością, mój kochany. Widzisz, mój kochany, może się wszystko jeszcze obróci ku lepszemu. Wiadomo, przyjacielu...

- Tak, wiadomo, wielmożny panie, naturalnie; daj Boże każdemu.
- Tak, przyjacielu, tak; dziękuję ci, mój kochany; no, ile weźmiesz, mój kochany?...
- Zaraz pan życzy jechać?
- Tak, zaraz, to znaczy nie, zaczekasz w jednym miejscu... tak, troszkę, niedługo zaczekasz, mój kochany...
- Ano, jeśli pan już bierze na cały czas, to nie można przy takiej pogodzie mniej niż sześć rubli...
- No dobrze, przyjacielu, dobrze, odwdziczę ci się, mój kochany. No to teraz zawiesz mnie, mój kochany.
- Siadaj pan; pan pozwoli, że tu troszeczkę poprawię; niech pan teraz siada. Dokąd pan każe jechać?
- Do Izmaiłowskiego mostu, przyjacielu.

Dorożkarz-stangret wlaź na kozioł i popędził parę wychudłych szkap, które z trudem oderwał od koryta z sianem, w stronę mostu Izmaiłowskiego. Ale naraz pan Goladkin szarpnął za sznurek, zatrzymał karete i błagalnym głosem poprosił, aby zawrócić, jechać nie do mostu Izmaiłowskiego, lecz na inną ulicę. Stangret zawrócił w inną ulicę i po dziesięciu minutach nowy pojazd pana Goladkina zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał jego ekscelencja. Pan Goladkin wysiadł z karety, usilnie poprosił stangreta, aby zaczekał, a sam z zamierającym sercem wbiegł na górę, na pierwsze piętro, pociągnął za sznurek, drzwi się otworzyły i nasz bohater znalazł się w przedpokoju jego ekscelencji.

- Czy jego ekscelencja raczy być w domu?-zapytał pan Goladkin, w ten sposób zwracając się do służącego, który otworzył mu drzwi.
- A pan czego sobie życzy?-zapytał lokaj, od stóp do głów mierząc wzrokiem pana Goladkina.
- A ja jestem, przyjacielu, tego... Goladkin, urzędnik, radca tytularny Goladkin. Chciałbym tak i tak, wytłumaczyć się...
- Pan zaczeka, teraz nie można...

- Nie mogę czekać, przyjacielu, mam ważną sprawę, nie cierpiącą zwłoki...

- A pan od kogo? Przyniósł pan akta?...

919

- Nie, mój przyjacielu, jestem sam przez się... Zamelduj, przyjacielu, że niby tak i tak, że przyszedłem się wytłumaczyć. A ja ci się już odwdzięczę, mój kochany...

- Nie można. Jego ekscelencja zabroni } kogokolwiek przyjmować, ma gości. Przyjdzie pan z rana o dziesiątej...

- Mój kochany, proszę zameldować, nie mogę, absolutnie nie mogę czekać... Będziesz za to, mój kochany, odpowiadać...

- A idźże, zamelduj, co ci tam: butów zabijesz czy co? - odezwał się drugi lokaj, który siedział rozwalony na ławce i dotychczas nie wyrzekł ani słowa.

- Co tam buty! Nie kazał przyjmować, wiesz! Ich kolej z rana.

- Zamelduj. Język ci się wystrzępi czy co?

- No to zamelduję: język mi się nie wystrzępi. Nie kazał: powiedziałem - nie kazał. Niech pan wejdzie do pokoju. Pan Goladkin wszedł do pierwszego pokoju; na stole stał zegar. Spojrzał: pół do dziewiątej. Poczuł, że coś ścisnęło go za serce. Zamierzał już zawrócić, ale w tej właśnie chwili wysoki jak tyka lokaj, stając na progu następnego pokoju, głośno obwieścił nazwisko pana Goladkina. „Ale ma gardziel i - pomyślał nasz bohater z niewymownym strapieniem.. - No, powiedziałbyś, że tego... niby że tak i tak, przyszedł się pokornie i uniżenie wytłumaczyć - tego... zechce pan łaskawie przyjąć... A teraz wszystko na nic, cała moja sprawa rozwiązała się jak dym, a zresztą... ano, trudno...” Nie było zresztą czasu na rozmyślania. Lokaj wrócił, powiedział „proszę” i wprowadził pana Goladkina do gabinetu.

Gdy nasz bohater wszedł, uczył, jak gdyby spadła nań nagle ślepotą, bo absolutnie nic nie widział. Co prawda mignęły mu przed oczami dwie, trzy postaci: „No, ale to goście” - przemknęło przez myśl panu Goladkinowi. Wreszcie nasz bohater zaczął wyraźnie dostrzegać gwiazdę na czarnym fraku jego ekscelencji, potem, stopniowo, zauważył czarny frak, a w końcu osiągnął zdolność pełnego widzenia...

- O co chodzi? - rozległ się nad panem Goladkinem znajomy głos.

- Radca tytularny Goladkin, wasza ekscelencjo.

- No?

- Przyszedłem się wytłumaczyć...

- Co?... Jak?...

- Ano już tak. Że niby tak i tak, przyszedłem się wytłumaczyć, wasza ekscelencjo...
- Ależ pan... kim pan jest?...
- Pa-pa-pan Goladkin, wasza ekscelencjo, radca tytularny.
- A więc czego pan sobie życzy?
- Ano niby tak i tak, uznaję pana za ojca; sam się usuwam od wszelkich spraw, ale niech mnie pan obroni przed wrogiem - ot co!
- Co takiego?...
- Wiadomo...
- Co wiadomo?

Pan Goladkin milczał; podbródek zaczynał mu drgać coraz bardziej...

- No więc?
- Myślałem, że po rycersku, wasza ekscelencjo... że to po rycersku i że uznaję zwierzchnika za swego ojca... że niby tak i tak, niech mnie pan obroni, bła... błagam ze łza... ze łzami, że takie od... odruchy po... po... powinny być po... po... popierane...

Jego ekscelencja odwrócił się. Bohater nasz przez kilka chwil nic nie widział. W piersi czuł ucisk. Nie mógł złapać tchu. Nie wiedział, gdzie stoi... Było mu jakoś smutno i wstyd. Bóg wie, co się zdarzyło później... Ocknąwszy się nasz bohater zauważył, że jego ekscelencja rozmawia ze swymi gośćmi i jak gdyby ostro a zdecydowanie o czymś z nimi rozprawia. Jednego z gości pan Goladkin poznał natychmiast. Był to Andrzej Filipowicz; drugiego zaś nie poznał, choć twarz była mu jakaś znajoma - wysoka, mocna postać; pan w starszym wieku, obdarzony bardzo gęstymi brwiami i bokobrodami a także wyrazistym, ostrym spojrzeniem. Nieznajomy miał na szyi order, a w ustach cygaro. Palił i nie wyjmując cygara z ust kiwał znacząco głową, od czasu do czasu spoglądając na pana Goladkina. Pan Goladkin poczuł się jakoś niezręcznie, odwrócił wzrok i natychmiast ujrzał jeszcze jednego, nader dziwnego gościa; W-drzwiach, które nasz bohater brał dotychczas za lustro, tak jak to już niegdyś mu się wydarzyło - zjawił się on-wiadomo kto, bardzo bliski znajomy i przyjaciel pana Goladkina. Pan Goladkin-młodszy dotychczas siedział w sąsiednim małym pokoiku i pisał coś z pośpiechem. Teraz widocznie coś mu było potrzebne i zjawił się, z aktami pod pachą,

podszedł do jego ekscelencji i nader zręcznie, chcąc zwrócić na swą osobę wyłączną uwagę, zdążył się wtrącić do rozmowy, stając nieco za plecami Andrzeja Filipowicza, a częściowo ukrywając się za plecami palącego cygaro nieznanego. Widać było, że pan Goladkin-młodszy żywo interesował się rozmową, której przysłuchiwał się teraz w sposób wytworny, kiwał głową, przebierał nóżkami, uśmiechał się, co chwila spoglądał na jego ekscelencję, jak gdyby błagał spojrzeniem, aby jemu również pozwolono wtrącić swoje pół słówka. „Łajdak!” - pomyślał pan Goladkin i mimo woli zrobił krok naprzód. W tej samej chwili generał odwrócił się i dość niezdecydowanie zbliżył się do pana Goladkina.

- No, dobrze, dobrze, niech pan idzie z Bogiem. Rozpatrzę pańską sprawę, a pana każę odprowadzić... - Tu generał spojrział na nieznanego z gęstymi bokobrodami, który na

znak zgody kiwnął głową.

Pan Goladkin czuł i doskonale rozumiał, że traktują go jakoś szczególnie, bynajmniej nie tak, jak by należało. „Tak czy inaczej, ale przecież trzeba się wytłumaczyć - pomyślał - że niby tak i tak, wasza ekscelencjo.” Tu, pełen rozterki wewnętrznej, spuścił wzrok ku ziemi i ku swemu wielkiemu zdumieniu ujrzał, na butach jego ekscelencji dużą białą plamę. „Czyżby pękły?” - pomyślał pan Goladkin. Jednakże wkrótce pan Goladkin uświadomił sobie, że buty jego ekscelencji bynajmniej nie pękły, jedynie mocno świeciły - zjawisko, które w pełni tłumaczyło się tym, że były lakierowane i mocno błyszcząły. „To się nazywa b l i k - pomyślał nasz bohater - ‘ nazwę tę stosuje się zwłaszcza w pracowniach malarskich;

gdzie indziej ten odblask nazywa się refleksem.” Tu pan Goladkin podniósł wzrok i ujrzał, że czas już mówić, bo sprawa bardzo łatwo mogła wziąć zły obrót... Nasz bohater zrobił

krok naprzód.

- Bo to jest tak i tak, wasza ekscelencjo - odezwał się - a samozwaństwem w naszych czasach daleko się nie zajędzie.

Generał nic nie odpowiedział, tylko mocno pociągnął za sznurek dzwonka. Nasz bohater zrobił jeszcze jeden krok

naprzód.

- On jest podłym i niegodziwym człowiekiem, wasza ekscelencjo - rzekł nasz bohater, nie panując nad sobą, umierając ze strachu, a jednocześnie śmiało i stanowczo wskazując

na swego niegodnego bliźniaka, który w tej właśnie chwili dreptał koło jego ekscelencji - bo to niby tak i tak, a ja napomykam na wiadomą osobę.

Po tych słowach pana Goladkina nastąpiło ogólne poruszenie. Andrzej Filipowicz i nieznajomy pan zaczęli kiwać głowami, jego ekscelencja niecierpliwie szarpał ze wszystkich sił za sznurek dzwonka, wzywając służbę. Tu z kolei wystąpił naprzód pan Goladkin-młodszy.

- Wasza ekscelencjo - odezwał się - proszę uniżenie, aby mi pan łaskawie pozwolił mówić. - W głosie pana Goladkina-młodszego brzmiało coś bardzo stanowczego, wszystko wskazywało na to, że jest pewien swojej słuszności.

- Pozwoli pan, że pana zapytam - zaczął znowu, gorliwością swoją uprzedzając odpowiedź jego ekscelencji i zwracając się tym razem do pana Goladkina - pan pozwoli, że pana zapytam, w czyjej obecności pan to wszystko mówi, przed kim pan stoi, w którym gabinecie pan się znajduje? - Pan Goladkin-młodszy był niezwykle przejęty, cały zaczerwieniony i płonący oburzeniem i gniewem; nawet łzy pokazały mu się w oczach.

- Państwo Bassawriukow! - wrzasnął na całe gardło lokaj, stając w drzwiach gabinetu. „Dobre szlacheckie nazwisko, rodem z Malorusi” - pomyślał pan Goladkin i w tej samej chwili poczuł, że ktoś go w nader przyjacielski sposób jedną ręką uchwycił za plecy; potem i druga ręka uchwyciła go za plecy; podły bliźniak pana Goladkina wiercił, się na przedzie wskazując drogę i nasz bohater wyraźnie ujrzał, że ktoś go, jak się zdaje, kieruje w stronę wielkich drzwi od gabinetu. „Kropka w kropkę jak u Ołsufia Iwanowicza” - pomyślał i znalazł się w przedpokoju. Rozejrzał się i dostrzegł - obok siebie dwóch lokajów jego ekscelencji i jednego bliźniaka.

- Płaszcz, płaszcz, płaszcz, płaszcz mojego przyjaciela! płaszcz mojego najlepszego przyjaciela! - zaszczebiotał niegodziwiec wyrwijąc z rąk jednego ze służących płaszcz i narzucając go dla podłego i nieprzyzwoitego kawału wprost na głowę panu Goladkinowi. Wygrzebawszy się spod swego płaszcza pan Goladkin-starszy wyraźnie dosłyszał śmiech dwóch lokai. Ale nie słuchając niczego i na nic nie zwracając uwagi wychodził już z przedpokoju i znalazł się na oświetlonych schodach. Pan Goladkin-młodszy szedł za nim.

- Żegnam, wasza ekscelencjo! - zawołał za panem Goladkinem-starszym.

- Łajdak! - wyrzekł bezprzymtomnie nasz bohater.

- Niech będzie łajdak...

- Niegodziwiec!

- Niech będzie niegodziwiec... - odrzekł szlachetnemu panu Goladkinowi nieszlachetny przyjaciel i z właściwą sobie podłością nie mrugnawszy okiem patrzył ze szczytu schodów prosto w oczy panu Goladkinowi, jak gdyby prosząc go, aby mówił dalej. Bohater nasz splunął z oburzenia i wybiegł na ganek; był tak przybity, że absolutnie nie pamiętał, kto i w jaki sposób wsadził go do karety. Ocknąwszy się ujrzał, że jedzie przez Fontankę. „A więc do mostu Izmaiłowskiego ?” -pomyślał pan Goladkin... Tu pan Goladkin chciał jeszcze o czymś pomyśleć, ale nie mógł, w tym wszystkim było coś tak przerażającego, że nawet nie można było sobie tego uświadomić... - „No, nie ma co!” - zakonkludował nasz bohater i pojechał w stronę mostu Izmaiłowskiego.

ROZDZIAŁ XIII

...Zdawało się, że pogoda zamierzała się poprawić. Istotnie, mokry śnieg, który do tej pory walił gęstymi płatami, powoli zaczął rzednąć, a wreszcie prawie całkiem przestał padać. Przejaśniło się, tu i ówdzie na niebie zaiskrzyły się gwiazdki. Siąpiło tylko, było wilgotno i duszno, zwłaszcza panu Goladkinowi, który i bez tego ledwo mógł złapać oddech. Przemokły i ciężki od deszczu płaszcz przejmował wszystkie jego członki jakąś niemiłą ciepłą wilgocią, a pod ciężarem płaszcza uginały mu się i tak już mocno osłabłe nogi. Jakiś febryczny dreszcz ostrym i kłującym mrowiem wędrował po całym ciele, z wyczerpania biły na niego zimne, chorobliwe poty, toteż pan Goladkin zapomniał nawet przy tej okazji powtórzyć z właściwą mu stanowczością i zdecydowaniem swe ulubione zdanie, że wszystko to jakoś jeszcze może jednak, jakoś tam, na pewno, niewątpliwie weźmie i obróci się ku lepszemu. „Zresztą to jeszcze tymczasem nic takiego” - dodał mocny i nie upadający na duchu nasz bohater, ścierając z twarzy krople zimnej wody, sączące się we wszystkich kierunkach z ronda jego

okrągłego i tak przemokłego kapelusza, ut woda już się nie mogła na nim utrzymać. Dodawszy, że wszystko to jeszcze nic takiego, nasz bohater spróbował sięść na dość grubym pieńku, który leżał obok kupy drew na podwórzu Ołsufia Iwa-nowicza. Oczywiście mowy nawet nie było o hiszpańskich serenadach i o jedwabnych drabinkach, ale o zacisznym kątku, choćby nie całkiem ciepłym, za to przytulnym i ukrytym, trzeba było jednak pomyśleć. Mówiąc nawiasem, mocno go kusił ów kącik w sieni mieszkania Ołsufia Iwanowicza, gdzie uprzednio, prawie na początku tej prawdziwej historii, bohater nasz stał dwie godziny pomiędzy szafą i starym parawanem, wśród wszelakich domowych rupieci, gratów i łańców. Rzecz w tym, że i teraz pan Goladkin stał i czekał już całe dwie godziny na podwórzu u Ołsufia Iwanowicza. Ale jeśli chodzi o zaciszny i przytulny dawny kącik, to powstały teraz pewne trudności, których przedtem nie było. Pierwszą trudnością było to, że na owo miejsce po historii na ostatnim balu u Ołsufia Iwanowicza zwrócono zapewne uwagę i zastosowano wobec niego pewne środki zapobiegawcze; a po drugie, trzeba było przecież czekać na umowny znak Klary Olsufiewny, ponieważ obowiązkowo musiał przecież być jakiś taki umowny znak. Tak to się zawsze przecież odbywało i „wszakże nie od nas się zaczyna i nie na nas się skończy”. Pan Goladkin przypomniał tu sobie przy okazji jakiś dawno przeczytany romans, w którym heroina w zupełnie podobnych okolicznościach dała umowny znak Alfredowi przywiązując do okna różową wstążeczkę. Ale różowa wstążeczka teraz, w nocy, i to przy sanktpetersburskim klimacie, znanym ze swej wilgoci i niepewności, nie mogła wchodzić w rachubę i krótko mówiąc była całkiem nie do zastosowania. „Nie, tu nie ma co myśleć o jedwabnych drabinkach - pomyślał nasz bohater - a ja sobie raczej stanę tu, o tak, w przytulnym kątku, cichaczem... a ja sobie raczej stanę na przykład tutaj” - i wybrał sobie miejsce na podwórzu, naprzeciw okien, koło stosu uskładanych drew. Oczywiście po podwórzu kręciło się mnóstwo obcych ludzi, forysiów, stangretów; w dodatku turkotały tam koła i parskwały konie itd., a jednak miejsce było wygodne: zauważą czy nie zauważą, ale zyskiwało się przynajmniej to, że wszystko odbywało się poniekąd w cieniu i pana Goladkina nikt nie widział, on zaś mógł widzieć zdecydowanie wszystko. Okna były rzęsiście

oświetlone, u Ołsufia Iwanowicza odbywało się jakieś uroczyste przyjęcie. Zresztą muzyki jeszcze nie było słyhać. „A więc to nie bal, lecz tak, po prostu zjechali się z jakiejś innej okazji - myślał niemal drętwiąc nasz bohater. - A zresztą, czy to właśnie dzisiaj ? - przemknęło mu przez głowę. - Czy się nie omyliłem w dacie? Możliwe, wszystko możliwe... Ano, tak to już jest, pewnie że wszystko możliwe... Może list był napisany jeszcze wczoraj, a do mnie nie doszedł, a nie doszedł dlatego, że zamieszany był w to Pietrek, szelma jeden! Albo też jutro był napisany, to znaczy, co też ja... że niby jutro trzeba było wszystko zrobić, to znaczy czekać z kareta...” Tu nasz bohater zdrętwił ostatecznie i sięgnął do kieszeni po list, aby sprawdzić. Ale ku jego zdumieniu listu w kieszeni nie było. „Jakże to?- wyszeptał na wpół żywy pan Goladkin - gdzież to ja go zostawiłem ? Wychodzi na to, że zgubiłem! tego jeszcze brakowało!-wyjęczał wreszcie na zakończenie. - No, a jak ten list wpadnie teraz w niewłaściwe ręce? (A może już wpadł!) Boże! Co z tego będzie! Wyjdzie coś takiego, że już... Ach, mój losie, losie nienawistny!” Tu pan Goladkin zadrzał jak liść na myśl o tym, że może jego nieprzyzwoity bliźniak, narzucając mu płaszcz na głowę, miał na celu porwanie listu, o

którym jakoś tam wywiedział się od wrogów pana Goladkina. „Przecież on zawsze przechwytuje - pomyślał nasz bohater - a dowodem na to... a cóż po dowodzie!...” Po pierwszym ataku i osłupieniu panu Goladkinowi krew uderzyła do głowy. Z jękiem, zgrzytając zębami, chwycił się za płonącą głowę, opadł na swój pień i zaczął o czymś myśleć... Ale myśli jakoś nie wiązały się w jego głowie. Majaczyły mu się jakieś twarze, przypominały się to niejasno, to wyraziście jakieś dawno zapomniane wydarzenia, cisnęły się do głowy jakieś tam motywy jakichś tam głupich piosenek... Czuł niesamowity smutek! „Mój Boże! Mój Boże!-pomyślał nasz bohater wracając nieco do przytomności i tłumiąc w piersi głuchy jęk - daj mi siłę ducha w tej niezgłębionej otchłani moich nieszczęść! Już nie ulega wątpliwości, że zginąłem, że przepadłem z kretelem - i to jest naturalne, inaczej bowiem w żaden sposób być nie może. Po pierwsze, straciłem posadę, niewątpliwie straciłem, nie mogłem nie stracić... No, przypuśćmy, że to się jakoś tam ułoży. Pieniądzy, powiedzmy, starczy mi na po-

czątek, na jakieś tam mieszkanko, na jakieś tam mebelki, przecież to trzeba... Po pierwsze, przecież nie będzie Pietrka. Mogę się obejść i bez tego szelmy... tak, mieszkać jako sublokator, no dobrze! Wchodzę i wychodzę, kiedy mi się podoba, Pietrek też nie będzie zrzędził, że późno wracam-ano tak; to nawet lepiej za sublokatora... No, powiedzmy sobie, że wszystko to dobrze, tylko dlaczego ja ciągle mówię nie o tym co trzeba, właśnie nie o tym co trzeba?" Tu myśl o obecnej sytuacji znów olśniła umysł pana Goladkina. „Ach, mój Boże! Mój ty Boże! o czym to ja teraz mówię?" -pomyślał zupełnie zdetonowany i chwycił się za rozpaloną głowę...

- Czy wielmożny pan prędko zamieruje jechać? - rozległ się głos nad panem Goladkinem. Pan Goladkin drgnął;

przed nim stał jego dorożkarz, który również zmókł do nitki i wyziął; z niecierpliwości oraz z nudów przyszło mu do głowy, aby zajrzeć do pana Goladkina za sag drow.

- Ja, przyjacielu, nic takiego... ja, przyjacielu, już zaraz, bardzo szybko, zaczekaj...

Dorożkarz odszedł mamrocząc coś pod nosem. „Co on tam mamrocze?-myślał przez łzy pan Goladkin.-Przecież wynająłem go na cały wieczór, przecież tego... mam teraz prawo... ano, tak! wynająłem na cały wieczór, więc sprawa załatwiona. Niech sobie postoi, wszystko jedno. Wszystko zależy ode mnie. Chcę, to jadę, nie chcę, to nie jadę. A że stoję tutaj za sągiem, to nic nie szkodzi... nie masz prawa nic gadać;

pan ma ochotę stać sobie za sągiem, to i stoi za sągiem... i nikomu nie ubliża - tak to właśnie jest! Tak właśnie jest, łaskawa pani, jeśli tylko ma pani ochotę wiedzieć. A w ubogiej chatce, łaskawa pani, tak i tak, w naszych czasach nikt nie mieszka. Właśnie, właśnie! A bez cnoty w naszym uprzemysłowionym wieku, łaskawa pani, nie da rady, czego sama pani teraz jest smutnym przykładem. Że niby można być pisarzem sądowym i mieszkać w ubogiej chatce na brzegu morza. Po pierwsze, łaskawa pani, na brzegu morza nie ma pisarzy sądowych, a po drugie, z panią nawet posady pisarza sądowego nie można dostać. Bo powiedzmy, na ten przykład, składam podanie, zjawiam się - niby tak i tak, chciałbym na pisarza niby, tego... i proszę mnie obronić przed wrogiem... a pani powiedzą, łaskawa pani, że niby tego, pisarzy jest dużo, i że pani tutaj nie jest u emigrantki Falbalas, gdzie się pani uczyłaś dobrych

obyczajów, czego jest pani sama zgubnym przykładem. A dobre obyczaje, łaskawa pani, to znaczy siedzieć w domu, ojca szanować i nie myśleć przed czasem o narzeczonych. A narze-czeni, łaskawa

pani, znajdują się w swoim czasie - tak właśnie, tak! Naturalnie, różne talenty, wiadomo, trzeba mieć, no: na fortepianie czasami pograć, po francusku parlować, historię, geografę, religię i arytmetykę - właśnie, właśnie! - a więcej nic nie trzeba. A przy tym kuchnia, koniecznie w zakres każdej cnotliwej panny powinna wchodzić kuchnia! Bo inaczej to co? Po pierwsze, moja śliczotko, łaskawa pani, nikt pani nie puści, a wyślą za panią pogoń, a potem kropka, do klasztoru. A wtedy co, łaskawa pani? Wtedy co mi pani każesz robić? Każe mi pani, dobrodziejko moja, wzorem niektórych głupich romansów chadzać na pobliski wzgórek i rozpląwać się we łzach, patrząc na zimne mury pani więzienia, a wreszcie umrzeć idąc za przykładem niektórych kiepskich niemieckich poetów i romansopisarzy, nieprawdaż, łaskawa pani? A więc po pierwsze, niechże pani pozwoli sobie powiedzieć po przyjacielsku, że tak się nie robi, a po drugie, i panią, i pani rodziców wychłostałbym porządnie za to, że dawali pani francuskie książki do czytania, bo francuskie książki niczego dobrego nie uczą. To trucizna... śmiertelna trucizna, łaskawa pani! A może pani myśli, pozwoli pani, że ją zapytam, może pani myśli, niby tak i tak, uciekniemy bezkarnie i tego... że niby sprawię pani ubogą chatkę na brzegu morza i zaczniemy gruchać, i mówić o różnych takich uczuciach, i w ten sposób spędzimy całe życie w szczęściu i dostatku; a potem zjawi się potomek, to my tego... że niby tak i tak, ojczyźnie i radco stanu Ołsu-fiu Iwanowiczu, oto, proszę, zjawił się potomek, a więc wobec tej szczęśliwej okoliczności cofnij przekleństwo i pobłogosław nas? Nie, dobrodziejko, tak się też nie robi, a poza tym nie będzie żadnego gruchania, niech się pani nie łudzi. W dzisiejszych czasach, dobrodziejko moja, mąż jest panem, a dobra, dobrze wychowana żona powinna mu we wszystkim dogadzać. A czułości, łaskawa pani, dziś nikt nie lubi w naszym przemysłowym wieku; minęły już czasy Jana Jakuba Rousseau. W dzisiejszych czasach, na przykład, mąż przychodzi głodny z urzędu - ano, serdeńko, czy nie masz czym by tu zakąsić, wódeczki się napić, śledzika zjeść? No to pani, dobrodziejko moja, powinna mieć wszystko na podorędziu, i wódeczkę,

i śledzika. Mąż przekąsi sobie z apetytem, a na panią nawet nie spojrzy, i powie: idź, kóleczku, do kuchni i przypilnuj obiadu, najwyżej raz w tygodniu pocałuje, a i to obojętnie... Widzi pani, jak to jest po naszymu, dobrodziejko moja! A i to obojętnie!... Oto jak będzie, jeżeli w ten sposób myśleć, jeżeli już na to poszło, żeby w ten właśnie sposób patrzeć na całą sprawę... A ja tu na co? A mnie po co zamieszła pani w swoje kaprysy? «Że niby szlachetny, za mnie cierpiący i nader miły sercu mojemu człowieku itd.» Ależ po pierwsze, ja się, dobrodziejko moja, dla pani nie nadaję, sama pani wie, komplementów prawić nie potrafię, różnych takich uperfumowanych glupstewek mówić nie lubię, adoratorów nie toleruję, a poza tym, trzeba przyznać, wdzięczną postacią się nie odznaczam. Fałszywego przechwalania się i wstydu pani we mnie nie znajdzie, przyznaję się do tego teraz z całkowitą szczerością. Że to niby tak właśnie jest, posiadam jedynie prosty i otwarty charakter i zdrowy rozsądek; intrygami się nie zajmuję. Nie jestem intrygantem i z tego jestem dumny-ot co!... Bez maski chodzę pomiędzy dobrymi ludźmi i chcę pani powiedzieć...”

Nagle pan Goladkin drgnął. Ruda i do szczętu wymokła broda jego stangreta znów zajrzała do niego za sag...

- Za chwileczkę, przyjacielu, ja, przyjacielu, już, już; ja, przyjacielu, już zaraz - powiedział pan Goladkin niepewnym, omdlewającym głosem.

Dorożkarz podrapał się po karku, potem pogładził brodę, potem zrobił krok naprzód... stanął i nieufnie spojrzał na pana Goladkina.

- Za chwileczkę, przyjacielu, ja widzisz... przyjacielu... ja troszkę, widzisz, przyjacielu, tylko sekundkę tutaj... widzisz, przyjacielu...

- Może pan wcale nie pojedzie? - rzeki wreszcie stangret, przystępując stanowczo i zdecydowanie do pana Goladkina...

- Nie, mój przyjacielu, ja zaraz. Jak widzisz, przyjacielu, czekam...

- Tak jest.

- Widzisz, przyjacielu... ty z jakiej wsi jesteś, mój kochany?

- Ja z dworskich...

- A u dobrych państwa?...

- Wiadomo...

- Tak, przyjacielu, poczekaj tu, przyjacielu. Widzisz, przyjacielu, dawno jesteś w Petersburgu?
- Ano, już rok jeżdżę...
- A dobrze ci, przyjacielu?
- Wiadomo.
- Tak, przyjacielu, tak, dziękuj Panu Bogu. Szukaj, przyjacielu, dobrych ludzi. Dziś dobrzy ludzie stali się rzadkością, mój kochany, a dobry człowiek umyje cię i nakarmi, i napoi... A czasami, widzisz, nawet i poprzez złoto Izy płyną, przyjacielu... widzisz żalosny przykład; tak to właśnie jest, mój kochany...

Dorożkarzowi, zdaje się, żal się zrobiło pana Goladkina.

- Nic takiego, proszę, ja zaczekam. Długo pan będzie czekał?
- Nie, mój przyjacielu, nie, ja już wiesz, tego... ja już nie będę czekał, mój kochany. Jak myślisz, przyjacielu? Polegam na tobie. Ja już tu nie będę czekał...
- Może pan w ogóle nie pojedzie?
- Nie, mój przyjacielu, nie, ale ja ci się odwdzięczę, mój kochany... tak, właśnie tak. Ile ci się należy, mój kochany?
- Ano da pan tyle, za ile się pan zgodził. Długo czekałem, łaskawy panie; łaskawy pan już człowieka nie pokrzywdzi.
- No masz, mój kochany, masz. - Tu pan Goladkin dał dorożkarzowi całe sześć rubli srebrem i poważnie postanowiwszy nie tracić więcej czasu, to znaczy wziąć nogi za pas, tym bardziej, że sprawa była już ostatecznie przesądzona i dorożkarz zwolniony, a więc nie było już na co czekać, ruszył przez podwórze, wyszedł za bramę, zawrócił na lewo i nie oglądając się, z trudem chwyając oddech, ucieszony, zaczął biec. „Ano, może jednak wszystko obróci się ku lepszemu - myślał - a w ten sposób uniknąłem nieszczęścia.” Istotnie panu Goladkinowi zrobiło się jakoś niezwykle lekko na duszy. „Ach, gdyby to tak obróciło się ku lepszemu! - myślał nasz bohater, sam zresztą nie bardzo w to wierząc. - W ten sposób ja tego... - myślał. - Nie, lepiej o tak, z drugiej strony... Albo może lepiej zrobić tak?...” Tak wahając się i szukając klucza dla rozstrzygnięcia swoich wahań, nasz bohater dobiegł do mostu Siemionowskiego, a dobiegłszy do mostu Siemio-nowskiego rozsądnie i zdecydowanie postanowił wrócić. „Tak będzie lepiej - pomyślał. - Ja raczej z drugiej strony, to

znaczy, o, tak. Ja będę tak - będę postronnym obserwatorem i rzecz skończona; cóż, jestem obserwatorem, człowiekiem postronnym - i tyle, a cokolwiek się wydarzy - to już nie moja wina. Właśnie, właśnie, właśnie w ten sposób teraz będzie.”

Postanowiwszy wrócić, nasz bohater rzeczywiście wrócił, tym bardziej że zgodnie ze swym szczęśliwym pomysłem uważał się teraz za człowieka całkowicie postronnego. „Tak przecież będzie lepiej: i nie odpowiadam za nic, i zobaczę wszystko, co trzeba... właśnie tak!” Czyli że rachuba była pewna i sprawa skończona. Uspokoiwszy się wszedł znowu pod Opiekuńczy cień owego zbawczego, chroniącego sągu dREW i zaczął uważnie patrzeć na okna. Tym razem niedługo mu wypadło patrzeć i wyczekiwać. Nagle we wszystkich naraz oknach powstał jakiś dziwny ruch, zamigotały postacie, odsłoniły się firanki, całe grupy ludzi tłoczyły się w oknach u Ołsufia Iwano-wicza, wszyscy szukali i wypatrywali czegoś na podwórzu. Zabezpieczony swoim sągiem, nasz bohater z kolei również zaczął z ciekawością śledzić powszechne poruszenie i usilnie wyciągał na prawo i na lewo głowę, na tyle przynajmniej, na ile pozwalał mu krótki, osłaniający go cień, rzucany przez sag. Nagle zmieształ się, drgnął i omal nie przysiadł z przerażenia. Wydało mu się - słowem, domyślił się w pełni, że szukano nie czegokolwiek i nie kogośkolwiek, szukano po prostu jego, pana Goladkina. Wszyscy patrzą w jego stronę, wszyscy wskazują w jego stronę. Ucieczka była niemożliwa: mogą zobaczyć... Zmieszany pan Goladkin przycisnął się jak tylko mógł najbliżej do sągu i dopiero wtedy zauważył, że zdradziecki cień zawodzi go, że go nie osłania całego. Z największą przyjemnością zgodziłby się nasz bohater, gdyby to tylko było możliwe, wleźć w jakąś mysia dziurę pomiędzy bierwionami i siedzieć sobie tam cichutko. Ale było to stanowczo niemożliwe. W rozpaczy zaczął wreszcie z determinacją patrzeć jednocześnie na wszystkie okna; tak już było lepiej... I nagle ostatecznie spłonął ze wstydu. Dostrzeżono go, dostrzegli go wszyscy naraz, wszyscy zaczęli do niego machać rękami, wszyscy kiwali mu głowami, wszyscy go wzywali; oto zaskrzyphiało i otworzyło się kilka lufcików, kilka naraz głosów zaczęło coś do niego wołać... „Dziwne, że tych dziewczysk od dzieciństwa nie chłosta się różgami” - mamrotał do siebie całkowicie zdetonowany nasz bohater.

59. 931

Wtem z ganku zbiegi on (wiadomo kto) w samym tylko surducie, bez kapelusza, zdyszany, wiercąc się, drepcąc i podskakując, wiarołomnie okazując niezwykłą radość z tego, że wreszcie ujrzał pana Goladkina.

- Jakubie Pietrowiczu - zaszcebiotał znany ze swej nik-czemności człowiek. - Jakubie Pietrowiczu, pan tu? Pan się zaziębi. Tu zimno, Jakubie Pietrowiczu. Pan pozwoli do pokoju.

- Jakubie Pietrowiczu! Nie, ja nic takiego, Jakubie Pietrowiczu - pokornym głosem wymamrotał nasz bohater.

- Nie, tak nie można, Jakubie Pietrowiczu: zapraszają, uprzejmie zapraszają, czekają na nas. „Niech pan nam zrobi tę przyjemność i przyprowdzi tu Jakuba Pietrowicza.” Tak jest.

- Nie, Jakubie Pietrowiczu, ja, widzi pan, lepiej bym zrobił... Lepiej będzie, jak pójde do domu... - mówił nasz bohater płonąć na wolnym ogniu i zamarzając jednocześnie ze wstydu i przerażenia.

- Nie-nie-nie-nie! - zaszcebiotał ohydny człowiek. - Nie-nie-nie-nie, za nic! Idziemy! - rzekł stanowczym głosem i pociągnął pana Goladkina-starszego na ganek. Pan Goladkin—starszy nie chciał iść, ponieważ jednak wszyscy patrzyli i głupio byłoby sprzeciwiać się i opierać, więc nasz bohater poszedł - zresztą, trudno nawet powiedzieć, że poszedł, ponieważ zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Ano nic takiego, niech już tam, za jednym zamachem!

Zanim nasz bohater zdążył jako tako doprowadzić do porządku ubranie i opamiętać się, już znalazł się w salonie. Był blady, potargany, obszarpany; mętnym wzrokiem obrzucił cały tłum - okropność! W salonie, we wszystkich pokojach - wszędzie, wszędzie było pełniusieńko. Ludzi było mnóstwo, pań cała oranżeria; wszystko to tłoczyło się koło pana Goladkina, wszystko to dążyło do pana Goladkina, wszystko to na swych ramionach wynosiło pana Goladkina, który wyraźnie dostrzegł, że pchają go w jakimś określonym kierunku. „Przecież nie do drzwi” - przemknęło przez myśl panu Goladki-nowi. Istotnie, pchano go nie w stronę drzwi, lecz prosto do wygodnego fotela Ołsufia Iwanowicza. Obok fotela z jednej strony stała Klara Ołsufiewna, blada, rozmarzona, smutna, zresztą wspaniale wystrojona. Szczególnie zwróciły uwagę

pana Goladkina małe białe kwiatki w jej czarnych włosach, co stanowiło znakomity efekt. Z drugiej strony fotela umieszczał się Władimir Siemionowicz, w czarnym fraku, ze swoim nowym orderem w klapie. Pana Goladkina prowadzono pod rękę i, jak było już powiedziane powyżej, prosto do Ołsufia Iwanowicza - z jednej strony pan Goladkin-młodszy, który przybrał minę nader przyzwoitą i lojalną, z czego nasz bohater ucieszył się niezmiernie, z drugiej zaś strony prowadził go Andrzej Filipowicz z nader uroczystym wyrazem twarzy. „Co by to miało znaczyć?” - pomyślał pan Goladkin. Kiedy zaś ujrzał, że prowadzą go do Ołsufia Iwanowicza, to nagle jak gdyby go olśniło. Przez głowę przemknęła mu myśl o przejętym liście... Z uczuciem nieprzebranej rozpacz stanął nasz bohater przed fotelem Ołsufia Iwanowicza. „Co mam teraz robić?” - pomyślał. - Rozumie się, trzeba wszystko śmiało i otwarcie, to znaczy z nie pozbawioną szlachetnością szczerością, że to niby tak i tak i tak dalej.” Ale to, czego tak się zapewne obawiał nasz bohater, ominęło go jednak. Ołsufij Iwanowicz, jak się zdaje, przyjął bardzo dobrze pana Goladkina i choć nie wyciągnął do niego ręki, to przynajmniej patrząc na niego pokiwał swą siwowłosą i wzbudzającą nader wielki szacunek głową - pokiwał z jakąś uroczystą smutną, a jednocześnie życzliwą miną. Tak się przynajmniej wydało panu Goladkinowi. Wydało mu się nawet, że w mętnych oczach Ołsufia Iwanowicza błysnęła łza; podniósł wzrok i ujrzał, że na rzęsach Klary Ołsufiewny, która stała tuż obok, też jak gdyby błysnęła łezka - że i w oczach Władimira Siemionowicza również zjawiło się coś podobnego - że poza tym niewzruszona i spokojna godność Andrzeja Filipowicza tak samo warta była powszechnego, ławego współczucia - że poza tym młodzieniec, który ongiś tak bardzo przypominał ważnego radcę, łkał już gorzko, korzystając ze sposobnej chwili... Albo też może to wszystko tak się wydało panu Goladkinowi, ponieważ on sam ogromnie się rozrzewnił i wyraźnie czuł, jak mu po zimnych policzkach płynęły gorące łzy... Pogodzony z ludźmi i losem, bardzo kochając w tej chwili nie tylko Ołsufia Iwanowicza, nie tylko wszystkich gości razem wziętych, ale nawet swego złośliwego bliźniaka, który teraz, jak się zdaje, bynajmniej nie był złośliwym i nawet nie bliźniakiem dla pana Goladkina, lecz człowiekiem zupełnie postronnym i na-

der miłym, człowiekiem samym przez się, głosem pełnym łkania zwrócił się nasz bohater do Ołsufia Iwanowicza ze wzruszającą spowiedzią swego serca; ale z nadmiaru tego wszystkiego, co się w nim nagromadziło, nie mógł absolutnie nic wypowiedzieć i tylko nader wymownym gestem w milczeniu wskazał na swoje serce... Wreszcie Andrzej Filipowicz, pragnąc zapewne oszczędzić wrażliwość siwowłosego starca, odprowadził pana Goladkina nieco na bok i pozostawił go tam, zresztą, jak się zdaje, w sytuacji całkowicie niezależnej. Uśmiechając się, coś sobie pod nosem mamrocząc, nieco zdziwiony, ale w każdym razie niemal całkowicie pogodzony z ludźmi i losem, nasz bohater zaczął przeciskać się dokądś przez gęsty tłum gości. Wszyscy ustępowali mu z drogi, wszyscy patrzyli na niego z jakimś dziwnym zaciekawieniem i z jakimś niewymownym, zagadkowym współczuciem. Nasz bohater wszedł do drugiego pokoju - wszędzie to samo zainteresowanie;

słyszał niewyraźnie, jak cały tłum tłoczył się trop w trop za nim, jak zwracano uwagę na każdy jego krok, jak po cichu wszyscy rozprawiali o czymś nader interesującym, kiwali głowami, mówili, roztrząsali coś, omawiali i szeptali. Pan Goladkin bardzo chciałby się dowiedzieć, co oni wszyscy

tak roztrząsają, rozważają i szepcą. Obejrząwszy się nasz bohater dostrzegł koło, siebie pana Goladkina-młodszeo. Pan Goladkin uczył potrzebę, aby chwycić go za rękę i odprowadzić na bok, zwrócił się więc do drugiego Jakuba Pietrowicza z serdeczną prośbą, aby pomógł mu we wszystkich poczynaniach i nie porzucił go w trudnej sytuacji. Pan Goladkin-młodszy kiwnął poważnie głową i mocno uściśnął rękę pana Goladki-na-starszego. Z nadmiaru uczuć serce zadygotało w piersi naszego bohatera; przy tym tracił dech, czuł, że coś go tak gniecie, gniecie w piersi, poczuł, że wszystkie te zwrócone na niego spojrzenia gniotą go jakoś i duszą... Pan Goladkin ujrzał mimochodem tego radcę, który nosił perukę. Radca patrzył na niego surowym, badawczym wzrokiem, bynajmniej nie złagodzoneo przez powszechne współczucie... Nasz bohater zdecydował się już podejść wprost do niego, aby się doń uśmiecnać i natychmiast wyjaśnić sprawę, ale jakoś mu się to nie udało. Na krótką chwilę pan Goladkin jak gdyby wpadł w omdlenie, stracił i pamięć, i przytomność... Kiedy się ocknął, zauważył, że kręci się w szerokim kole gości, którzy go obstąpili.

Nagle z drugiego pokoju ktoś zawołał pana Goladkina, okrzyk przeszedł naraz przez cały tłum. Wszyscy się poruszyli, wszyscy obecni w pokojach rozsiedli się w kilku rzędach wokół pierwszego salonu; naszego bohatera prawie wniesiono na rękach, przy czym oschły radca w peruce znalazł się ramię w ramię przy panu Goladkinie. Wreszcie wziął go za rękę i posadził obok siebie naprzeciw fotela Ołusia Iwanowicza, zresztą w dość znacznej od niego odległości. Wszyscy, dosłownie wszyscy obecni w pokojach rozsiedli się w kilku rzędach wokół pana Goladkina i Ołusia Iwanowicza. Wszyscy przycichli i uspokoili się, wszyscy obserwowali uroczyste milczenie, wszyscy spoglądali na Ołusia Iwanowicza, oczekując zapewne czegoś nie całkiem powszedniego. Pan Goladkin zauważył, że obok fotela Ołusia Iwanowicza, również na wprost radcy, umieścił się drugi pan Goladkin wraz z Andrzejem Filipowiczem. Milczenie przedłużało się, istotnie na coś czekano. „Kropka w kropkę jak w jakiejś rodzinie, gdy ktoś odjeżdża w daleką drogę; pozostaje teraz tylko wstać i pomodlić się” - pomyślał nasz bohater. Wtem powstał jakiś dziwny ruch i przerwał rozmyślenia pana Goladkina. Wydarzyło się coś, na co czekano od dawna. „Jedzie, jedzie!” - przemknęło przez tłum. „Któż to jedzie?” - przemknęło przez myśl pana Goladkina, który aż drgnął pod wpływem jakiegoś dziwnego uczucia. „Już czas!” - rzekł radca spojrzawszy z uwagą na Andrzeja Filipowicza. Andrzej Filipowicz spojrzął z kolei na Ołusia Iwanowicza. Poważnie i uroczyście kiwnął głową Ołusij Iwanowicz. „Wstańmy” - odezwał się radca podnosząc pana Goladkina. Wszyscy wstali. Wówczas radca ujął za rękę pana Goladkina-starszego, a Andrzej Filipowicz pana Goladkina-młodszego i obaj pośród otaczającego ich kołem i zastygłego w oczekiwaniu tłumy uroczyście poprowadzili do siebie tych dwóch całkowicie do siebie podobnych. Bohater nasz rozejrzał się ze zdumieniem, ale natychmiast go zatrzymano i wskazano mu na pana Goladkina-młodszego, który wyciągnął do niego rękę. „Chcą nas pogodzić” - pomyślał nasz bohater i z roztkliwieniem wyciągnął dłoń do pana Goladkina-młodszego; a potem, potem pochylił ku niemu głowę. To samo uczynił również i drugi pan Goladkin... W tym miejscu wydało się panu Goladkinowi-starszemu, że wiarołomny jego przyjaciel uśmiecha się, że mimochodem chytrze mrugnął do

całego otaczającego ich tłumy, że nieprzyzwoity pan Goladkin-młodszy ma jakiś złowrogi wyraz twarzy, że nawet jakoś się skrzywił w chwili owego judaszowskiego pocałunku... Panu Goladkinowi zaszumiało w głowie, w oczach mu pociemniało, wydało mu się, że niezliczone mnóstwo, cały korowód absolutnie podobnych Goladkinów wdziera się z hałasem przez wszystkie drzwi do pokoju; ale było za późno... Rozległ się dźwięczny zdradziecki pocałunek i...

Tu wydarzyła się całkiem niespodziewana okoliczność... Z trzaskiem otworzyły się drzwi salonu i na progu zjawił się człowiek, którego sam widok wprawił w osłupienie pana Goladkina. Nogi mu wrosły w ziemię. Krzyk zamarł w jego ściśniętej piersi. Zresztą pan Goladkin wiedział o wszystkim z góry i już od dawna przeczuwał coś podobnego. Nieznajomy dumnym i uroczystym krokiem zbliżał się do pana Goladkina... Pan Goladkin doskonale znał tę postać. Widział ją, bardzo często widział, jeszcze dzisiaj widział... Nieznajomy był wysokim, tęgim mężczyzną w czarnym fraku ze znacznym orderem na szyi, a przy tym obdarzony był gęstymi, bardzo czarnymi bokobrodami; do zupełnego

podobieństwa brakowało tylko cygara w ustach... Za to spojrzenie nieznajomego, jak już powiedzieliśmy, przejęło przerażeniem pana Goladkina. Ów straszny człowiek z dumną i uroczystą miną zbliżył się do żalostnego bohatera naszego opowiadania... Nasz bohater wyciągnął do niego dłoń, nieznajomy ujął go za rękę i pociągnął za sobą... Z roztargnioną, przybitą miną nasz bohater rozejrzał się dokoła...

- To jest, to jest Kristian Iwanowicz Rutenszpic, doktor medycyny i chirurgii, pański dawny znajomy, Jakubie Pietro-wiczu! - zaszczebiotał czyjś ohydny głos przy samym uchu pana Goladkina. Obejrzał się: był to wstrętny przez swoją podłość bliźniak pana Goladkina. Twarz jego jaśniała nieprzyzwoitą, złowrogą radością, z zachwytem zacierał ręce, z zachwytem obracał na wszystkie strony głowę, z zachwytem dreptał dokoła wszystkich i każdego, wydawało się, że gotów był za chwilę zatańczyć z zachwytem. Wreszcie skoczył naprzód, pochwycił świecę z rąk jednego ze służących i poszedł przodem, oświetlając drogę panu Goladkinowi i Kristianowi Iwanowiczowi. Pan Goladkin słyszał wyraźnie, jak wszyscy, dosłownie wszyscy obecni w salonie runęli w ślad za nimi, jak

wszyscy się tłoczyli, gnietli jeden drugiego i wszyscy naraz głośno zaczęli powtarzać idąc za panem Goladkinem: „że to nic takiego, że niech się pan nie boi, Jakubie Pietrowiczu, że to przecież pański stary przyjaciel i znajomy Kristian Iwanowicz Rutenszpic...” Wreszcie wyszli na paradne, jasno oświetlone schody, na schodach również stał tłum; z trzaskiem otworzyły się drzwi na ganek i pan Goladkin wraz z Kristianem Iwanowiczem znalazł się na ganku. Przed podjazdem stała karetka zaprzężona w czwórkę koni, które parskały z niecierpliwości. Złośliwy pan Goladkin-młodszy trzema skokami zbiegł ze schodów i sam otworzył karetkę. Kristian Iwanowicz przekonywającym gestem poprosił pana Goladkina, aby siadł do karetki. Zresztą nie trzeba było bynajmniej przekonywającego gestu, było dość ludzi, aby go podsadzić... Drętwiejąc z przerażenia pan Goladkin obejrzał się: całe jasno oświetlone schody unżane były ludźmi, zewsząd patrzyły na niego ciekawe oczy, sam Olsufij Iwanowicz zasiadł na górnym podeście schodów w swoim wygodnym fotelu i uważnie, z wielkim zainteresowaniem patrzył na wszystko, co się działo. Wszyscy czekali. Szmer zniecierpliwienia przebiegł przez tłum, gdy pan Goladkin obejrzał się.

- Mam nadzieję, że w tym wszystkim nie ma nic... nic nagannego... nic takiego, co mogłoby wywołać niezadowolenie... i uwagi w odniesieniu do moich oficjalnych stosunków? - rzekł nasz bohater ze zmieszaniem. Wokoło powstał gwar i hałas, wszyscy zaczęli kręcić głowami przecząc. Łzy trysnęły z oczu pana Goladkina.

- W takim razie jestem gotów... powierzam się całkowicie... i los mój oddaję w ręce Kristiana Iwanowicza...

Jak tylko pan Goladkin oświadczył, że los swój całkowicie oddaje w ręce Kristiana Iwanowicza, z ust wszystkich otaczających go wyrwał się straszny, ogłuszający, radosny okrzyk i złowrogim odgłosem przebiegł przez cały wyczekujący tłum. A wtedy Kristian Iwanowicz z jednej strony i Andrzej Filipo-wicz z drugiej wzięli pod rękę pana Goladkina i poprowadzili do karetki, bliźniak zaś swoim podłym zwyczajem podsadzał go z tyłu. Nieszczęśliwy pan Goladkin-starszy rzucił ostatnie spojrzenie na wszystkich i na wszystko i drżąc jak kocię oblane zimną wodą - jeśli pozwolicie na takie porównanie - wsiadł do karetki, a za nim natychmiast wsiadł Kristian Iwanowicz.

Drzwiczki karetki zatrzasnęły się, rozległo się chłaśnięcie biczem, konie szarpnęły powóz z miejsca... tłum runął za panem Goladkinem. Przenikliwe niesamowite okrzyki wszystkich jego wrogów pobiegły za nim na pożegnanie. Przez pewien czas dokoła karetki, która uwoziła pana Goladkina, migwały jeszcze jakieś twarze, lecz biegnący zaczęli powoli pozostawać w tyle, aż wreszcie znikli zupełnie. Najdłużej biegł nieprzyzwoity bliźniak pana Goladkina. Wsadiwszy ręce do bocznych kieszeni swoich zielonych mundurowych spodni, z zadowoloną miną biegł podskakując to z jednej, to z drugiej strony powozu, niekiedy zaś uczepliwszy się ramy okiennej i wisząc na niej wsadzał przez okienko głowę i na znak pożegnania posyłał panu Goladkinowi całuski; ale i on zmęczył się

wreszcie, zjawiał się coraz rzadziej, a w końcu znikł. Głucho ścisnęło się serce w piersi pana Goladkina, krew uderzała mu do głowy gorącym strumieniem, było mu duszno, miał ochotę się rozpiąć, obnażyć pierś, obsypać ją śniegiem i oblać zimną wodą. Wreszcie stracił przytomność... Kiedy się ocknął, ujrzał, że konie niosą go jakąś nieznaną drogą. Na prawo i na lewo czerniały lasy, było głucho i pusto. Wtem zdrętwiał: dwoje ognistych oczu patrzyło na niego w ciemności i oczy te błyszczały złowieszczo, piekielną radością. To nie Kristian Iwanowicz! Któż to? A może to on? Tak, on! To Kristian Iwanowicz, ale nie ten poprzedni, to inny Kristian Iwanowicz! To przerażający Kristian Iwanowicz!

- Kristianie Iwanowiczu, ja... ja, zdaje się, nic takiego, Kristianie Iwanowiczu - zaczął lęklawie i drżąc na całym ciele nasz bohater, pragnąc pokorą i uległością wywołać choć troszkę litości u okrutnego Kristiana Iwanowicza.

- Pan otrzymać urzędowy mieszkanie z opał, z l ich t i z usługą, czego pan nie godzien - surowo i przerażająco zabrzmiała jak wyrok odpowiedź Kristiana Iwanowicza.

Nasz bohater krzyknął i chwycił się za głowę. Niestety! Przeczuwał to już od dawna.

m f' - ' a PuNsc

w J a r o c i i i e

OD REDAKCJI

Utwór (Dwojnik. Pietierburskaja poema) powstał w okresie od lata 1845 do stycznia 1846 r. i ukazał się drukiem w czasopiśmie „Otie-czestwiennyje Zapiski” w lutym 1846 r. pt. Dwojnik. Priklučzenija gospodina Goladkina (Sobowtór. Przygody pana Goladkina). Tekst ten został przez autora nieco zmieniony przy przygotowywaniu trzeciego tomu dzieł w edycji Stieltowskiego.

‘ Zapewne aluzja do gazety „Siewiernaja Pczela” („Pszczoła Północna”), która ukazywała się w Petersburgu od r. 1825 do r. 1864. Od r. 1825 do r. 1830 redaktorem jej był Bulharyn, a od r. 1831 do 1859 - Bulharyn i Griecz. Skrajnie szowinistyczna i całkowicie oddana rządowi, walczyła wszelkimi środkami, do donosu włącznie, ze swoimi politycznymi i literackimi przeciwnikami, m.in. z Gogolem, Bielińskim, a wcześniej z Puszkinem i Lermontowem.

2 Jan Baptysta Serafin Józef de Villele (1773-1854)-francuski mąż stanu w epoce Restauracji. Od r. 1821 do r. 1827 był ministrem, następnie prezesem rady ministrów.

3 Mowa tu o utworze Matwieja Komarowa, autora kilku powieści, ogłaszanych między r. 1782 i 1789; tytuł oryginału: Powiesi' o priklučzenii anglijskiego milorda Gieorga i o brandienbwgskoj mark-grafinie Fridierikie Luizie s prisowokuplenijem k ono] istorii bywyszogo turieckiego wiziria Marcimirisa i sardinskoj korolewny Tierieził' (1782).

4 Aluzja do popularnego w Rosji powiedzenia: „i larczyk prosto odkrywał się” (Skrzynka otwierała się w prosty sposób), będącego cytatem z bajki Iwana Kryłowa Skrzynka {Larczyk}. Powiedzenie to oznacza, że nie ma potrzeby zastanawiać się i mędrkować wtedy, gdy sprawa jest prosta. ·;

5 Obraz BriuHowa, o którym tu wspomniano, to Ostatni dzień Pompei, wystawiony w r. 1834 w Akademii Sztuk Pięknych w Pe-

939

tersburgu. Krata, o której mowa, stanowi ogrodzenie od strony Newy. Wykonano ją z kutego żelaza według rysunku de Tho-mona, architekta francuskiego, który pracował w Rosji (1759-

-1813).

Baron Brambeus był to pseudonim Józefa Sękowskiego (Osip Sienkowski, 1800-185§), pisarza rosyjskiego pochodzenia polskiego.

6 Griszka Otriepiew, mnich z monasteru cudowskiego, uważany przez wielu historyków za Dymitra Samozwańca, który wystąpił w początku w. XVII.

7 Bohater romansu francuskiego Les amours du cheyalier de Faublas (1787-1789), którego autorem był Louvet de Couyray (1760-

-1797). Rosyjskie tłumaczenie (Żyżń i lubownyje pochożdzenija kawalera de Foblaza) ukazało się między rokiem 1792 i 1794 w trzynastu częściach.

8 „Gazeta Policyjna” („Wiedomosti S.-Pietierburgskoj Gorodskoj Policyi”) ukazywała się od r. 1839, a od r. 1844 wydawano ją jako dziennik.

9 Aluzja do fragmentu utworu Puszkina Graf Nulin:

...Gdyż odebrała wychowanie Nie w starym obyczaju ruskim, Ale na pensji dla szlachcianek U panny Falbala, Francuzki.

Wyraz falbala oznacza w języku francuskim m.in. modny dodatek do stroju kobiecego.